

KURIER galicyjski

NIEZALEŻNE PISMO POLAKÓW NA UKRAINIE



29 lipca –
11 sierpnia 2011
nr 14 (138)

DWUTYGODNIK

**Dlaczego
nacjonaliści
mogą zabijać,
a komuniści
nie...**

PAWŁO ZUBJUK
- s. 6

**300 km
od Warszawy
jest granica...**

rozmowa
z WITOLDEM DZIECIO-
ŁOWSKIM
- s. 9



**Alfred Szrajter –
ostatni polski
Żyd w Galicji**

OKSANA DUDAR
- s. 15



**Z Podola do
Kazachstanu**

JAN KOZIELSKI
- s. 18

**Historia herbu
Lwowa**

WITO NADASZKIEWICZ
- s. 29



NIEPODLEGŁOŚĆ W BUDOWIE. OD 20 LAT

AGNIESZKA SAWICZ

**20. rocznica rozpadu
Związku Radzieckiego,
imperium, które jak wszyst-
kie imperia skazane było na
zagładę, wydaje się być
dobrym momentem, by
podjąć swoistą próbę
podsumowania czasu, który
minął od 1991 roku.**

Polska, przewodnicząc obecnie Unii Europejskiej, forując ideę Partnerstwa Wschodniego, wydaje się być szczególnie zainteresowana zabranem głosu w takiej dyskusji. Czując się pełnoprawnym członkiem europejskiej rodziny, niemal zapomniawszy o balaście kilku dziesięcioleci pogrążonych w uzależnieniu od decyzji, jakie zapadały na Kremlu, rozważamy obecnie miejsce, jakie mogą w Unii Europejskiej bądź Wspólnocie Niepodległych Państw zająć kraje, które w 1991 roku wykorzystywały pucz Gienadija Janajewa i proklamowały swą niepodległość. Republikom nadbałtyckim, które, jak podkreślił prezydent Litwy Valdas Adamkus, nie były nigdy sowieckie, a znajdowały się pod okupacją, już dawno temu udało się wejść do struktur jednoczących Europę, lecz nadal przedmiotem spekulacji jest los czekający Białoruś, Mołdawię czy Ukrainę. Oczy świata zwracają się też ku krajom azjatyckim, ku Kaukazowi, jako ogniskom potencjalnych konfliktów, ale też jako prawdopodobnym silnym graczom na rynku surowców, w tym zwłaszcza ropy i gazu.

Rosja, przejąwszy schedę po Związku Radzieckim, zajmuje specyficzne miejsce w tych dyskusjach, zwłaszcza, że to ten kraj podejmował po 1991 roku próby znalezienia substytutu ZSRR, budowania wspólnej gospodarki, unii ekonomicznej czy przestrzeni militarnej. Dziś stawiana jest jako element potencjalnie destabilizujący sytuację w regionie, jako kraj



mający możliwość wywierania silnego nacisku na poszczególne państwa, czy to stosując cały arsenal miękkich zagrożeń i „argumentów ekonomicznych”, czy też wręcz sięgając po wojsko. Mając świadomość wagi współpracy Moskwy z Unią Europejską, obserwujemy stałą walkę o rozgraniczenie strefy wpływów w Euroazji i w tym kontekście rozpatrujemy kolejne polityczne decyzje, które zapadają względem państw trzecich. Państw, które przynajmniej formalnie są niezależne, w przeciwieństwie właśnie do Rosji. Kto z nas bowiem pamięta o tym, że kraj ten do dziś nie ogłosił deklaracji niepodległości?

Te zagadnienia stały się przedmiotem międzynarodowej konferencji „1991–2011. 20 lat niepodległości państw postsowieckich”, zorganizowanej przez Studium Europy Wschodniej w dniach 15–18 lipca 2011 roku, w Warszawie. Goście przybyli z najodleglejszych zakątków świata, w tym wielu młodych naukowców i studentów, żywo debatowali o problemach, z

jakimi przyszło się zmagać po rozpadzie ZSRR i które do dziś są udziałem Europy Środkowo-Wschodniej i części Azji, a rozpatrywano je w kontekście relacji byłych republik, przede wszystkim z Rosją i Unią Europejską.

Przy tym wyraźnie było widać, że Unia z perspektywy Europy – jedyna możliwa droga dla krajów kontynentu, nie jest taką chociażby dla Azerbejdżanu. Możliwość zacieśnienia relacji z Japonią, Stanami Zjednoczonymi czy Chinami jest tam postrzegana jako dużo bardziej realna, a przy tym i korzystna. Przewodniczący azerskiej Partii Reform Demokratycznych Assim Mollazade wprost oświadczył, że tak naprawdę Unia nie jest jego państwu do niczego potrzebna, podobnie zresztą jak i Rosja, którego to zdania nie podzielili przedstawiciele innych państw, szczególnie uzależnionej od Moskwy Białorusi. Co do jej losów obawy wyraził białoruski opozycjonista Aleksander Milinkiewicz, akcentując możliwość przywiezienia przez Rosjan w walizce kolejnego prezy-

dentą w sytuacji, gdy Łukaszenka nie wskazuje swego następcy, a opozycja jest zbyt rozbita by znaleźć jednego kandydata.

Co istotne, z wypowiedzi prelegentów i dyskutantów przebijało z rzadka niegdyś akcentowane spojrzenie na obszar postradziecki jako na potencjalną strefę oddziaływania Chin, a także waga kształtowania się nowych centrów. Skupienie uwagi polityków i ekonomistów wokół dalekowschodniej alternatywy dla Moskwy i Brukseli oraz regionów basenu Morza Czarnego, centralnej Azji i centralnej Europy, gdzie tak naprawdę dla krajów byłego ZSRR w tym ostatnim brak jest miejsca, wydaje się być najważniejszą przesłanką konferencji. Zwłaszcza, gdy z polskiej perspektywy wciąż widzimy Unię jako jedyne źródło dobrobytu i nie dostrzegamy, że brak jej pomysłu na jednolitą wschodnią politykę. Podobnie zresztą jak brak jest go w Polsce i jak brak jest Rosji koncepcji uregulowania stosunków tak z bliską zagranicą, jak i Zachodnią Europą.

**Nasi partnerzy
medialni**



Kupując nasze pismo, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie

ISSN 1996-2304



9 771996 230009

NIE TAKIE AKCENTY



AGNIESZKA SAWICZ

Analizując 20 lat niepodległej Ukrainy, należy sobie zadać raczej pytanie, czy niepodległość jest czymś, co możemy uzyskać w jednej chwili, czy może raczej procesem obliczonym na wiele lat i rozważyć, jak wiele niepodległości udało się dotąd uzyskać.

Jeśli mielibyśmy mierzyć ten poziom stanem gospodarki – to Ukraina jest państwem wciąż w pełni zależnym. Niemożność podjęcia decyzji politycznych bez obaw o potencjalne konsekwencje, jakie wyciągnie wobec Kijowa Rosja, splata się nierozdzielnie z brakiem reform. Tych nad Dnieprem nikt nie przeprowadził w sposób zdecydowany od 1991 roku, nawet pomarańczowa rewolucja okazała się niczego ze sobą nie nieść w tym zakresie. Problemy z prywatyzacją, z niezależnieniem od skutków central-

nego sterowania gospodarką, fasadowe zmiany i namiastki restrukturyzacji, a także monopolizacja władzy i relatywnie działające prawo odcisnęły swe piętno na sytuacji Ukrainy w sposób, jak się dziś wydaje, trwały. A przynajmniej nie należy się spodziewać, że zajdą wielkie zmiany za prezydentury Wiktora Janukowycza. Cofnięcie reformy konstytucyjnej w 2010 roku, osłabienie opozycji i redukcja roli parlamentu nie są zwiastunami nagłego zwrotu w polityce Kijowa. Nadal wprowadzane są prowizoryczne rozwiązania, a krajem rządzi grupa oligarchów, bez skrupułów eksploatujących ojczyznę. I dopóki dla nich system ten jest wygodny, to – jak twierdzi Andrij Portnow – nie można oczekiwać ani rewolucji, ani jego ewolucji.

Przy tym wszakże trudno też liczyć na jednoznaczny zwrot w stronę Moskwy. Jak się wydaje, Ukraina, a więc najbogatsi jej obywatele, dokonali już swojego wyboru. I bynajmniej nie jest to wybór ideologiczny, jak chcieli by go widzieć intelektualści, a ekonomiczny. Mając świadomość tego, że ceny gazu i ropy dyktowane przez Moskwę wciąż trzymają w szachu Kijów, oligarchowie jednak lokują swoje interesy na Zachodzie Europy. Stąd przekonanie o jednoznacznym kierunku, w którym zmierza Ukraina. Ma nim być Bruksela, w której nikt Ukraińców nie



wita z otwartymi ramionami, zwłaszcza, że jesteśmy świadkami zmiany brukselskiej optyki. Uwaga polityków z Zachodniej Europy, a także środki finansowe są dziś zwrócone na południe kontynentu, gdyż wobec konfliktów w Afryce i na Bliskim Wschodzie – to bezpieczeństwo tego regionu ma bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo granic Unii Europejskiej.

Brak jest jednak i entuzjazmu w samej Rosji względem krajów takich jak Białoruś czy Ukraina. Nie stworzono tam propozycji dla całego regionu, jaka byłaby w stanie ponownie połączyć niepodległe kraje, niegdyś radzieckie republiki, we wspólną przestrzeń. A przecież wydawałoby się, że Moskwie łatwo będzie znaleźć alternatywę dla zachodniej drogi państw bliskiej zagranicy w obliczu kryzysu strefy euro i problemów, z którymi boryka się Unia Europejska.

Bruksela nie rysuje realnej perspektywy integracji dla krajów partnerstwa wschodniego, a jednak wciąż mówi się, że byłby to sposób, by zmienić stosunki Kijowa z Moskwą. Nawet w kwestii zniesienia wiz Ukraina jest niewiele bliżej Starego Zachodu, niż była 20 lat temu. I podobnie, jak przed 20 laty, Rosja ma świadomość tego, iż wiele z jej projektów, takich jak wspólna przestrzeń gospodarcza, bez Ukrainy nie ma racji bytu. W tej sytuacji odpowiedź na pytanie – kto będzie zabiegał o Kijów, nasuwa się sama.



Otwarcie wystawy fotografii w Łucku, poświęconej 67. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego

Szanowni Państwo! W imieniu konsula generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku – pana Tomasza Janika, mam zaszczyt zaprosić na otwarcie wystawy fotografii Instytutu Pamięci Narodowej, poświęconej 67. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

Otwarcie wystawy odbędzie się w Łucku 1 sierpnia, o godzinie 14, w galerii Związku Artystów Plastyków Ukrainy przy ul. Łesi Ukrainki 24 a. Wystawa jest realizowana wspólnie z Wołyńskim Związkiem Artystów Plastyków.

Szczerze zapraszam!
konsul RP w Łucku Krzysztof Sawicki

„Dni Powstania – Warszawa 1944”

Wystawa przygotowana została przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie we współpracy z OBEP IPN w Gdańsku oraz Muzeum Powstania Warszawskiego.

Otwarta została 29 lipca 2004 r. w historycznej sali BHP Stoczni Gdańskiej w ramach głównych uroczystości obchodów 60. rocznicy Powstania Warszawskiego zorganizowanych przez IPN.

Wystawa ma wymiar symboliczny – odwołuje się do pojęć i symboli, charakteryzujących Powstanie War-

szawskie w sposób szczególnie pełny i wyrazisty. Poszczególne panele odwołują się do bohaterkiej walki powstańców i zbiorowego wysiłku mieszkańców stolicy, nadających głębooki sens pojęciom – „solidarność”, „bohaterstwo”, „ofiarność”. Mówią też o odsieczy oddziałów AK płynących z terenu kraju, o nadziei pokładanej w pomocy aliantów zachodnich, która okazała się tak nikła, o zmarnowanym wysiłku żołnierzy armii Berlinga, poległych na przyczółku czerniakowskim, o zdradzie „sojusznika naszych sojuszników”, czekającego na agonii miasta i jego obrońców.

Zwiedzający mogą zobaczyć między innymi wielkoformatowe plłtina, przy prezentacji których wykorzystana została przestrzeń i światło, oraz panele fotograficzne, przedstawiające tragedię żołnierzy Armii Krajowej oraz mieszkańców Warszawy. Warstwę artystyczną wystawy dopełnia prezentacja dokumentalnych materiałów filmowych polskich i niemieckich, a także część informacyjno-edukacyjna, przeznaczona zwłaszcza dla młodego odbiorcy. Zamiarem organizatorów było oddanie atmosfery, jaka towarzyszyła dramatycznym miesiącom Powstania Warszawskiego.

POSZUKIWANIE IDEI

PAWEŁ PIENIAŻEK

W 1991 roku nikt nie spodziewał się, że droga Ukrainy do Europy będzie aż taka kręta i wyboista. Wciąż nie odpowiedziano na wiele pytań i nie rozwiązano wszystkich problemów, które stały przed nią dwadzieścia lat temu. Lista sukcesów nie jest imponująca, co często próbuje się usprawiedliwiać poprzez stwierdzenie, że „to dopiero dwadzieścia lat”, ale trzeba w końcu zdać sobie sprawę z tego, iż to nie „dopiero”, ale „aż” dwadzieścia lat, w trakcie których nie podjęto strategicznych decyzji – Ukraina wciąż jest oligarchicznym rajem, dryfującym bezwiednie. Nie chodzi wyłącznie o orientację geopolityczną, ale o sam kształt ukraińskiego państwa, które w takiej postaci nie ma szans na stabilny, długofalowy rozwój.

grację. Zresztą, coraz poważniej stawia się pytanie: czy Ukraina w ogóle powinna być członkiem UE? Zamiast tego – po spełnieniu odpowiednich wymagań – miałaby otrzymać status taki, jak Norwegia. To na pewno pomysł warty rozważenia, ale pod warunkiem, że taki projekt będzie mógł liczyć na wsparcie merytoryczne i finansowe. A z tym w UE bywa różnie, jak na przykład niesprecyzowane Partnerstwo Wschodnie.

– Wszystko, czego chcemy – to długoterminowa, ale jasna perspektywa – powiedział ukraiński polityk i naukowiec Maksym Stricha podczas WKW.

To zgodne stanowisko większości ukraińskich polityków, jednak UE cały czas nie gra w otwarte karty. Tak jest między innymi z reżimem bezwizowym. Chociaż po reakcjach



Jednak dzisiaj to nie tylko problem Ukrainy, cała Europa musi ponownie zadać sobie pytanie: co dalej? Bowiern projekt Zjednoczonej Europy staje się coraz bardziej niepewny.

– Są dwa płuca, ale nie ma jednego organizmu – tak Stanisław Ciosek sparafrazował słowa Jana Pawła II podczas Warszawskiej Konferencji Wschodnioeuropejskiej. Do tego warto dodać, że oba nie są zdrowe. Strefa euro nekana jest przez poważny kryzys ekonomiczny, a w całej Europie wzmaga się tendencje nacjonalistyczne i populistyczne, czego przykładami są ostatnia tragedia w Norwegii, antyromska polityka we Francji czy poddanie pod wątpliwość wolnego przepływu osób w ramach strefy Schengen.

Wydarzenia wewnętrzne, jak i zewnętrzne powodują, że rok 2011 jest symboliczny dla Ukrainy także pod względem jej integracji z Unią Europejską. Z jednej strony, negocjacje w sprawie umowy stowarzyszeniowej prawdopodobnie zostaną zakończone do końca tego roku, ale – z drugiej – paradoksalnie Ukraina nigdy nie była tak daleko od Europy. Czego przykładem jest wypowiedź polskiego ministra spraw zagranicznych – Radosława Sikorskiego, który powiedział, że w umowie stowarzyszeniowej nie będzie zapisu o perspektywie członkostwa Ukrainy w UE. To jasny sygnał, że w najbliższych kilkunastu latach nie ma szans na głębszą inte-

unijnych polityków na tymczasowe otwarcie strefy Schengen na Euro 2012 dla Ukrainy widać, że na zniesienie wiz dla Ukraińców szanse są minimalne, to nikt otwarcie tego nie powie. Mgliste obietnice powodują, że dochodzi do licznych rozczarowań tak z jednej, jak i z drugiej strony. Dlatego też nie powinno dziwić, że Ukraina próbuje działać w stanie zawieszania między UE a Rosją, bo obecna sytuacja nie wskazuje na to, aby bliższa integracja z Zachodem była tylko sprawą reform – to w dużym stopniu sprawa polityczna, zależna od panującej koniunktury. A to pod coraz większym wpływem ruchów nacjonalistycznych i populistycznych raczej nie będzie zmieniać się na korzyść zbliżenia z Ukrainą.

Niestety nic nie wskazuje na to, aby najbliższa przyszłość miała być łatwiejsza od minionych dwudziestu lat. Ukraina w końcu będzie musiała zająć się zaległymi sprawami, a do tego stawić czoło bieżącym. Dzisiaj wkroczenie na konkretną ścieżkę jest jeszcze trudniejsze niż w 1991 roku, gdy istniały dwie możliwości – zachodnia i wschodnia. Sukces Chin, coraz aktywniej inwestujących na obszarze postradzieckim, rodzi pokusę, aby też wybrać podobną, niedemokratyczną drogę. Jednak jeśli Ukraina ma się zbliżyć w stronę Europy Zachodniej, to społeczeństwo musi zabrać się do ciężkiej pracy, żeby za dekadę nie trzeba było usprawiedliwiać się, że minęło dopiero trzydzieści lat.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
wybrał i opracował

PRASA POLSKA O UKRAINIE

RZECZPOSPOLITA ukraińskie media ujawniły, że na linii Mińsk – Kijów doszło do poważnego sporu. Białoruś wydalila dwóch dyplomatów Ukrainy.

Chodzi o attaché ds. obrony i attaché wojskowego – napisało „Dziewięć Tyżnia”. W odpowiedzi ukraińskie MSZ nakazało wyjazd białoruskiemu attaché wojskowemu. Według gazety to efekt osobistego sporu prezydentów Aleksandra Łukaszenki i Wiktora Janukowycza. Janukowycz nie chciał bowiem zaprosić Łukaszenki na konferencję sponsorów remontu sarkofagu nad reaktorem zniszczonym podczas katastrofy w Czarnobylu.

Białoruski prezydent nazwał wówczas ukraińskie kierownictwo „wszawym”. MSZ w Kijowie uznało tę wypowiedź za „bezprecedensowo niewłaściwą”. Wyraziło też nadzieję, że białoruskie władze „będą wystarczająco odpowiedzialne przed swymi własnymi obywatelami, by przywrócić konstruktywną politykę współpracy z Ukrainą”. A osobiste posłanie Janukowycza przekazał do Kijowa goszczący tam 19 maja premier Mykoła Azarow. W efekcie Łukaszenko obraził się jeszcze bardziej, co było bezpośrednim powodem odesłania do domu ukraińskich dyplomatów.

– W białoruskiej polityce zagranicznej nastroje Łukaszenki odgrywają dużą rolę. Gdy się z kimś pokłóci, to i stosunki międzypaństwowe się pogarszają – powiedział „Rz” białoruski politolog Walery Karbalewicz.

Łukaszenko obraził się na Janukowycza. p.k.
14-07-2011

RZECZPOSPOLITA Muzeum SAŁA, promujące jeden z najważniejszych składników ukraińskiej kuchni narodowej, zostało otwarte w centrum Lwowa.

To zarówno bar, w którym goście mogą zamówić jajecznicę czy sushi ze słoniny, jak i centrum artystyczne, w którym mają się odbywać koncerty, festiwale, wieczory poetyckie, a także wystawy nawiązujące do tego ulubionego ukraińskiego produktu żywnościowego. Pomysłodawcą muzeum był malarz Borys Berger, który urodził się we Lwowie, ale na stałe mieszka w Niemczech.

– W muzeum zebrano dzieła stwarzające zarówno odpowiedni nastrój, jak i potęgujące... apetyt – zachwala Berger. Jednym z eksponatów jest na przykład instalacja „Kzesło ze słoniną”. Technologię wymyślił lwowianin. Forma z gipsu została wypełniona silikonem, a następnie owinięta plasterkami słoniny. Na honorowym miejscu znalazło się także ludzkie serce – wykonane oczywiście ze słoniny. Wśród eksponatów jadalnych goście mają też do wyboru nos Mikołaja Gogola, wargi Marilyn Monroe, piersi Wenus czy ręce Ernesta Che Guevary. A na deser można zamówić słoninę w czekoladzie.

Słonina trafiła do muzeum. Tatiana Serwetnyk 14-07-2011

RZECZPOSPOLITA W Kijowie odbył się tradycyjny protest przeciwko wyłączeniu latem ciepłej wody. Oficjalnie jest to prze-

gląd konserwacyjny, który trwa kilka tygodni i jest przeprowadzany w każdej dzielnicy miasta. Protest od czterech lat organizują feministki z ruchu FEMEN, które w ramach swojej akcji kąpią się w fontannie na Majdanie Niepodległości. Do tradycyjnego hasła: „Nie ma wody w kranie, myj się na Majdanie”, w tym roku doszło kolejne „Do nas jedzie Euro-fan, odkręć z ciepłą wodą kran”. Działaczki chcą podkreślić, że prace konserwacyjne są zazwyczaj przeprowadzane w czerwcu, właśnie wtedy za rok będzie odbywało się Euro 2012. Lider organizacji FEMEN Hanna Hucol powiedziała, że jeżeli kibice nie będą mieli ciepłej wody, będzie to kompromitacja przed całą Europą.

– Dziś pokazujemy, jak oni będą się myć, pewnie na Majdanie bo tu woda jest cieplejsza niż zimna w kranach. My żądamy, aby władza nie kradła pieniędzy, a inwestowała je w nowe rury – zaznaczyła.

Władze tłumaczą, że konserwacja sieci z ciepłą wodą jest koniecznością. Rury są niewymieniane od lat i trzeba je co pewien czas dokładnie kontrolować.

Feministki protestują w trosce o kibiców Euro. guu
14-07-2011

DZIENNIK POLSKI Unia Celna Rosji, Białorusi i Kazachstanu ograniczyła dostęp do swego rynku 28 firmom z Ukrainy, które dostarczały tam produkcję zwierzęcą.

Kijowska prasa i opozycja ocenia ten krok jako wypowiedzenie wojny handlowej. Wprowadzone przez Unię Celną ograniczenia są tymczasowe. Rosjanie podali, że zastosowano je po naradzie inspekcji weterynaryjnych Rosji, Białorusi i Kazachstanu i kontroli ukraińskich przedsiębiorstw, które – jak poinformowano – nie odpowiadają normom sanitarnym obowiązującym w Unii Celnej.

Wojna handlowa.
14-07-2011

RZECZPOSPOLITA Pojawił się nowy typ milionerów. Właściwie milionerek. To żony ministrów, na które mężowie przepisują majątki.

Wiera Bojko, żona ministra energetyki, zarobiła w 2010 r. aż 40 razy więcej niż jej mąż – równowartość 3 mln zł. Ma też 6 mln zł na kontach. „O firmach Wiery Bojko nie wiedzą ani inwestycyjni bankierzy, ani analitycy. Według naszej informacji jest ona skromną gospodynią domową, która całe swoje życie poświęciła na wychowanie szóstki dzieci” – napisał „Korespondent”.

Jelena Choroszkowska, żona szefa służby bezpieczeństwa i byłego biznesmena, zarobiła rekordową kwotę ponad 15 mln złotych. Jej mąż miał dochody osiem razy mniejsze.

Wiktoria Tihipko, żona wicepremiera Serhija Tihipki, zarobiła 1,6 mln zł.

Mężowie bogatych żon nie chcą ujawniać, skąd takie dochody ich wybrank. – To nowe zjawisko na Ukrainie. Wygląda na to, że w efekcie przyjętych niedawno przepisów

antykoryupcyjnych urzędnicy zaczęli się bać. Chcą zalegalizować swoje majątki, przepisując je na żony lub dzieci – mówi „Rz” Ołeh Soskin, szef Instytutu Transformacji Społeczeństwa w Kijowie. – Przepisy w sprawie korupcji obowiązują, na razie jednak nie działają jak należy. Tym, którzy dochodzą do władzy, dorobić się fortuny jest łatwo. Oligarchowie chcą być już nie tylko bogaci, ale bogaci legalnie – dodaje.

– Czują, że w społeczeństwie narasta niezadowolenie, i boją się tego. W państwach demokratycznych majątki mogą być przekazywane rodzinie legalnie i otwarcie. Na Ukrainie tak się nie da – mówi „Rz” Jewhen Petrenko z Instytutu Polityki Otwartej w Kijowie. – Skąd w naszym państwie biorą się bajecznie bogaci ludzie? Odpowiedź jest smutna: ponad połowa ukraińskiego budżetu jest rozkradana. Społeczeństwo wobec tego faktu pozostaje, niestety, bierno, a ci, którzy protestują, są zastraszani i prześladowani – dodaje.

Bogate żony ubogich ministrów. Rzeczpospolita.
16-07-2011

RZECZPOSPOLITA Im większe zagrożenie z Rosji, tym bardziej Ukraińcy cenią niepodległość – mówią socjologowie w Kijowie.

Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii (KMIS) od lat bada nastroje rodaków związane z niepodległością. Wynika z nich, że liczba zwolenników suwerenności rośnie, gdy Rosja wchodzi w konflikt z innymi państwami lub na jej terytorium dochodzi do zamachów. – W latach 1994–1996 Rosja prowadziła działania wojenne w Czeczenii. Wielu Ukraińców zdało sobie wtedy sprawę z tego, że gdyby Rosja i Ukraina były jednym państwem, ich dzieci musiałyby walczyć i ginąć na Kaukazie Północnym. Liczba zwolenników ukraińskiej niepodległości poszybowała z 56 do 71 procent – mówił tygodnikowi „Dziewięć Tyżnia” szef KMIS Walerij Chmelko.

Rekord padł jednak po wojnie Rosji z Gruzją o separatystyczną Osetię Południową w 2008 r. Wówczas ponad 82 proc. Ukraińców doceniło, że mieszka w niepodległym państwie.

Według socjologów groźba utraty integralności terytorialnej mocniej wpływa na postawę obywatelską.

„Gdyby nie Rosja, na Ukrainie nie byłoby takiego zjawiska jak patriotyzm” – ironizowały rosyjskie portale.

Patriotyzm rośnie, gdy Rosja atakuje. Tatiana Serwetnyk
18-07-2011

RZECZPOSPOLITA Ukraina chce jeszcze w tym roku zakończyć negocjacje z UE w sprawie umowy stowarzyszeniowej – powiedział szef ukraińskiej dyplomacji Kostiantyn Hryszczenko. – Widzę szansę, że parafujemy porozumienie na szczycie UE – Ukraina w grudniu.

Zapewnił też, że jego kraj nie jest zainteresowany propozycjami ze strony Rosji, by zamiast zawierania porozumienia z UE Ukraina przyłączyła się do unii celnej, tworzonej

przez Rosję, Kazachstan i Białoruś. Według Hryszczenki, również w interesie tych państw leży to, by Ukraina rozwijała więzi z UE. – Państwa te potrzebują współpracy z Ukrainą – powiedział.

Szef polskiej dyplomacji – Radosław Sikorski oświadczył w poniedziałek w Brukseli, że są szanse na osiągnięcie porozumienia z Ukrainą o umowie stowarzyszeniowej już podczas szczytu Partnerstwa Wschodniego pod koniec września w Warszawie.

Ukraina negocjuje przystąpienie do UE. ika 19-07-2011

gazeta „Umowę stowarzyszeniową Ukrainy z UE chcemy wynegocjować za polskiej prezydencji. Nie skorzystamy z alternatywy, którą oferuje nam Moskwa” – mówi ukraiński szef dyplomacji Kostiantyn Hryszczenko.

Czy Kijów i UE zdołają wynegocjować ukraińską umowę stowarzyszeniową do końca 2012 r.?

Widzę bardzo duże szanse, że ta umowa zostanie parafowana na grudniowym szczycie Unia – Ukraina w Kijowie. Ostatnia runda negocjacji powinna odbyć się pod koniec września lub na początku października, a potem będzie już tylko szlifowanie drobniejszych kwestii i szczegółów technicznych.

Musimy przyjąć ponad 50 proc. dorobku prawnego UE dotyczącego gospodarki ze względu na porozumienie o pogłębionej strefie wolnego handlu między Ukrainą a UE, która jest częścią umowy stowarzyszeniowej. To nie jest łatwe, bo po liberalizacji handlu z Unią część ukraińskich przedsiębiorstw będzie potrzebować szybkiego unowocześnienia, żeby przetrwać. Umowa z UE pozostaje jednak strategicznym elementem zarówno naszej polityki zagranicznej, jak i wewnętrznej, bo poprowadzi do modernizacji.

Czy Moskwa będzie was mocno do niej zniechęcać?

Moskwa stawia nas przed alternatywą – albo umowa z UE, albo unia celna z Rosją, Kazachstanem oraz Białorusią. Albo rezygnacja z porozumienia z Brukselą, albo ograniczenia dla naszych firm w handlu z ich unią celną.

To jednak nie jest taka czarna biała sytuacja, bo przecież obecne zasady handlu z Rosjanami czy Kazachami są korzystne dla obu stron. I ich ewentualna zmiana byłaby ze szkodą nie tylko dla Kijowa, ale i dla Moskwy, Astany czy Mińska. Jeśli pojawią się nowe cła, to także rosyjskie czy kazachskie towary przestaną być konkurencyjne na ukraińskim rynku. Wprawdzie musimy jeszcze przekonać do tego naszych partnerów z Moskwy czy Astany, ale właśnie w tym czasie próbujemy to robić.

Czy Unia jest gotowa na jakieś ułatwienia wizowe na czas piłkarskich mistrzostw Europy w Polsce i na Ukrainie?

Zaproponowaliśmy wspólnie z Polską, aby zmodyfikować na ten moment zasady Schengen i utworzyć jeden wspólny punkt kontroli granicznej oraz celnej, co przyspieszyłoby przekraczanie granicy. Czy się uda?

Cóż, usiłujemy uprościć biurokrację, ale szanujemy też wybór Brukseli, aby utrzymać dużą biurokrację. Byłoby jednak mało zrozumiałe, gdyby nasz plan spalił na panewce. W dłuższej perspektywie celem strategicznym Ukrainy jest oczywiście ruch bezwizowy. Obecnie tylko niecałe 4 proc. wniosków Ukraińców o wizy krajów Schengen spotyka się z odmową. Widać więc, że zniesienie wiz nie zrodziłoby dla UE ryzyka dużej imigracji.

Szef MSZ Ukrainy: Naszym celem Unia. Tomasz Bielecki. 22-07-2011

RZECZPOSPOLITA Żaden prezydent nie odnotował takiego spadku poparcia jak Wiktor Janukowycz. Ukraiński tygodnik „Korespondent” oszacował, że popularność Wiktora Janukowycza w ciągu roku prezydentury spadła trzykrotnie. Czterokrotnie mniej jest osób, które ufają obecnemu przywódcy.

Po ubiegłorocznej inauguracji, w lutym, Janukowycz miał wielki kredyt zaufania. Jego wyborcy mieli nadzieję, że nadejdą wielkie zmiany. Ale zmiany nie nadeszły, a ich sytuacja życiowa się nie tylko nie poprawiła, ale nawet pogorszyła – mówi „Rz” socjolog Andrij Byczenko z Centrum im. Razumkova w Kijowie. W maju 2010 r. działalność prezydenta pozytywnie oceniali 40 proc. osób. Dziś – 9 proc.

Popularność traci także rządząca Partia Regionów Janukowycza, którą popiera zaledwie 13 proc. badanych. „Dla Janukowycza i jego otoczenia zła wiadomość jest taka, że odwraca się od nich najwierniejszy elektorat na wschodzie kraju” – pisali w piątek ukraińskie portale. Otoczenie prezydenta nie dramatyzuje. – Nie tylko my tracimy. Traci także opozycja. To zła tendencja. Świadczy o tym, że nasi rodacy przestali mieć zdrowe podejście do polityki – przekonywała deputowana Partii Regionów Ołena Bondarenko. Zdaniem ekspertów w Kijowie cuda w sondażach zdarzają się rzadko i jeśli nastroje Ukraińców się nie poprawią, w przyszłym parlamencie będzie rządzić opozycja.

– Minimum 50 procent. Tyle głosów chce mieć w Radzie Najwyższej Partia Regionów Janukowycza. Jeśli nie będzie miała takiego poparcia, przyszłoroczne wybory parlamentarne zostaną odroczone do 2015 roku, w którym będziemy wybierać także prezydenta. Wy tłumaczenie zmiany terminu głosowania będzie proste: brak pieniędzy – mówił deputowany komunistów Leonid Gracz. Stwierdził, że „władze nie wytrzeźwiały i nie mogą pojąć, że wschód Ukrainy jest inny niż trzy, cztery lata temu”. Rosyjskie portale dawały Janukowyczowi „dobrą radę”. Pisały, że dla wyborców najbardziej liczy się gospodarka, nie ideologia, notowania poprawiłyby zaś integracja gospodarcza Ukrainy z Rosją.

Janukowycz pobli niechlubny rekord. Tatiana Serwetnyk.
22-07-2011

OD WARSZTATÓW DO SZKOŁY LETNIEJ

KONSTANTY CZAWAGA
tekst
TOMASZ BIELAŃSKI,
KONSTANTY CZAWAGA
zdjęcia

W dniach od 3 do 17 lipca w Przemyślu 25 studentów z Białorusi i Ukrainy, z Uniwersytetu im. Janki Kupały w Grodnie oraz Uniwersytetu im. Jurija Fedkowycza w Czerniowcach, wzięło udział w Polsko-Ukraińsko-Białoruskiej Letniej Szkole Języka i Kultury Polskiej. Szkoła była zorganizowana przez Instytut Południowo-Wschodni w Przemyślu przy współpracy z Państwową Wyższą Szkołą Wschodnioeuropejską, mającą swą siedzibę w mieście nad Sanem. Pomysłodawcą i koordynatorem projektu był dyrektor Instytutu – dr Stanisław Stępień.

„Instytut był organizatorem szeregu przedsięwzięć o charakterze edukacyjnym skierowanych do różnych środowisk na Ukrainie – powiedział dziennikarzowi Kuriera dr Stanisław Stępień. – Przed laty prowadziliśmy warsztaty dla studentów Uniwersytetu Lwowskiego im. Iwana Franki piszących prace dyplomowe lub kandydackie (doktoraty) z historii Polski i stosunków polsko-ukraińskich. Studenci przyjeżdżali tutaj na dwa tygodnie i w Instytucie odbywał się cały szereg wykładów dotyczących tej problematyki. Organizowaliśmy też dwu- i trzydniowe warsztaty dla dziennikarzy ukraińskich mających pokazać polskie doświadczenia transformacji ustrojowej i gospodarczej. Dziennikarze z Ukrainy poznawali funkcjonowanie samorządu, szkolnictwa czy też takich kwestii jak ekologia czy nawet polski system więziennictwa. Ta ostatnia sprawa była przedstawiana na przykładzie więzień w Przemyślu i w Rzeszowie, gdzie od-



Wykład prowadzi prof. dr hab. Jan Draus

bywają wyroki również osoby będące obywatelami Ukrainy, które popełniły przestępstwa na terenie Polski. Organizowaliśmy także seminarium narodowościowe dla uczniów liceów przemyskich i uczniów liceum z ukraińskim językiem nauczania. A więc mniejszość ukraińska, żyjąca w Polsce i Polacy, młodzi ludzie, będący w przedostatniej czy ostatniej klasie szkół licealnych, mogli poznać swoich kolegów z Przemyśla, ale narodowości ukraińskiej. Mogli zobaczyć, jak postrzegają oni świat, jakie mają problemy, a jednocześnie były to wykłady dające wiedzę o historii pogranicza i jego wielokulturowości.

Następnie organizowaliśmy staże dla naukowców kierowane do poszczególnych młodych ukraińskich naukowców z różnych dziedzin, gdzie byliśmy właściwie tylko organizatorami, bo te staże opierały się o środki uzyskiwane z Fundacji Stefana Batorego czy Kasy Popierania Nauki Józefa Mianowskiego. Tacy ludzie mogli, po pierwsze, zobaczyć jak pracuje nasz Instytut jako organizacja pozarządowa. Po drugie, zapoznać się z literaturą, która jest publikowana w Polsce. Następnie popracować w naszej bibliotece, w innych bibliotekach, a także w archiwach, no oczywiście



dr Stanisław Stępień

nawiązywać kontakty osobiste. Inicjatywa Letniej Szkoły jest pierwszą, jeżeli chodzi o naukę języka polskiego, bo nasze wcześniejsze doświadczenia uświadomiły nam, że czasem świetnie zorganizowane warsztaty nie do końca są zrozumiałe przez dziennikarzy czy przez studentów, ponieważ znajomość języka polskiego na Ukrainie w różnych środowiskach nie jest tak dobra. Jest, ogólnie mówiąc, różna, ale żeby czytać polską literaturę, młodzi naukowcy czy studenci muszą ten język doskonalić. Dlatego wyszliśmy z inicjatywą, żeby zorganizować intensywne nauczanie języka

polskiego. Jest to nauczanie skierowane w tym wypadku do dwóch Uniwersytetów: w Grodnie na Białorusi i w Czerniowcach na Ukrainie. (Właśnie dla nich, bo np. niewątpliwie znajomość języka polskiego we Lwowie jest lepsza niż w Czerniowcach). Szkoła przeznaczona jest głównie dla studentów stosunków międzynarodowych, a także studentów historii czy turystyki. To są dziedziny, gdzie znajomość języka polskiego jest niezwykle ważna. My jesteśmy organizatorami tego przedsięwzięcia i jego realizatorami. Wykłady, nauczanie języka polskiego, prowadzi pracownicy naszego Instytutu. To jest nasz wysiłek, no a pieniądze na ten cel musieliśmy pozyskać głównie w Kolegium Europy Wschodniej Jana Nowaka Jeziorańskiego w ramach Programu „Study Tours to Poland”. Czerniowce to pogranicze polsko-ukraińsko-rumuńskie. Podobnie wygląda sytuacja w Grodnie, gdzie na styku kultur mieszają się elementy białoruskie, polskie i litewskie. Tym się głównie kierowaliśmy, wybierając te dwa Uniwersytety. Nauka języka polskiego powoduje, że może on być językiem komunikacji między studentami Białorusi i Ukrainy.

Dr Stanisław Stępień uważa, że na Letnią Szkołę znaleziono dobre

miejsce. „Państwowa Wyższa Szkoła Wschodnioeuropejska jest zlokalizowana najbliżej ukraińskiej granicy uczelnia wyższą w Polsce. Chcemy kontynuować tą inicjatywę w latach następnych – podkreślił. – U nas nauka języka polskiego jest dość intensywna – 4 – 5 godzin dziennie plus konsultacje indywidualne. Oprócz tego wykłady z historii Polski, historii kultury, historii Europy. To jest nasz projekt, przygotowany przeze mnie. W ramach szkoły organizowane są wycieczki, żeby studenci mogli, będąc w Przemyślu, poznać i inne miasta. Podczas tego pobytu studenci byli w Leżajsku, Baranowie Sandomierskim, Sandomierzu, Nałęczowie, Kazimierzu nad Wisłą i w Lublinie. Oprócz tego organizowane są wycieczki po Przemyślu i okolicach. Pokazujemy i zwracamy uwagę na styk kulturowy, np. że w jednej miejscowości jest cerkiew i kościół. Jest to naturalne dziedzictwo historii. Tym razem młodzież z Ukrainy i Białorusi poznawała Przemyśl i jego muzea. Niewątpliwie, studenci chodzą też do sklepów, supermarketów i to, czego się nauczą na lekcjach, mogą tu praktycznie zastosować. Nauczanie przewiduje 70 godzin nauki języka polskiego, a w rzeczywistości, jest to więcej, ponieważ muszą się praktycznie wykazać i w autobusie, i w sklepie. Każdego dnia po kolacji odbywała się projekcja filmu. W ramach zajęć młodzież ukraińska i białoruska codziennie uczestniczyła w pokazach filmowych prezentujących klasykę polskiej kinematografii, obejrzała m.in. filmy: *Sami swoi*, *Przedwiośnie*, *Quo vadis*, *Pan Tadeusz*, *Ogniem i mieczem*, *Katryń*. Podczas zajęć prezentowano zaś polskie i ukraińskie filmy dokumentalne. W czasie wolnym studenci brali udział w dyskotekach i różnych imprezach kulturalnych w mieście i w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej. Zauważyłem, że ta młodzież bardzo solidnie podchodzi do nauki języka polskiego – wiedza, po co tutaj przyjechali”.

Rozmawiamy z docentem Katedry Stosunków Międzynarodowych, Wydziału Historii, Politologii i Stosunków Międzynarodowych Narodowego Uniwersytetu im. Jurija Fedkowycza w Czerniowcach dr. WŁADYSŁAWEM STRUTYŃSKIM, który jest też prezesem Obwodowego Towarzystwa Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza oraz Przewodniczącym Rady Koordynacyjnej Wspólnej Szkoły „Bukowińskie Studia Polskie im. Antona Kochanowskiego stworzonej przez Towarzystwo i Czerniowiecki Uniwersytet.

„Jednym z pierwszych skutków współpracy pomiędzy Państwową Wyższą Szkołą Wschodnioeuropejską a naszym Uniwersytetem w Czerniowcach jest podpisana przed dwoma laty umowa, – powiedział dr Władysław Strutyński. – Jednym z jej punktów był rozwój współpracy pomiędzy grupami studenckimi. Bodźcem był też fakt, że

POLSKIE OKNO DO EUROPY

na naszym czerniowieckim uniwersytecie na Wydziale Historii, Politologii i Stosunków Międzynarodowych, w katedrach: Stosunków Międzynarodowych i Informacji Międzynarodowej, oprócz nauki „tradycyjnych” języków obcych, wprowadzono dwa języki regionalne – rumuński i polski. Na język polski zgłosiło się sporo studentów.

Czy są to osoby pochodzenia polskiego?

Nie. Tu o pochodzeniu nie może być mowy. Jest to uniwersytecki program ogólno-edukacyjny. Polaków w obwodzie czerniowieckim na Bukowinie jest około 0.5%. Większość na tym terenie – to Ukraińcy, na drugim miejscu – Rumuni. Statystycznie można liczyć, że na wydziale może być od 4 do 10 studentów polskiego pochodzenia, ale są także dzieci z rodzin mieszanych. Na Uniwersytecie w Czerniowcach studiuje też młodzież z obwodów sąsiednich – iwano-frankowskiego, tarnopolskiego, chmielnickiego. Język polski jest obowiązkowy na 2 i 3 roku.



dr Władysław Strutyński

W tygodniu jest jedna godzina akademicka. Było trochę więcej, ale zmniejszono pensum z powodu, powiem tak, modernizacji systemu nauczania, a nie w związku z tym, że nie ma potrzeby. Wykłady języka polskiego prowadzi Oleg Slusar, który pochodzi z rodziny mieszanej. Skończył polską szkołę niedzielną w Czerniowcach przy Gimnazjum nr 3. Potem wydelegowano go na uczelnię wyższą do

Zielonej Góry, gdzie jest sporo bukowskińskich Polaków. Skończył tam polonistykę, obronił w zeszłym roku doktorat w Polsce, teraz nostryfikował się u nas.

Jakie jest zainteresowanie językiem polskim?

Jest bardzo duże. Jako wykładowca, powiedziałbym, że jednym z powodów tego zainteresowania jest perspektywa wejścia do Europy. Język polski, w związku z tym, że stał się jednym z roboczych języków Unii Europejskiej, stał się popularny. Studenci bardzo dobrze to rozumieją. Na Uniwersytecie w Czerniowcach język polski wykładany jest na Wydziale Filologii. Polonistyki u nas nie ma. Niemniej już 9 lat młodzież uczy się języka polskiego. Sporo prac magisterskich powstało na tematy związane z Polską i problematyką polsko-ukraińską. Już 6 prac doktorskich obroniono na temat Polski. Mamy też współpracę ze Słupskiem, Rzeszowem, Krakowem, Kielcami. Wysyłamy studentów,

6 – 10 osób. Teraz największa grupa – 15 osób, pojechało do Przemyśla. Przemyśl to dla nas miasto wygodne, przede wszystkim dlatego, że leży blisko od nas. Dojeżdżamy do granicy, przechodzimy ją na piechotę i już jesteśmy tutaj. Poza tym Ziemia Czerniowiecka i Ziemia Przemyska mają podobną specyfikę. Pogranicze u nas i pogranicze tu. Organizację wspólnych przedsięwzięć wziął na siebie Instytut i jego dyrektor. Jak to się rozpoczęło? – Jestem także prezesem Obwodowego Towarzystwa Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza w Czerniowcach i zawsze, gdy jako pracownik naszego uniwersytetu, biorę udział w spotkaniach z rektorami innych uczelni, staram się to wykorzystać. W ten sposób poznałem w Czerniowcach pana rektora Drausa. W rozmowie narodziła się idea: w Przemyślu jest polonistyka i stosunki międzynarodowe. U nas też jest taki wydział. Czemu by nie spróbować? A z doktorem Stanisławem Stępieniem znamy się od dawna. I tak, dzięki Bogu, się zaczęło.

IMPRESJE

Ciekawym, szczególnie dla mnie – dziennikarza KG, był widok, jak uczestniczący w Szkole Letniej słuchacze posługiwali się na lekcjach „Kurierem Galicyjskim”. Właśnie nasza gazeta służyła jako pomoc dydaktyczna.

Zauważyłem jednak, że poza lekcjami nikt ze studentów nie używał języka polskiego: ci, którzy przyjechali z Czerniowca rozmawiali po ukraińsku, a Białorusini wyłącznie po rosyjsku.

Rusłana Fedoruk, która pochodzi z Brzeżan na Podolu, studiuje informatykę międzynarodową. Powiedziała, że wcześniej nie miała kontaktów z Polakami, ale jej rodzice znają język polski. Babcia i dziadek rozmawiają po polsku, ponieważ kiedyś w sąsiedztwie mieszkali Polacy. Do Brzeżan też często przyjeżdżają wycieczki z Polski. „Jestem w Polsce po raz pierwszy – mówi dziewczyna. – Odczułam różnicę w zachowaniu ludzi, architekturze. Bardzo mi się podobało spacerować po starówce w Przemyślu. Ciekawym było zobaczyć zabytkowe dzielnice w Lublinie i innych miastach. Polska jest w Unii Europejskiej i to odczuwamy tu codziennie. Chcę zajmować się analityką oraz tłumaczeniami z polskiego i na polski. Dlatego jestem bardzo wdzięczna przede wszystkim za lekcje i zajęcia praktyczne z języka polskiego. Każdego wieczoru mamy możliwość oglądać polskie filmy. Zauważyliśmy też nieco inne spojrzenie naukowców polskich na historię stosunków między naszymi narodami. Tu też mamy wiele do porównania. Właśnie to pomoże wypracować każdemu z nas własne zdanie.

Nastia Hordaszko urodziła się w Czerniowcach. Jest już po drugim roku informatyki międzynarodowej. Języka polskiego nauczyła się w szkole. Moja prababka była Polką. Dziewczyna podziwia rolę Kościoła w życiu Polaków i społeczeństwa polskiego. Na Ukrainie też kościół w życiu miejscowych Polaków zajmuje więcej miejsca, niż cerkiew w życiu



Ćwiczenia z języka polskiego

prawosławnych. Uważam, że to bardzo dobrze, że kościół jednoczy obywateli państwa polskiego”.

Ajleszté studentki z Czerniowca powiedziały, że dzięki Szkole Letniej w Przemyślu, zwłaszcza doktorowi Stanisławowi Stępniewi, poznały imiona dwóch mistrzów – Czesława Miłosza i Dmytra Czyżewskiego, wybitnego ukraińskiego uczonego, encyklopedysty, który tworzył na emigracji a dzisiaj jest prawie nie znany na Ukrainie.

„Młodzież powinna wiedzieć o tym wszystkim, ażeby doceniać dobry stan dzisiejszych stosunków między Ukrainą i Polską i kontynuować dążenia do integracji europejskiej” – przekonane są Rusłana i Nastia. Według nich między współczesną młodzieżą nie ma antagonizmów. „Młodzież bardzo łatwo się integruje – podkreśliły. – Niestety zarówno z jednej, jak i z drugiej strony jeszcze nie obalono stereotypów, brakuje prawdziwej wiedzy o Polsce czy Ukrainie.”

Mariana Tesluk i Olesia Łesyk pochodzą z obwodu chmielnickiego.

„W Nowej Uszycy, gdzie mieszkają moi rodzice, większość mieszkańców jest zrusyfikowana – mówi Mariana Tesluk. Jestem prawosławna. Język polski był dla mnie obcy. Przyjechałam do Polski po raz pierwszy. Bardzo mi się podoba język pol-

ski, oglądaliśmy polskie filmy. Chciałabym jeszcze raz przyjechać do Polski. Jest to kraj bardzo gościnny”.

„A ja w Polsce jestem już po raz trzeci – dodaje Olesia Łesyk. – W zeszłym roku uczestniczyłam w Letniej Szkole w Słupsku. Język polski wybrałam dlatego, że mój pradziadek był Polakiem. Kiedyś na to nie zwracałam uwagi, a teraz jestem zachwycona polszczyzną”.

Siargiej Waronik jest na czwartym roku wydziału turystyki Uniwersytetu im. Janki Kupaly w Grodnie. „Będę fachowcem w dziedzinie turystyki. Nasz prof. Wiaczesław Szwid zaproponował nam by pojechać do Przemyśla. W Grodnie mieszka sporo Polaków, kilkakrotnie byłem w Polsce, jednak brakowało nam takich lekcji, jak tu w Przemyślu. Zwłaszcza interaktywne poznanie języka polskiego, jak również historii i kultury naszych sąsiadów. Jesteśmy bardzo wdzięczni organizatorom. Jest tu wspaniałe środowisko. Po raz pierwszy spotkaliśmy naszych rówieśników z Ukrainy”.

Natasza Tołstik powiedziała, że jest pochodzenia polskiego, chodzi do kościoła, jednak po polsku prawie nie rozmawia. Dlatego dziewczyna przede wszystkim zwracała uwagę na język. Nie ukrywa, że po zakończeniu Uniwersytetu w Grodnie, chce także studiować w Polsce. Może wybierze prawo czy jakiś inny kierunek.



Podczas zwiedzania Przemyśla

List do redakcji LATO W ZACZERNI



Dzieci Lwowskiej Rodziny Rodzin na wypoczynku w Zaczerni

Grupa dzieci z Rodziny Rodzin ze Lwowa po raz kolejny pod opieką Zofii Wróbel udała się na odpoczynek do parafii pw. Narodzenia NMP w Zaczerni koło Rzeszowa.

Organizatorami wspaniałego odpoczynku naszych dzieci był ks. proboszcz Piotr Szczupak, państwo Szeligowie, Kazimierz i Barbara (syn państwa Szeligów jest konsulem we Lwowie), ludzie niezwykle mili i przychylni Polakom na Kresach. Takie „Lato z Polską” organizowane jest rok rocznie dla dzieci z różnych zakątków Ukrainy i Moldawii.

W dniach od 13 – 19 czerwca br. dziesięcioro dzieci wypoczywało w tej zacisznej i uroczej miejscowości. Dzień rozpoczynał się modlitwą, która nadawała wszystkim cudowny nastrój. Następnie jechaliśmy na basen, gdzie okrzykiem radości nie było końca. Po tak pięknie rozpoczętym poranku było pyszne śniadanie, po którym następowały wycieczki w okolice i wyjazdy w dalsze strony. W tak krótkim czasie dzieci zwiedziły wiele atrakcyjnych miejsc: kościoły, sanktuaria, wodospady w Kolbuszowej, skansen, gdzie w chatkach sprzed wieków mogli zobaczyć wyposażenie i stroje naszych dziadków i pradiadków.

Wspólnie z ks. Andrzejem wyprawiali się w góry – rodzinne strony księdza. Odwiedzili seminarium w Smolasiu, gdzie jest cudowny obraz Przemienienia Pańskiego. Tego wieczoru główną atrakcją było ognisko, pieczone kiełbaski i piosenki śpiewane wspólnie z ks. Jurkiem.

Ogromne wrażenie na dzieciach sprawiła wycieczka na podrzeszowskie lotnisko w Jesionce. Tam dzieci



Odwiedziny w stadninie

z bliska mogły przyglądać się startom i lądowaniom samolotów pasażerskich. Największą frajdę dzieciakom sprawiło jednak oglądanie sportowych samolotów. Najbardziej zafascynowani byli chłopcy, bo można było dotknąć, obejrzeć i posiedzieć za sterami prawdziwego samolotu!

Buzie naszych dzieci promieniały radością też w czasie pobytu w stadninie koni. Każde dziecko miało okazję przejechać się na koniu, a siedząc w siodle, czuli się jak prawdziwi kowboje (nawet dziewczynki po obejrzeniu filmu z Salmą Hayek).

Wakacje dobiegają końca, ale i tu spotkała nas niespodzianka. W dzień wyjazdu, a była to niedziela 19 czerwca, w Zaczerni był festyn, na który zeszła się cała wioska. Byli również redaktorzy z „Radia Rzeszów”. Na święto przyjechał ze Lwowa chór katedralny, który swoim pięknym śpiewem uświetnił uroczystość. Zabawa trwała do późnej nocy, a lwowski chór przyjmowano owacją. Nasze dzieci też z radością oklaskiwały rodaków. Mieszkańcy Zaczerni długo nie puszczali chóru ze sceny. Nasze dzieci szczęśliwie i szybko dojeżdżały do Lwowa, wprost w ramiona swoich stęsknionych rodziców.

W imieniu dzieci z Lwowskiej Rodziny Rodzin, które tak wspaniale odpoczęły i miały wiele niezapomnianych wrażeń i ich rodziców składamy serdeczne podziękowania wszystkim organizatorom, sponsorom i opiekunom, dzięki którym nasz pobyt w Zaczerni był tak wspaniały. Specjalne podziękowania należą się państwu Barbarze i Kazimierzowi Szeligom i całemu zespołowi Caritasu w Zaczerni. Życzymy im wiele zdrowia, szczególnie panu Kazimierzowi. Wiele wdzięczności mali lwowiaczy mają dla ks. proboszcza Piotra Szczupaka. Szczególne podziękowania składamy ofiarodawcom, dzięki którym nasze dzieci wypoczęły i z nowymi wrażeniami wróciły do Lwowa, a szczególnie panom: Leszkowi Krawczykowi, Markowi Grochulskiemu, Markowi Porębie, Bronisławowi Ciasnocha, Markowi Drożdżowi, Józefowi Fedanowi i Tadeuszowi Gratkowskiemu.

Dziękujemy Wam wszystkim za dobre serca!!!

**W imieniu dzieci i rodziców
Lwowskiej Rodziny Rodzin
ZOFIA WRÓBEL**

CO MAMY ZROBIĆ ZE ZBRODNIAМИ NA WOŁYNIU?

Dlaczego nacjonaliści w imię świetlanego celu mogą zabijać Ukraińców, a komuniści w imię świetlanego celu – zabijać ich nie mogą?

PAWŁO ZUBJUK

Zacznę od niepopularnych w nacjonalistycznych (narodowo-demokratycznych, patriotycznych itd.) środowiskach tezy: OUN-UPA popełniła zbrodnię przeciwko ludności cywilnej.

Dotyczy to zarówno zabójstw na tle etnicznym jak i ideologicznym: ofiarami OUN i UPA były tysiące Polaków i etniczni Ukraińcy, których poglądy zostały uznane przez odpowiednie banderowskie „organy” za wrogie. Tych faktów żaden z naszych historyków nie neguje, po prostu starają się oni w jakikolwiek sposób usprawiedliwić te zbrodnie.

Usprawiedliwianie opiera się głównie na prawie narodu ukraińskiego do walki wyzwolenczej. Sprawia się wrażenie, że dawno temu na terenach Galicji i Wołynia żyli wyłącznie etniczni Ukraińcy, którzy mieli własne państwo, a potem nadeszli polscy najeźdźcy, którzy zniszczyli ukraińską państwowość i przez długi czas wyszyskiwali Ukraińców. Następnie Ukraińcy zbuntowali się i przepędzili okupantów z powrotem do Polski.

W rzeczywistości wszystko było o wiele bardziej złożone i mniej jednoznaczne. Za czasów Rusi było mało prawdopodobne, aby lokalne plemiona czuły się „Polakami” czy „Ukraińcami” – jakieś podziały pojawiły się dopiero po nadejściu chrześcijaństwa, podczas licznych konfliktów pomiędzy Polską i Rosją, podczas katolickiego i prawosławnego opanowania ziem dawniej pogarańskich.

I Polacy (katolicy) pojawili się na terytorium współczesnej Ukrainy niewiele później niż Ukraińcy (prawosławni).

Dlatego traktowanie Polaków wyłącznie jako takich sobie kolonistów-cudzoziemców jest delikatnie mówiąc, niewłaściwe. Oczywiście, był

polski kolonializm – ale nie różniący się bardzo od kolonializmu Ukraińców, którzy opanowywali dawne stepy tatarskie.

Niewielu z patriotów ukraińskich zgodzi się, że walka narodowo-wyzwolencza Tatarów może logicznie zakładać eksterminację wsi ukraińskich w Tawrii pod hasłem „zabierajcie się do swojej Ukrainy”, prawda?

Jakakolwiek wojna – czy to „narodowo-wyzwolencza” jak i „imperialistyczna” – ma pewne ograniczenia, poza którymi – bez względu na szlachetność celu – działania wojskowe stają się zbrodniami.

Sowiecki partyzant Wasyl Kononow ze swoim oddziałem zabił dziewięciu mieszkańców wioski Małe Baty na Łotwie, za co został uznany przez sąd łotewski za zbrodniarza wojennego. Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał ten wyrok za sprawiedliwy – mimo że niektórzy z zamordowanych mieszkańców wsi współpracowali z okupacyjną policją.

Jak w świetle takiego wyroku można ocenić niszczenie przez banderowców polskich wsi z powodu obwiniania o „pragnienie odbudowy przedwojennej Polski”? Logika prosta: po pierwsze jeśli to Polacy – to znaczy, że chcą tutaj Polski, a skoro chcą Polski – to trzeba ich zlikwidować.

Cóż tu można powiedzieć: Kononow jest tylko zwykłym amatorem w porównaniu z niektórymi dowódcami UPA, którzy pisali w raportach zupełnie otwarcie: „Po przeprowadzeniu czystki Polaków w terenie rzadko można spotkać jakiegoś Laszka” lub „Zabito ponad 180 Łachów, poraniono około 200, reszta spaliła się w ogniu. Wieś spalono w 80%. przetrwały tylko domy murowane i kościoły”.

Istnieje nawet instrukcja Centralnego Prowydu na temat likwidacji wszystkich dorosłych mężczyzn Polaków:

– Biorąc pod uwagę oficjalne stanowisko polskiego rządu w sprawie współpracy z Sowietami, Polacy z naszego kraju powinni zostać usunięci. Proszę rozumieć to tak: nakazać ludności polskiej wysiedlenie na ziemie rdzennie polskie. Jeśli ona tego

nie wykona, należy wysłać bojówki, które będą likwidować mężczyzn, a domy i mienie palić (rozbierać).”

Tak więc w rzeczywistości Polacy zostali uznani za zakładników polityki rządu państwa, które istniało około 20 lat – nie zważając na fakt, że większość z nich mieszkała w Galicji i na Wołyniu od wielu pokoleń, na długo przed powstaniem tego państwa.

Przypominam, że zabójstwo mężczyzn ze względu na pochodzenie etniczne w bośniackiej Srebrenicy zostało uznane na arenie międzynarodowej za ludobójstwo.

Przejdźmy do represji wobec etnicznych Ukraińców. Jak wiadomo, podczas niesławnej pacyfikacji w 1930 roku zbito kilkunastu Ukraińców, przy czym niektórzy z nich byli członkami OUN i wystąpili przeciwko pacyfikatorom z bronią w ręku.

Porównajmy te liczby ofiar ze wspomnieniami Danyły Szumuka, a konkretnie z jego rozmową z rejonowym referentem SB OUN „Czumakiem”.

– (...) Oto co mnie interesuje. Wczoraj byłem za rzeczką, ot na tamtych chutorach – pokazałem głowę w kierunku chutorów – tam dowiedziałem się strasznych rzeczy. W tej wsi 16 rodzin całkowicie zniknęło, ze starcami i z dziećmi. Chciałbym wiedzieć, dlaczego i w imię czego takie niewypowiedziane okropności są popełniane?

– Jestem zaskoczony, że Wy z takimi pytaniami przyszliście do mnie. Wy przecież spotykacie się czasami nawet z naszymi największymi zwierzchnikami, więc ich pytajcie – odpowiedział Czumak.

– To „najwyższe” dowództwo nie rozkazywało Wam zlikwidować tych 16 rodzin, to już wasza bezpośrednia robota.

– Ja tylko wykonuję rozkazy i to wszystko! Zrozumiano?

– Wy decydujecie o losach ludzi – czy mają żyć, czy umrzeć i kto dokładnie. Wy zabijacie dzieci. Czy Wy rozumiecie, co to znaczy zabijać dzieci? – powiedziałem z oburzeniem, i nie żegnając się, wyszedłem”.

Tak oto, tylko w jednej wsi zlikwidowano 16 rodzin – co najmniej trzy

razy więcej Ukraińców niż zginęło z rąk polskich pacyfikatorów w 1930 roku w całej Galicji i na Wołyniu. Co było przyczyną wymordowania całych rodzin? O tym poniżej.

„Opowiedziałem im obojdwóm wszystko od początku. O tym, że zlikwidowano 16 rodzin bez sądu i dochodzenia, wraz z małymi dziećmi, i o swojej rozmowie z rejonowym referentem Bezpieczeństwa – Czumakiem. Myślał chmurzył się cały czas i wylał mi palce, aż trzeszczały. Kryłacz także słuchał mnie z jawną niechęcią.

– Sowietci niebawem zagarną cały Wołyń, więc – jakbyście chcieli, żebyśmy im zostawili gotową siatkę agenturalną?

– Dopóki jest to możliwe, powinniśmy wyrwać z korzeniami wszystko to, co może umacniać władzę sowiecką – powiedział Mytła”.

Oczywiście, można założyć, że Szumuk kłamie i że nic takiego nie miało miejsca.

Jednak represje wobec inaczej myślących („odstępców” „wykrywano” w marszu, nawet nie przy udziale osławionych „trójek”, lecz robili to indywidualnie lokalni referenci SB) ukryć trudno: można je zobaczyć w raportach SB, i we wspomnieniach mieszkańców wsi.

Nic dziwnego, że w wielu wsiach na Wołyniu (w Galicji nie widziałem, więc nie twierdzę) stoją dobrze utrzymane pomniki ofiar nacjonalistów.

I znowu: porównajmy 16 rodzin z „sukcesem” czerwonego partyzanta Kononowa, który zamordował „tylko” dziewięciu wieśniaków.

Dlatego zdecydowanie nie udało się zrzucić wszystkiego wyłącznie na „niektóre ekscesy” walki wyzwolenczej i „prowokacje przebranych eNKaWuDzistów”. Zbrodnicze rozkazy kierownictwa OUN-UPA – to fakt, zbrodnicze działania jednostek bojowych – to też fakt. Powstaje pytanie, jak się do tego ustosunkować.

Można spróbować przekonać Europę i wschód Ukrainy, że banderowska frakcja OUN była tak wspańska, że miała prawo do eksterminacji mieszkańców Ukrainy według wła-

snego uznania w imię wolności narodu ukraińskiego.

Tyle że trudno wytłumaczyć w sposób logiczny, kto dał to prawo jednej z frakcji w jednej z organizacji. I dlaczego nacjonaliści w imię świetlanego celu mogą zabijać Ukraińców, a komuniści w imię świetlanego celu – zabijać ich nie mogą.

Nowoczesna Europa nie ma jednej interpretacji historii: na te same wydarzenia Francuzi i Brytyjczycy mogą mieć różne poglądy.

Jednak pojęcie zbrodni – zwłaszcza w XX wieku – jest określone w sposób jednoznaczny. Wątpliwe więc, czy komukolwiek uda się przekonać Europejczyków, że ukraińscy nacjonaliści mają specjalny system wartości, który w cudowny sposób odpuszcza im zbrodnie popełnione dla szczytowego celu niezależnej zjednoczonej państwowości.

Trudno jest przekonać do czegoś podobnego i Ukraińców na Wschodzie – zwłaszcza ze względu na informacyjny wpływ Moskwy.

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem samoponizacji się w imię „integracji” lub „jedności Ukrainy” – ale w tej sytuacji samoponizacją się jak raz nie jest potwierdzenie oczywistości, lecz maniackalne trwanie przy „jasnym i doskonałym” obrazie „narodowo-wyzwolenczej walki OUN-UPA” – wbrew ogólnie znanym i powszechnie dostępnym faktom.

Nadszedł czas, aby przekroczyć granicę, która oddziela piękną propagandową bajkę od surowej, ale realnej prawdy historycznej. I przekraczanie tej granicy – to pierwszy krok do wyjścia z beznadziejnej „nacjonalistycznej” marginalizacji.

**tłumaczył
WIESŁAW TOKARCUK**

Powyższy artykuł został opublikowany 22 lipca 2011 r. na portalu: [istpravda.com.ua](http://www.istpravda.com.ua), <http://www.istpravda.com.ua/column-s/2011/07/22/46394/>

Dzień później przedrukował go polski portal: kresy.pl

KŁOPOTY „STREFY EURO” I ICH PROJEKCJA NA EUROPE

JAN WLOBART

Jak wcześniej pisałem w Kurierze Galicyjskim (KG nr 13), strefa walutowa euro zmaga się z problemem olbrzymiego zadłużenia Grecji oraz zagrożenia niewypłacalnością Irlandii, Portugalii, a także dużym napięciem bilansu Hiszpanii i Włoch, które, jak na razie, dają sobie radę.

Wspólna waluta i masowy przepływ kapitału, w wyniku niestabilności w krajach południowej Europy, szuka bezpiecznej lokacji, gdzie ryzyko jest małe. To powoduje dodatkowe obciążenia dla krajów zagrożonych, ponieważ wzrasta oprocentowanie obligacji skarbowych (dłużnych) i, automatycznie, koszt ich wykupu. Europa po raz pierwszy znalazła się w takiej sytuacji i tym można tłumaczyć niezdecydowane działania pomocowe w maju

2010 roku, udzielone Grecji i Irlandii, a później Portugalii. Działania pomocowe dużych gospodarek – jak niemiecka, francuska i inne, polegająca na udzielaniu pożyczek, spotykały się z oporem własnych obywateli, ponieważ są udzielane z pieniędzy podatników. W wyniku niezdecydowanych działań, jak pokazał czas, ich wielkość okazała się niewystarczająca. Pomoc dodatkowo nie wsparta zaangażowaniem kapitału prywatnego i obniżeniem oprocentowania wykupywanych obligacji dłużnych, nie dała zamierzonego efektu.

Kilka dni temu Grecji, aby nie stała się bankrutem, trzeba było przyznać dodatkowo 109 mld € pożyczki oraz dodatkowo 50 mld € z funduszy prywatnych. Wygląda na to, że obecna pomoc okaże się tym razem skuteczna, ponieważ zahamuje działania spekulacyjne, uspokoi rynek kapitałowy i obniży odsetki, a także wydłuży termin wykupu obligacji skarbowych (dłużnych).

Co może być ciekawe, niewypłacalność, choć na mniejszą skalę, miała miejsce w Europie w latach osiemdziesiątych XX wieku, a krajem bankrutem była... Polska. Powodem były olbrzymie kredyty, zaciągnięte po dojściu do władzy Edwarda Gierka w 1970 roku. Kredyty, zaciągnięte na modernizację przemysłu, zostały tylko w części wykorzystane, reszta została zmarnotrawiona i przejeżdżona, czym kupowano sobie spokój społeczny, importując żywność na kredyt.

Po stanie wojennym, ogłoszonym w grudniu 1981, Polska nie była w stanie spłacać długów i zaprzestała ich spłacania. Efektem tego był brak możliwości zaciągania dodatkowych kredytów, a także areszty statków i samolotów na terytorium państw wierzycieli Polski, jak również blokowanie aktywów finansowych, posiadanych w bankach zagranicznych. Dopiero działania podjęte po 1989 roku, po zmianie ustroju w Rzeczypospolitej

Polskiej, spowodowało że rozpoczęto negocjacje z „klubem paryskim”, skupiającym wierzycieli państwowych, i „klubem londyńskim”, zrzeszającym wierzycieli prywatnych. W wyniku tych negocjacji, zredukowano polski dług o około 50%, a pozostała część jego została spłacona w końcu 2000 roku.

Jak wiadomo, kapitał nie zna granic, dlatego kraje nie będące w strefie euro nie są wolne od zagrożeń chociażby z tego powodu, że traktowane są przez inwestorów jako gospodarki wschodzące o większym ryzyku kapitałowym.

O wiele większe problemy mają gospodarki peryferyjne, jak ukraińska czy białoruska, które natychmiast potrzebują kapitału na modernizację i zbilansowanie swojego budżetu. Jak wiadomo gospodarka Białorusi, jest praktycznie bankrutem. Dewaluacja o 70%, niespełna rok temu własnej waluty, kompletny brak dewiz, duże ilości towaru niesprzedanego i niewyprodu-

kowanego z powodu braku komponentów kupowanych za waluty, presja Rosji, przejęcie kontroli nad liniami przesyłu gazu i ropy, powoduje, że kraj ten nie ma żadnych szans na samodzielne uzdrowienie własnej gospodarki.

Gospodarka Ukrainy też przeżywa trudne chwile. Trudności w pozyskaniu kapitału na modernizację, przestarzała gospodarka, brak nowych technologii, wszechobecna korupcja nie zachęcają inwestorów do modernizacji i stwarzania nowych miejsc pracy w gospodarce ukraińskiej. Efektem tego jest masowy exodus Ukraińców za pracą, co ma jednak ten plus, że stabilizuje bilans walutowy, przywieziona przez pracujących za granicą. Wydaje się, że trudności gospodarki ukraińskiej, opartej na przemyśle ciężkim i niewielkiej ilości własnych surowców, przy braku nowych technologii, będą się pogłębiać. Dlatego też kryzys strefy euro niekorzystnie odbije się na niej.

WIELKA POLITYKA ZACZYNA SIĘ W REGIONACH



WOŁODYMYR JACIW

Stosunki międzynarodowe są dziś ważnym elementem nawet wewnętrznej polityki regionów. Państwo potrzebuje inwestycji, dlatego wspólne transgraniczne projekty – to droga do rozwoju przedsiębiorczości, infrastruktury, rozwiązanie problemów socjalno-ekonomicznych. Województwo lwowskie to teren przygraniczny, w związku z tym ma przewagę nad innymi. Jak wykorzystać swój potencjał położenia geograficznego, w jaki sposób rozbudować proces integracji europejskiej regionu – rozmawiamy z deputowanym do Lwowskiej Rady Wojewódzkiej, zastępcą przewodniczącego komisji ds. eurointegracji, współpracy transgranicznej i kontaktów z Ukraincami za granicą ŚWIATOSŁAWEM SZEREMETĄ.

Panie Światosławie, poprzednio pracował Pan w państwowej komisji ds. uczczenia ofiar wojny i politycznych represji, w której był pan sekretarzem. W Radzie Wojewódzkiej jako deputowany i zastępca przewodniczącego komisji ds. eurointegracji, współpracy transgranicznej i kontaktów z Ukraincami za granicą kontynuuje swoją działalność?

Miałem zaszczyt przez dwa lata pracować w Kijowie jako sekretarz w komisji państwowej, na czele której stał wicepremier Iwan Wasiunyk. Dużo zrobiliśmy w kwestii uporządkowania ukraińskich mogił, między innymi za granicą. W latach 90. zostały podpisane umowy z Polską, Niemcami, Węgrami i Włochami co do uporządkowania wojskowych pochówków. W ramach tych umów odbyły się spotkania i opracowywano projekty. Problem w realizacji polegał w tym, że lata 2009 – 2010 były kryzysowymi na Ukrainie, jak i w całym świecie, i brakowało funduszy. Ale jednak udało nam się otworzyć cmentarz we wsi Gorajec w Polsce.

Jeżeli mówimy o Radzie Wojewódzkiej, to prowadzimy systematyczne działania w celu uporządkowania pochówków ukraińskich poza granicami kraju. Z inicjatywy naszej komisji w tym roku rada opracowała konkretne projekty w tej kwestii. W budżecie na ten rok przewidziane są środki finansowe na poszukiwania i ekshumację szczątków naszych żołnierzy, które spoczywają w zie-

mi, błotach i lasach bez należącego chrześcijańskiego pochówku. Przewidujemy też fundusze na prace poszukiwawcze w archiwach. Mowa tu o wojewódzkim programie na lata 2012 – 2017: „Pamięć: poszukiwania i uporządkowywanie pochówków Ukraińców za granicą”. Ale pewne części tego programu będą zrealizowane w tym roku. Jako przykład: 19 maja Lwowska Rada Wojewódzka przyjęła program socjalno-ekonomicznego i kulturalnego rozwoju na 2011 rok, w którym przewidziane jest sfinansowanie zakończenia prac na mogile poległych Ukraińców we wsi Wola Zaleska (Polska) w sumie 60 tys. hr. i jeszcze 360 tys. hr. przewidziano na odnowienie pomnika żołnierzom UGA UNR w Łańcucie (Polska).

Od tematów kulturalno-historycznych przejdźmy do ekonomicznych. Woj. lwowskie jest terenem przygranicznym z członkiem Unii Europejskiej – Polską. Jak, wykorzystując kontakty transgraniczne, udaje się rozwiązywać problemy socjalno-ekonomiczne?

Współpraca transgraniczna jest bardzo ważna, bo jej zadaniem jest rozwój terenów przygranicznych. Właściwie to cała Unia zaczynała się od rozwoju terenów przygranicznych. Jest wiele programów, finansowanych przez Unię Europejską, których zadaniem jest rozwój współpracy terenów przygranicznych. Są też instytucje transgraniczne, które łączą tereny przygraniczne i działają niezwykle efektywnie przy rozwiązywaniu wielu problemów. Tego rodzaju instytucje bardzo efektywnie działały w stosunkach niemiecko-francuskich, niemiecko-polskich i francusko-hispańskich. Mamy dobre przykłady. Budżet UE formuje się na 7 lat. Jeżeli teraz realizowany jest budżet na 2007 – 2014, to już w następnym roku będzie formowany na lata 2014 – 2020. Istnieje program dobrosąsiedztwa „Polska-Białoruś-Ukraina”, który finansuje projekty współpracy transgranicznej. Na ten program wydzielono ogółem 186 mln euro. Program jest realizowany na przestrzeni 2007 – 2013. W tym programie opracowano poszczególne transze. W zeszłym roku z funduszu przeznaczono 16 mln euro. Na ten rok na nowe projekty przewidziane jest 88 mln euro.

Co to za program i na co przeznaczane są pieniądze?

Ten program obejmuje trzy państwa, a faktycznie 9 podmiotów w tych państwach. Uczestniczą w nim ze strony ukraińskiej lwowskie, wołyńskie i zakarpacie województwa. Z polskiej strony – województwa podkarpackie, lubelskie i podlaskie. Oraz trzy województwa na Białorusi – brzeskie, grodzieńskie i mińskie. W wypadkach szczególnych do konkursu mogą stawać te województwa, które graniczą z wymienionymi. Jeżeli chodzi o Ukrainę to dodatkowo udział mogą jeszcze brać województwa: rówieńskie, iwano-frankowskie i tarnopolskie. Ale



podkreślam – tylko w szczególnych przypadkach.

Działanie programu dobrosąsiedztwa „Polska-Białoruś-Ukraina” skierowane jest na rozwój terenów przygranicznych, rozwiązywanie problemów ekologicznych, rozwój infrastruktury, rozbudowę przejść granicznych, jak również, na rozwiązanie wspólnych problemów uczestników programu. W programie przewidziane są znaczne fundusze. Jeżeli sumę 88 mln euro przeliczyć na hrywny według kursu 11,5 hr/euro, to wyniesie to ponad miliard hrywn. Na przykład w maju Lwowska Rada w zatwierdzonym budżecie przeznaczyła na programy rozwoju socjalnego i budownictwa 14,5 mln hr.

Co jest potrzebne, żeby część tych pieniędzy poszła też na rozwój województwa, a nie tylko na Lwów? Chyba trzeba udowodnić i przekonać, że te pieniądze będą wykorzystane na konkretne cele?

Jeżeli mówić o tej części, która może trafić do województwa lwowskiego, to należy zacząć od tego, na ile aktywna będzie Rada Wojewódzka, Administracja Państwowa, organy samorządowe i organizacje społeczne. Wiele zależy od tego jak aktywna będzie nasza współpraca z polskimi partnerami. Bo podstawowym warunkiem konkursu jest realizacja projektu po obu stronach granicy. Ma to być wspólny problem i wspólne jego rozwiązanie.

Wspominał Pan o euroregionach jako efektywnym instrumencie współpracy transgranicznej. Część województwa lwowskiego wchodzi też do euroregionu „Karpaty”. Ma on już pewną historię, rozwija się.

Co się tyczy euroregionu „Karpaty” – jest to przykład jak dobrym zarządzaniem i zawodowym podejściem do sprawy można zrobić rzeczy korzystne dla rozwoju terenów i integracji do eurowspólnoty i polepszenia wizerunku Ukrainy w świecie.

Jest to unikalna struktura, która obejmuje cały system Karpat. To nie tylko Polska i Ukraina, to jesz-

cze Słowacja, Węgry i Rumunia. Euroregion znajduje się na terytorium pięciu państw i zamieszkuje je ponad 5 mln ludzi. Mamy satysfakcję, że naszym przedstawicielem w euroregionie „Karpaty” jest Wołodymyr Horbowyj, przewodniczący Rady Starego Sambora. Bardzo aktywni są przedstawiciele i Zakarpacia, i Iwano-Frankowska, ale to właśnie nasze województwo jest wiodącym i tworzy bardzo ważne projekty. To właśnie Stary Sambor jest aktywnie działającym regionem, jeżeli chodzi o współpracę transgraniczną, ma dobre kontakty z partnerami w Polsce – powiatami: przemyskim, sanockim i bieszczadzkim. To tłumaczy, dlaczego Wołodymyr Horbowyj został przedstawicielem Ukrainy w tej strukturze. Na dzień dzisiejszy w euroregionie „Karpaty” opracowywane są nowe projekty operacyjnego programu na lata 2014 – 2020 w ramach programu „Polska-Białoruś-Ukraina”.

Województwo lwowskie – to teren przygraniczny, w rozwoju którego ważne miejsce zajmuje ilość przejść granicznych. Otwarcie nowych – to prerogatywa władzy centralnej, ale jeżeli odpowiednio będą nastawione rady rejonów i wojewódzka, sprawa zostanie rozwiązana prędkiej.

To pytanie już nie raz podnosiliśmy na posiedzeniach Rady Wojewódzkiej i będziemy go stawiać nadal. Trzeba, żeby Kijów wysłuchał naszych potrzeb, które ma przygraniczne woj. lwowskie. Bardzo szkoda, że otwarcie 5 nowych punktów granicznych na Euro 2012 pozostało tylko w planach. Dlatego Rada i Administracja wojewódzkie będą podnosić ten problem i w Radzie Najwyższej, w rządzie i u prezydenta, żeby powstawały nowe przejścia na granicy. Według zaleceń UE, żeby pozbyć się ponizających kolejek na granicach, odległość pomiędzy poszczególnymi punktami powinna wynosić maximum 35 km.

Wiele zależy od odpowiednio wykształconych ludzi. Żeby uzyskać środki z UE, jak to robi Polska, należy być ekspertem w tej kwestii, myśleć po europejsku

i na tym poziomie składać projekty. Czy mamy takich fachowców?

Jest to bardzo trudne pytanie, bo fachowców, którzy umieją w odpowiedni sposób przygotować projekt finansowania z UE jest niewiele. Polska, kiedy startowała do UE, też miała podobne problemy. Ale już na moment wstępu do Unii Polska przygotowała wielu fachowców, którzy profesjonalnie składali projekty na wszystkich poziomach władzy i organizacji społecznych. I teraz widzimy, że dzięki ich umiejętności kraj umiejętnie wykorzystuje instrumenty unijne, rozwiązuje cały szereg socjalnych, ekonomicznych i społecznych problemów.

Jeżeli brać pod uwagę woj. lwowskie to nie mamy wielu specjalistów w tej dziedzinie. Dlatego bardzo ważnym zadaniem dla Ukrainy jest przygotowanie odpowiednich ekspertów-konsultantów, którzy by wspomagali samorządy w realizacji projektów europejskich.

Mamy już pewien dorobek. Delegacja z Olegiem Pankiewiczem odwiedziła woj. lubelskie, gdzie spotkali się z przewodniczącym sejmiku wojewódzkiego. Omówiono tam sprawę podania wspólnego projektu nauczania działaczy samorządowych i urzędników w realizacji wniosków współpracy transgranicznej.

Czy nie byłoby celowe dołączyć do tej sprawy studentów kierunków „stosunki międzynarodowe” uczelni lwowskich, żeby nabierali doświadczenie w tej dziedzinie. Byliby to w przyszłości kompetentni specjaliści w zakresie pozyskiwania funduszy europejskich?

To dobra myśl. Jeżeli są studenci, którzy chcą pracować w sferze integracji europejskiej, współpracy transgranicznej jesteśmy gotowi do współpracy, do realizacji projektów, do nauki. Zapraszamy. Mogą w przyszłości zostać ekspertami składania wniosków.

Gdy przed trzema laty z wizytą na Ukrainie był wiceprzewodniczący Parlamentu europejskiego Marek Siwiec, mówił o tym, co to jest UE, że przede wszystkim to integracja regionów.

Granica UE – to granica pomiędzy Polską a Ukrainą, a woj. lwowskie leży na tej granicy. Sam Pan Bóg nakazał pokazać przykład całej Ukrainie w eurointegracyjnych projektach współpracy transgranicznej. Musimy aktywnie przygotowywać specjalistów i angażować wszelkie środki finansowe do rozwoju regionu. Jeżeli uda się to zrobić, to przyciągnie to inwestorów z granicy, z Europy. Europejski biznes zobaczy, że mamy sprzyjające warunki dla współpracy i przyjdzie ze swymi inwestycjami.

PS. Na przykładzie sytuacji w regionach ocenia się obraz każdego państwa. Miejmy nadzieję, że władze Ukrainy przysłuchają się do problemów polityki regionalnej i wypełnią swoją obietnicę: np. otworzą nowe przejścia graniczne.

Czterysta polskich dzieci z Ukrainy spędziło w Warszawie dziesięć dni wakacji razem ze swoimi warszawskimi rówieśnikami. Pobyt zorganizowało im Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” oraz samorządy warszawskie.

z **MICHAŁEM DWORCZYKIEM**, członkiem zarządu Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i organizatorem akcji rozmawiał **MARCIN ROMER**

Panie Michale, w tym roku dzięki Pana determinacji ponad 400 dzieci z Ukrainy miało szansę spędzić 10 dni w Warszawie w ramach akcji „Lato w mieście”. Jak do tego doszło, skąd się wziął ten pomysł? Pomysł nie jest zresztą całkiem nowy?

Nie, jest to akcja, która nazywa się „Lato z Polską” i odbywa się już trzeci raz. Zainicjował ją śp. Marszałek Piłsudski trzy lata temu dla dzieci z Białorusi. W tym roku po raz pierwszy udało się włączyć do akcji dzieci z Ukrainy – Senat wyraził na to zgodę. Akcja polega na tym, że organizowane są dziesięciodniowe wyjazdy studyjno-edukacyjne do Polski dla dzieciaków z Białorusi i z Ukrainy, w tym roku z Ukrainy i z Rosji. Finansowane w połowie przez Senat, w połowie przez samorządy warszawskie. Warto podkreślić, że w tym roku po raz pierwszy Warszawa zaangażowała się w to przedsięwzięcie. Znalazło się kilka samorządów dzielnicowych, które zgodziły się wspólnie z nami przygotować taki przyjazd i dzięki temu to wszystko mogło się odbyć. Rada miasta podjęła decyzję, dzięki której dzieci były zwolnione z opłat za bilety komunikacji miejskiej, szereg placówek kultury miejskiej udostępniło za darmo swoje zbiory,



umożliwiło odwiedzenie naszym gościom z Ukrainy tych miejsc. Tak to wygląda.

Przyjazd 400 dzieci do Warszawy jest dużym wyzwaniem organizacyjnym. Jak to zorganizowaliście? Jaki był system naboru uczestników?

Zależało nam, by trafiło do nas, do Warszawy, jak najwięcej dzieci, które w Warszawie, a najlepiej – w Polsce, jeszcze nie były. Było to możliwe dzięki przeprowadzeniu rekrutacji wspólnie z organizacjami polskimi na Ukrainie, względnie

LATO Z POLSKĄ



z parafiami (tak jak w przypadku Doliny czy Dowbysza). Na miejscu księża bądź też prezesi, rekrutowali dzieci, które odpowiadały zarówno wymaganiom wieku, jak i innym kryteriom, które trzeba było spełnić. Chodzi przede wszystkim o to, aby były to dzieci, które uczą się języka polskiego, ponieważ chcieliśmy, aby ten wyjazd do Warszawy był też pewnego rodzaju nagrodą za całoroczną aktywność oraz zachętą do tego, by jeszcze chętniej uczyć się języka polskiego w przyszłości. Rekrutacja przeszła bardzo sprawnie, a następnie uczestnicy tego projektu autokarami przyjechali do Warszawy.

Które z samorządów warszawskich włączyły się w tę sprawę?

Największe podziękowania bez wątplenia należą się samorządowi dzielnicy Warszawa Śródmieście.

Bardzo duży wkład w organizację imprezy włożyły też samorząd dzielnicy Bielany oraz dzielnicy Mokotów. W akcji brały udział również: Ochota, Wawer oraz Włochy.

Gdzie te dzieci mieszkają?

Dzieci były zakwaterowane w zależności od dzielnicy: albo w bursach szkolnych, albo w internatach, które w czasie wakacyjnym nie są wykorzystywane. Kilka grup było zakwaterowanych bezpośrednio w szkołach, gdzie te zajęcia się odbywały.

Jakie są Pana impresje,

związane z tym dziesięciodniowym pobytom? Jakie doświadczenia wyciągnęli z niej organizatorzy i jakie były wrażenia dzieci?

Zawsze tak jest, że przedsięwzięcie, które pierwszy raz jest organizowane czy akcja, która pierwszy raz jest organizowana, w przygotowaniu napotyka na różnego rodzaju problemy. Tak było i tym razem. Natomiast dzięki determinacji i samorządowców, i wolontariuszy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” udało się tę akcję przygotować i w miarę szczęśliwie przeprowadzić. Mówię „w miarę szczęśliwie”, bo oczywiście bez potknięć się nie obyło, ale dlaczego o tym mówię... Dlatego że wszyscy organizatorzy – a mam nadzieję, że również i dzieci – byli zadowoleni z tego przedsięwzięcia, co pozwala mieć nadzieję, że w przyszłym roku zaprosimy co



najmniej taką samą liczbę dzieci do Warszawy. Samorządy, ponadto, nawiązały już bezpośrednie kontakty np. z Kamieńcem Podolskim i już są plany bezpośrednich kontaktów ze środowiskiem polskim w Kamieńcu Podolskim i w innych miejscowościach, z czego się bardzo cieszymy.

Mówiąc o samej akcji, chciałbym powiedzieć, że dzieci, będąc w Warszawie, brały udział w akcji „Lato w mieście”. Jest to akcja, która polega na tym, że od godziny 8:30 do

godziny 16:30 w szkołach warszawskich są organizowane różnego rodzaju zajęcia dla warszawskich dzieci, które nie wyjechały na wakacje. W tym roku udało się do tych warszawskich dzieciaków dołączyć polskie dzieci z Ukrainy. W ramach tych zajęć dzieci nie tylko bawią się na miejscu w szkołach, ale też zwiedzają Warszawę, odwiedzają muzea, chodzą na basen, do kina, do teatru, więc program jest stosunkowo bogaty. Popołudniami dzieciaki wraz z wolontariuszami Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, którzy się nimi opiekowali, zwiedzali Warszawę tak, aby maksymalnie wykorzystać te 10 dni pobytu w stolicy. Dla nas było bardzo ważne, żeby polskie dzieci z Ukrainy przebywały ze swoimi rówieśnikami z Warszawy. Chcieliśmy wręcz wymusić takie sytuacje, w którym będą oni musieli porozmawiać ze sobą

polski do czegoś im się rzeczywiście przydaje. Na zakończenie pobytu zorganizowaliśmy duże pożegnanie przed gmachem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” na Krakowskim Przedmieściu. Z udziałem prezesa SWP – premiera Longina Komolowskiego, spotkaliśmy się ze wszystkimi uczestnikami pobytu. Był wielki tort, który został podzielony pomiędzy wszystkie dzieci. Było pożegnanie i wtedy też rozmawialiśmy z częścią dzieci, które brały udział w tym projekcie. Przeważały opinie bardzo pozytywne, widać, że dzieci były zadowolone. Tak jak już wspominałem – dla wielu z nich to było podwójne wrażenie, bo nie dość, że był to pierwszy wyjazd do Polski, to jeszcze pierwszy wyjazd do stolicy, a Warszawa jest miastem ładnym, coraz piękniejszym, w związku z czym rzeczywiście było na co popatrzeć.

Czyli jednocześnie było to spotkanie integracyjne? Czy dzieci łatwo chwytają ze sobą kontakt?

Tak, właśnie zastanawialiśmy się, jak ułożą się relacje pomiędzy dziećmi z Warszawy i dziećmi z Ukrainy, ale we wszystkich wypadkach ułożyły się bardzo dobrze. Nawet tam, gdzie były jakieś bariery językowe dzieciaki świetnie się dogadywały i dobrze się wspólnie bawili. W naszym przekonaniu ten pomysł zdał egzamin i będziemy chcieli go w przyszłym roku rozwijać. Chcielibyśmy, żeby w przyszłym roku przyjechało z Ukrainy co najmniej pół tysiąca dzieci do Warszawy. Zresztą, stolica to też jest szczególne miejsce. Myślę, że bardzo ważny jest kontakt z Polską, natomiast szczególnie istotne jest to, żeby każde dziecko, które uczy się języka polskiego, które czuje się Polakiem, mogło raz na jakiś czas przyjechać do Warszawy, zobaczyć te wszystkie ważne miejsca, które zarówno wiążą się z historią Warszawy, jak i dniem dzisiejszym. Ważne jest to, żeby zobaczyły nowoczesne europejskie miasto i żeby poczuły, że to też jest ich miasto, że to jest też część polskiego dziedzictwa kulturowego, do którego mają oni pełne prawo.

Czy wydaje się Panu najważniejszym w realizacji tegorocznej akcji?

Może warto powiedzieć jeszcze jedną rzecz: jesteśmy zadowoleni, iż udało się doprowadzić do tego, że nie były to tylko dzieci z okolic Lwowa, ponieważ to środowisko ma największy kontakt z Polską i dzieci stamtąd najczęściej do Polski przyjeżdżają. Udało nam się do tego projektu włączyć szereg środowisk z terenów i Żytomierszczyzny, i województwa winnickiego, chmielnickiego, sięgnąć niemal aż pod Kijów. Mamy nadzieję, że ta akcja będzie się rozwijała. Tak jak powiedziałem, wszystkie samorządy zadeklarowały chęć zaangażowania się w przyszłym roku w to przedsięwzięcie. Teraz na pewno organizacja będzie już o wiele prostsza, ponieważ wszystkie, zarówno organizacyjne, jak i formalno-prawne szlaki zostały przetarte. Wierzymy, że tę akcję na jeszcze szerszą skalę i w jeszcze lepszym standardzie uda się przeprowadzić w roku przyszłym.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

300 KM OD WARSZAWY JEST GRANICA...

z Witoldem Dzieciotowskim – radnym dzielnicy Ochota w Warszawie, przewodniczącym Komisji Oświaty rozmawiała Maria Basza.

Panie Witoldzie, od dziecięciu lat jest Pan animatorem programu „Współpraca ze Wschodem. Ochota dla tradycji”. To chyba jeden z najstarszych programów mających na celu przybliżenie polskiej młodzieży Ukrainy, a ukraińskiej, w tym i młodym Polakom tam żyjącym, Polski. Jakie były początki? Co było inspiracją i jak doszło do tego, że warszawska dzielnica Ochota zajęła się współpracą z młodzieżą, mieszkającą na terenach Ukrainy.

Cała idea wzięła się z tego, że pomyślałem, iż 300 km od Warszawy jest granica z państwem, drugim największym państwem Europy, o którym tak naprawdę nikt nic nie wie. Jest to jakaś czarna dziura, biała plama, nikt nic nie wie, trochę się boją tam jeździć, bo nie wiadomo, co się tam dzieje. Nam chodzi o to, żeby młodzi ludzie mieli okazję to zobaczyć. Część z nich, kiedy dorośnie, skończy szkołę i pójdzie na studia – nie boi się już tu samodzielnie przyjeżdżać, już wie, jak to wygląda. Wie, że tu nic się złego nie dzieje, że można przeżyć, że można mieszkać, można zjeść i nikt nikogo nie napada, a na pewno nie częściej niż w Polsce. No i niektórzy ludzie zostali przyjaciółmi – nie wiem, czy można tak powiedzieć – przyjaciółmi państwa, przyjaciółmi ludzi, mają znajomych, z którymi tu w jakimś momencie się poznali.

Zaczęliśmy może od samego początku. Nie było to w każdym razie przemyślane, założone, wymyślone. Nie mam żadnych rodzinnych związków z Ukrainą, nigdy nie miałem tutaj rodziny. W 1999 roku pomyślałem, że nigdy nie byłem na Ukrainie. Wcześniej, za czasów dawnego Związku Radzieckiego byłem w różnych republikach i różnych miastach: a to w Petersburgu, a to w Irkucku, a to w Tbilisi, a to w Moskwie... Na Ukrainie zaś nigdy nie byłem. Na Ukrainę Polacy jeździli tranzytem nad Morze Czarne, do Bułgarii na wczasy. Po drodze handlowali na terenie Ukrainy i na terenie Rumunii, a ja tego nie robiłem, więc nie miałem okazji tu być.

W końcu w 1999 roku pojechałem do Przemyśla z rodziną. Przemyśl jest niedaleko od granicy, więc wzięliśmy paszporty. Ktoś nam polecił jedną osobę we Lwowie, która nam pomoże. Po nadzwyczajnym przedzieraniu się przez granicę (wtedy, podobnie jak teraz – tak samo szokującym; teraz to już człowiek przyzwyczajony, że to tak wygląda), trafiliśmy po iluś godzinach do Lwowa. Tam przyjął nas Ryszard Turczynowski – miejscowy z dziada pradziada Polak, u którego mieszkaliśmy i który był dobrą duszą całej sprawy przez wiele, wiele, wiele lat. Niestety kilka lat temu zmarł. Jest to jakaś niezwykła z mojego punktu widzenia osoba: i jako lwowiak, i jako człowiek.

Po tej wyprawie zrobiliśmy rozpoznawczą wyprawę, całkowicie pry-

watną, w kilka osób dorosłych. Celem tej wyprawy było sprawdzenie – czy w ogóle na Ukrainie da się przeżyć? Moja rodzina przeżyła we Lwowie, ale to nie była cała Ukraina. Okazało się, że przeżyć się da: w Kamieńcu Podolskim, w Kutach, w Czerniowcach, we Frankowsku, w Chocimiu... Wszystko było OK.

Po powrocie, w Warszawie, zaczęliśmy szukać z kim by tu można było rozmawiać o tym, że chcielibyśmy coś wspólnie zrobić. Wyszło nam, że Lwów jest już tak „pełen Polski” – tej przyjeżdżającej, tej, która czegoś tam szuka. Więc niekoniecznie musimy być następni. Wielkie wrażenie na nas zrobił Iwano-Frankowsk, Stanisławów, gdzie całe miasto, co dziwne jak na Ukrainę, było w remoncie. Powiedziano mi, że bym znalazł miejscowego odpowiednika w radzie miasta i to był pan przewodniczący Komisji Oświaty Rady Miejskiej – Petro Susak. No i zaczęliśmy z nim współpracować. Stopniowo na poziomie Stanisławowa – Polaków i Ukraińców z miejscowych szkół, Polaków z polskich organizacji, ze szkoły nr 3, Ukraińców z różnych innych miejsc. Działo to w obie strony. Oni przyjeżdżają do nas, a my do nich, około 700 – 800 osób. Podsumowując całą tę sytuację dzisiaj, po 10 – 11 latach (właściwie od 2001 roku) – jest to około 4 tysięcy osób, z czego – z oczywistych powodów (oczywistymi powodami nazywam finanse) Polaków na Ukrainę przyjeżdżało więcej. Stanowili liczbę ok. 3000 osób. My musimy płacić za wszystko, a oni u nas prawie nic. Natomiast ponad tysiąc osób – są to młodzi ludzie głównie z Ukrainy od Lwowa (z polskich szkół, ale też ukraińskich), Stanisławowa – Iwano-Frankowska (polskich i ukraińskich), Kamieńca Podolskiego, ale także Odessy. Był to taki ciąg miejsc, do których trafiliśmy, ale także stamtąd ludzie odwiedzali Ochotę.

Czasem dzieją się rzeczy z mojego punktu widzenia bardzo, bardzo dziwne, ja tego nie rozumiem, ale jasno tę rzecz trzeba powiedzieć. Na przykład, ostatnim czasem w ogóle się wycofaliśmy z prób kontaktu z Lwowem. Tam są dwie polskie szkoły, które, mam wrażenie, mają tyle propozycji, tyle kontaktów, tyle różnych osób, instytucji i szkół zwraca się do nich, że oni już sami nie wiedzą, co mają z tym robić i co wybierać i próbują stawiać jakieś dziwne warunki i w dziwny sposób się zachowują. Wygląda to tak, jakbyśmy coś musieli. My niczego nie musimy. Albo to jest dobrowolna współpraca dwóch stron, w której jedni dają, co mają, drudzy dają, co mają i na tym tle coś wspólnego się dzieje, albo tej współpracy nie ma. Natomiast nie ma tak, że jedna strona coś musi. Nic nie muszę, mogę tylko powiedzieć „dzękuję i do widzenia”.

Wycofaliśmy się też ze współpracy z Kamieńcem Podolskim. Jest teraz większa współpraca z Odessą i Stanisławowem. Z Iwano-Frankowskim zresztą też – już używam ukraińskiej nazwy – bo dzielnica Ochota ma od 2010 roku podpisaną umowę o współpracy z miastem. Wpierw był tam mer pan Szkutiak, teraz pan Anuszkiewicz. Tylko teraz jest taka sytuacja, że merem jest pan Anuszkiewicz, ale



radni opozycyjnej partii „Swoboda” mają większość w tej radzie i faktycznie nie wiadomo, kto tam rządzi – czy radni, którzy są większością, czy pan mer. Natomiast nie do końca nas to obchodzi, nie są to nasze wybory, nasi urzędnicy czy nasi radni. Oceniamy to pod kątem, czy ludzie chcą z nami rozmawiać i współpracować, czy nie i czy daje się rozmawiać. Tu się okazuje, że się daje. Jako przykład podam śmieszna i dosyć charakterystyczną sytuacją, może nie najważniejszą w tym wszystkim, ale bardzo ludzką. 18 czerwca bieżącego roku przyjechała do nas, na Ochotę kilkunastoosobowa reprezentacja piłkarska urzędników i radnych Iwano-Frankowska, w związku z Euro 2012 Polska-Ukraina. Reprezentacja grała z podobną reprezentacją Ochoty – urzędników i radnych. Przegraliśmy 4:3, nie była to katastrofa czy wielka klęska, ale zawsze porażka. Umówiliśmy się na rewanż jeszcze przed Euro. Prawdopodobnie w maju przyszłego roku, do takiego rewanżu dojdzie na Ukrainie.

Jestem radnym na Ochocie i może jest mi trochę łatwiej namawiać różnych ludzi do współpracy. Ochota, jak większość Polski, raczej ma ochotę na współpracę z Zachodem (przy czym środowiska młodzieżowe, uczniowskie, dziecięce mają dość słabą świadomość tego, co się w przeszłości działo).

Dlaczego Pan to robi? Trzeba mieć jakieś powody, żeby to robić.

Nie ma jakichś konkretnych powodów. Ja to wymyśliłem 10 lat temu. Ukraińcy są jedną z narodowości najbardziej w Polsce nielubianych. Dlaczego, skoro nikt ich tak naprawdę nie zna – to ja trochę tego nie rozumiem. Zna się Ukraińców o tyle, o ile przychodzą do domów sprzątać, opiekować się naszymi chorymi członkami rodzin, gdzieś pracować, zna się ich jako pracowników – lepszych czy gorszych i jako ludzi biednych, bo zarabiają pieniądze po to, by troszkę lepiej sobie żyć. To jest dokładnie ta sama sytuacja, którą ja miałem w 80. czy 70. latach. – Wyjeżdżałem z Polski do Szwecji, Danii czy Ameryki, żeby pracować.

Pracował Pan za granicą?
Tak. Na przykład, w końcu 1988 roku siedziałem ponad pół roku w Bo-

stonie w Ameryce, pracując przy zmywaniu naczyń i wywożeniu brudnej bielizny z amerykańskich moteli.

Pan był wówczas po wyższych studiach?

Tak, by wyjechać brałem urlop bezpłatny w szkole.

Pan pracował jako nauczyciel?

Tak. No i przez pół roku pracowałem sobie w Ameryce. Potem pieniądze z wyjazdów zamieniłem na mieszkanie, potem włożyłem do banku, potem przyszła rewolucja, Balcerowicz i część pieniędzy straciłem. Wówczas w Polsce żyło się tak jak i tu – za 20 dolarów. To była jakaś zupełnie urojona ekonomia. Nie ma możliwości żyć za 20 dolarów, więc dobrze, że Balcerowicz to wszystko na nogi postawił. Ale wcześniej, za studenckich czasów również pracowałem za granicą, zmywałem naczynia w Szwecji, pracowałem w szklarni z pomidorami w Holandii, obsługiwałem jakieś centrum techniczne młodzieżowej organizacji w Danii i roznosiłem ulotki w Szwecji. Nigdy natomiast nie próbowałem handlować. Z tego punktu widzenia rozumiem Ukraińców, choć to nie jest przyczyną tego, co robię. Są to ludzie, którzy przyjechali do pracy; ciężko pracują. Tu na miejscu, mam na myśli Ukrainę, jest kraj, który się składa z pracujących ludzi, jakoś słabo zarabiających, przed jakimiś reformami, to wszystko jest dość niewyraźne, wygląda na Polskę sprzed 20 lat, więc musi się kiedyś zmienić. Dobrze by było, gdyby ludzie młodzi, uczniowie, wiedzieli, że są ich rówieśnicy, którzy żyją w takich krajach, takich warunkach, takich sytuacjach.

Absolutny szok przeżywają młodzi ludzie z Polski, kiedy jedziemy do Odessy. Po pierwsze, jak oni słyszą o religii – tu katolicka, tu grekokatolicka, a tu trzy patriarchy, a to takie, a to inne, to oni w ogóle nic z tego nie rozumieją. Jak widzą, że w Odessie kraj zmienia charakter z ukraińskiego na rosyjski, to bardzo się dziwią, że coś takiego w ogóle może być. Tu są mniejszości narodowe, po prostu coś, czego w Polsce absolutnie nie ma. To jest jedna rzecz.

Druga rzecz, to fakt, że przez takie wyjazdy młodzi ludzie poznają inną, nieznaną sobie, ale przecież jakże bliską rzeczywistość. Nie może

być tak, że młodzież zna tylko Amerykę, Kanadę, Egipt i Tunezję – to jest po prostu bez sensu.

Trzecia rzecz, to sprawa poznania dawnej polskiej historii. Dopóki polska szkoła, polską szkołą będzie, uczeń musi z tej historii dawnej odpowiadać. To – mam wrażenie – z punktu widzenia młodego człowieka, funkcjonuje tak, że on to kojarzy i rozumie do momentu, kiedy mu postawią stopień. Wtedy zapomni. On nie ma z tym w ogóle nic wspólnego. My, mam na myśli swoje pokolenie za czasów komunizmu, czytaliśmy Sienkiewicza, bo to było „dla pokrzepienia serc”, wszyscy przejmowali się jakimiś wielkimi przewagami polskimi. Wtedy była zniewolona, rozebrana Polska, a potem ten komunizm, ten Sienkiewicz i ta Ukraina. Dla nich nawet to się z niczym nie kojarzy, to już jest nieważne. Czasem rodzice ich pamiętają, czasem ich rodziny pochodzą ze Wschodu, z różnych miejsc. Ale to jest dość ograniczona liczba osób.

A tu chodzi o to, aby duża grupa ludzi miała okazję zobaczyć Ukrainę i dotknąć tych polskich pamiątek. Ostatnią rzeczą, która mi chodzi po głowie jest to, żeby ktoś wyniósł wrażenie, że gdzieś trzeba wrócić. Nie to, że nie chciałbym tych ładnych terenów z powrotem, bo one są ładne i może można by je chcieć, ale problem polega na tym, że gdyby tak ruszać te granice, to jedna trzecia Polski to są Niemcy. Jeśli my komuś coś odbierzemy, a nam odbiorą też. Więc po co to w ogóle zaczynać. Jeszcze ciekawsze jest zderzenie myślenia młodego Polaka (który przecież choć trochę o Polsce myśli, i coś o niej wie, także o polskiej historii, choćby trochę) z myślami młodego Ukraińca. To jest czasem niezwykle szokująca sprawa. Na przykład, taki Bogdan Chmielnicki nie może być jednolicie oceniony. On z jednej strony jest zawsze taki, a z drugiej strony zawsze inny i nie może być sytuacji, w której on będzie jakimś wspólnym bohaterem, bo nie może nim być. Natomiast można sobie punkt widzenia ukraiński przedstawić. To dla wzajemnego zrozumienia jest sprawą ważną.

Przywołam też i inny charakterystyczny obraz wzajemnego kontaktowania się młodzieży w wieku gimnazjalno-licealnym. Mimo że im się mówi: mówcie spokojnie po polsku, to Ukrainiec cię zrozumie, mów spokojnie po ukraińsku, Polak cię zrozumie, to oni zmęczeni tą słowiańskością i próbą porozumienia się wzajemnie, przechodzą na angielski i mówią, że się bardzo dobrze rozumieją i nie trzeba im żadnej słowiańskości. Znamię czasów. Z mojego punktu widzenia jest to bardzo, bardzo, bardzo dziwna sytuacja. Natomiast ja widzę, jak oni ze sobą rozmawiają. Są to zupełnie inne pokolenia w porównaniu do pokolenia średniego, czy tego troszkę starszego – mojego, nie mówiąc już o jeszcze starszym. Ja myślę, że ludzie muszą mieć okazję na takie spotkanie, na zobaczenie dawnej historii, której się uczą, współczesnej Ukrainy, o której słyszą, ale najlepiej gdy dzieje się to poprzez spotkania z innymi ludźmi, którzy też mają jakieś swoje pomysły i poglądy.

Stąd pomysł, który działa od 11 lat, czyli plener plastyczno-fotograficzny w Kamieńcu Podolskim, na który zabieramy młodych ludzi, umiejących rysować czy chcących fotografować. Zabieramy młodych ludzi z Polski, z Warszawy – z Ochoty, i młodych ludzi – Polaków i Ukraińców – z Ukrainy.

Chciałbym tutaj jeszcze przytoczyć historię, której bohaterką jest Ela Lewak, uczennica polskiej szkoły ze Lwowa...

...a obecna studentka w Warszawie... i współpracowniczka Kuriera Galicyjskiego.

...która wiele razy była z nami na plenerze, a któregoś razu była też w Warszawie jako uczennica. Wtedy właśnie i uczniowie mieli pójść do kina. Poszli do Pałacu Kultury w Warszawie, był jakiś repertuar i oni wszyscy kazali sobie kupować bilety na coś, co się nazywało „Piła III”. To jest jakiś horror, nie pamiętam już o czym. Ja mówię: a dlaczego wy chcecie na to iść, na tę „Piłę III, skoro już były dwie? A oni: no właśnie dlatego, że dwie już widzieliśmy we Lwowie, teraz musimy trzecią zobaczyć. Tylko Ela powiedziała, że nie chce oglądać horroru. Siedzę kiedyś w Odessie, z księdzem Baczyńskim i jakimiś ludźmi, którzy są u niego i mówię: a wiecie, ostatnio w Warszawie była taka grupa uczniów polskich ze Lwowa: dzieci jak dzieci – jedno lepsze, drugie gorsze, chciały iść na ten horror, opowiadam całą tę sytuację. I tu super jedna panienka była, która powiedziała, że na żadną „Piłę III” iść nie chce, tylko coś tam innego. Nagle jakiś facet, który siedzi za stołem, mówi: „Czy pan wie, kim ja jestem?”. A ja mówię: a skąd mam wiedzieć, skoro pierwszy raz na oczy się widzimy? A on: „Bo ja jestem ojcem Eli Lewak”. Mówię: to ja chyba nic złego o córce nie opowiadałem. „Boże broń, – mówi – po raz pierwszy w życiu słyszę, żeby ktoś tak sam z siebie opowiadał takie nadzwyczajne rzeczy, przypadkowo rodzinne”.

Więc młodzież z Warszawy przyjechała na Ukrainę?

Tak. Mieszkaliśmy w Kamieńcu przez te 10 czy 11 lat wszędzie. Ostatnio po katolickich domach pielgrzymy przy katedrze, ale mieszkaliśmy też w hotelu, który w nowym mieście się znajduje, albo w jakichś ukraińskich pensjonatach. Nawet próbowaliśmy mieszkać po domach Polaków, ale to było najstraszniejsze doświadczenie, bo na nic nie mogliśmy zdążyć, nikt nigdzie się nie mógł spotkać, wszystko się porozpadało.

Dlaczego?

Bo ci ludzie różnie mieszkali, w różny sposób doprowadzali młodzież. Jedni lepiej karmili, drudzy gorzej, jedni mieli lepsze warunki, drudzy gorsze. We Lwowie dłuższy czas, gdy przyjeżdżaliśmy, też mieszkaliśmy po rodzinach i to miało sens, a w Kamieńcu to już nie bardzo. Może dlatego, że w Kamieńcu tych rodzin, posiadających dobre warunki mieszkaniowe jest mniej.

Co było dalej?

Po pierwszym plenerze okazało się, że da się przeżyć. Na drugim plenerze, w roku 2002, pojawiły się nowe osoby, w tym osoba, która była potem jeszcze dwa razy uczestnikiem. Dzisiaj jest plastykiem pleneru, kończy w tej chwili architekturę, a wtedy była uczennicą początkowego gimnazjum. Druga osoba – druga pani plastyk, też jest osobą trochę młodszą, ale

też jest po szkolnych wyprawach na plener. Jak już skończyła szkołę, poszła na studia w tym kierunku, będzie mogła też prowadzić zajęcia.

Początkowo pojechali z nami uczniowie szkoły nr 24 ze Lwowa. Po jakimś czasie to się zamieniło na uczniów szkoły nr 10. Wiele lat plastykiem na plenerze była Marta Andruszko, ale od pewnego momentu był jakiś nieustający kłopot rekrutacyjny w szkołach. Ci uczniowie chcieli, nie chcieli... No bo co to dla nich za wyprawa – jechać na parę dni do Kamieńca, jeszcze coś robić, jakieś pieniądze za to zapłacić, jechać do Warszawy na tydzień i też zmuszanym być do jakiejś roboty, do zwiedzania miasta, a nie leżeć za darmo dwa tygodnie na plaży, nad Bałtykiem. Część osób ze Lwowa jeździ na Zachód. Ale to też jest kwestia pieniędzy, jak rodziny są sytuowane. Bardzo możliwe, że staliśmy się mało konkurencyjni w tym układzie. Mała konkurencyjność polegała też na tym,

gdzieś w tle, gdzie się o niej mówi, ale jeśli zacznie od wojny i od tego, co się w czasie wojny działo, to oni w ogóle nie chcą o tym słuchać.

W trakcie podróży również miały miejsce bardzo charakterystyczne sytuacje, ale nie tylko z Ukraińcami. Jesteśmy w Targowicy, pod Humaniami. Jest to ta sławna Targowica, znana z rozbiórów Polski. Wychodzimy – tam nie ma nic, jest znak drogowy „Targowica” jako przedmieście Humania. Ja mówię: wychodzimy zrobić sobie zdjęcie, że tak daleko dojechaliśmy, bo na granicę Polski sprzed rozbiórów – tam była Rosja, a tu Polska, czy Tatarzy, czy kto tam... „Warszawa” wychodzi, a Polacy z Ukrainy siedzą i Ukraińcy siedzą. To ja pytam „Lwów”, czy kto tam był z Polaków z Ukrainy, dlaczego nie wychodzą. A oni mówią, że to nie jest ich historia. Trochę mnie to dziwi, a Ukraińcy mówią, że nie wychodzą, bo to także nie jest ich historia. To mówię, a co tu jest

cy jeździli z nami do Lwowa, a my tam ciągnęliśmy ich na Orłęta – oni tego nie rozumieli. W ogóle nie rozumieli, dlaczego to jest dla nas takie ważne. Ja im próbuję za każdym razem tłumaczyć. Wojna jak wojna: jedni chcieli miasto i drudzy chcieli miasto – to jest wojna, to normalna sprawa, jest dużo takich sytuacji. Ale z punktu widzenia polskiego, jest to jedna z niezwykłych rzeczy w historii polskiej, bo tam nie było regularnego, „dorosłego” wojska, a część to były dzieci. I te dzieci obroniły miasto. Naród, którego dzieci taką wojnę prowadzą, pamięta to zawsze. Oni mieli „dorosłe” oddziały wojskowe, to, co oni się będą przejmować, dla nich ta wojna troszkę inaczej wygląda.

Delikatnie próbujemy sobie różne rzeczy tłumaczyć, potem próbujemy też im, piętnasto-, szesnasto-, siedemnastoletnim ludziom, pokazać Warszawę, stolicę innego państwa. Czasem prowadzimy ich do Sejmu, czasem do

dzisiejszej Warszawie, jej zburzeniu i odbudowie na nic się zdała. Oni w ogóle nie zdążyli tego nawet zapamiętać, nawet tego, że to byli ich, powiedzmy krajanie – też Niemcy. Inni, ale też Niemcy.

Mówi pan, że trudno czasem współpracować z niektórymi instytucjami na Ukrainie. Dlaczego?

Na Ukrainie bywa tak, że aby coś załatwić, trzeba uczestniczyć w jakichś wielkich imprezach. Z mojego punktu widzenia ta tradycja jest ciężka do zniesienia. Wchodzę do szkoły, do urzędu, do instytucji o 8 rano, a oni wyciągają koniak i próbują mnie częstować: „Uuu, symbolicznie, pięćdziesiątka koniak”. Ja mówię: ale ja będę za chwilę pijany! „Co ty! Pięćdziesiątka?”. Ja na to: nie, mam przed sobą dziesięć spotkań, to za chwilę będę po pół litrze... Tak skończyła się moja współpraca ze szkołą w Kamieńcu Podolskim. Dyrektor szkoły był bowiem osobą ponad miarę korzystającym z tego „zwyczaju”. Ja nie byłem w stanie, w żaden ludzki sposób się z nim dogadać.

Czasem nie daje się też współpracować z innymi powodów. Umawiamy się, że przyjmujemy w Warszawie jakąś konkretną liczbę dzieci. Przygotowujemy się, bo iluś ludzi ma przyjechać, umawiamy się na mieszkania, na miejsca, na jedzenie, na pieniądze. Po ich przyjeździe, stoimy pod jakąś szkołą, „rozdajemy” dzieci po domach. Wszyscy, co mieli wziąć, wzięli. Nikogo nie ma. Ja stoję z dyrektorem szkoły, rozmawiam, co będzie następnego dnia, ale nagle dostrzegamy, że obok stoi jakaś osiemnastoletnia panienka. Pytamy: a ty to kto? A ona mówi: no, z Kamieńca. Ja: to znaczy was było osiemnaścioro, a nie siedemnaścioro? Ona: no tak. Tak, jakbyśmy mieli te mieszkania i te pieniądze jak czarodzieje. Kończy się tym, co jest absolutnie niezdrową sytuacją i cała dzielnica do dzisiaj się z tego śmieje, że stary kawaler, czterdziestoparoletni dyrektor szkoły, musiał spędzić noc z osiemnastoletnią Polką czy Ukrainką – to już wszystko jedno. No bo ja patrzę na niego i mówię: pan tu gdzieś w pobliżu mieszka? On mówi: no tak. Ja: a pan dyrektor ma dwa łóżka w domu? Mówi: mam. No to nie ma wyjścia, panie dyrektorze. Proszę panienkę wziąć do domu, ja rano przyjdę, coś zrobię, żeby ją zabrać, ale dziś już nic nie zdołamy zrobić. To nie jest normalne.

Zdają się i inne kłopoty. Na coś się umawiamy, a „to coś” nie działa. Na przykład, przyjeżdżam do Kamieńca Podolskiego, umówiony z jakimś tamtejszym pensjonatem na jakieś ceny, wiem, ile mam zapłacić, a właścicielka – już w trakcie płacenia – mówi: wie pan co, miało kosztować 10, ale kosztuje 15. Pytam: a dlaczego kosztuje 15 z minuty na minutę? Ona: wie pan co, dzisiaj jest weekend majowy i kiedy ja mam zarabiać jak nie teraz? Ja mówię: ja to wszystko rozumiem, proszę pani, ale jak się w grudniu umawialiśmy, to przecież pani wiedziała, że na maj. To jest sytuacja, w której ja nigdy nie wiem, co się faktycznie zdarzy. Wymyśliwszy coś na jesieni, w styczniu objeżdżam wszystkie te miejsca od Odessy poczynając (przyjeżdżam do Odessy na 5 godzin), żeby popatrzeć ludziom w oczy, że na coś się umówiliśmy i jak oni wiedzą, że już popatrzeliśmy sobie w oczy, to



że zmuszaliśmy jednak do jakiejś pracy, a nie do nic nierobienia w wakacje, co uczniowie zdecydowanie preferują.

Zdarzają się też perturbacje na plenerze, związane z tym, że młodzież jak to młodzież – czy warszawska, czy ukraińska, czy polska z Ukrainy – jest dalej młodzieżą i ma różne dziwne, niekoniecznie zrozumiałe z punktu widzenia dorosłych, pomysły. Każdy z nas był młodym człowiekiem, chodził do szkoły i wie, na co mogą wpaść uczniowie. To jest trudne do zniesienia i trzeba z nimi nieustająco próbować rozmawiać, ale tym bardziej jest to trudne do zniesienia.

Później zaczęły z nami jeździć dzieci z ukraińskiej szkoły z Iwano-Frankowska, te polskie ze Lwowa i nasze z Warszawy. Po iluś dniach pobytu tu, w Kamieńcu, dniach wspólnej pracy, wspólnej rozmowy i integrowania się, a następnie wspólnym pobycie w Warszawie, miałem często wrażenie regulamych „objawień polonizacyjnych” u młodych Ukraińców. Wymaga to oczywiście wielkiego taktu i delikatności. Nie można zacząć od tego, że Bogdan Chmielnicki wielkim zdracą był, a Stepan Bandera... nie chcę już mówić kim, bo rezultat jest wtedy odwrotny. Przestaje się chcieć rozmawiać. Moim zdaniem nie należy od spraw wojny zaczynać. Wojna jest

niby? Jeździmy razem już tydzień, to my wychodzimy do waszych, a wy do naszych, to jest pamiętka historii, której uczą w szkole. Czy wy uważacie, że Polska na spółkę z Rosją granicę wam tu za chwilę zrobi? To nie o to idzie, to idzie o to, że w szkole się o tym uczycie, to musi być.

Próbujemy sobie grzecznie wszystkie sprawy tłumaczyć, byle nie zaczynać od ostateczności, bo z dorosłym to można jakąś dyskusję prowadzić, bo on ma jakąś wiedzę. Z dzieckiem takiej możliwości nie ma.

Przy okazji, co bardzo dziwne z mojego punktu widzenia, okazuje się, że ja obywatelom Ukrainy – czy to Polakom, czy Ukraińcom – pokazuję zabytkowe, historyczne, teraz przecież ukraińskie miasto po raz pierwszy w życiu. Ja, z Polski, z Warszawy. To tak, jakby oni mi Kraków pokazywali. To jest bardzo dziwne. Ja nie rozumiem, dlaczego ich rodzice, czy szkoła, czy jeszcze ktoś inny nie pokazuje im takiego ważnego miasta jak Kamieniec Podolski. Bo w to, że przyczyną jest brak pieniędzy wierzę tylko trochę.

Wiedza historyczna to zdaje się pięta achillesowa współczesnej młodzieży. Tu znów podam przykład z własnego doświadczenia.

Generalnie było tak, że podczas realizacji naszego programu, Ukraiń-

Muzeum Powstania Warszawskiego (tego Muzeum Powstania – to oni trochę nie rozumieją).

Ale niezwykle znów sytuacja:

na Ochocie jest pomnik Barykada Września. Kiedy Niemcy zaatakowali Polskę 1 września 1939 roku, 8 września pod Warszawę podeszły czołgi niemieckie i Warszawa się broniła. Opowiadał to Ukraińcom, a oni mi mówią tak: a proszę pana, a co to za wojna? 1 września nie było żadnej wojny. Ja mówię: jak to, dzieci, nie było wojny? Tutaj w Polsce już była. Na co jedna dziewczyna z 11 klasy mówi: nas na powtórzeniu uczyli, że była wojna, która rozpoczęła się 22 czerwca 1941 r.

Ale ja pani coś powiem – jeżeli to jest głupie i nienormalne, to jeszcze głępszą jest następująca sytuacja:

Chodzimy z dziećmi niemieckimi po Placu Zamkowym na warszawskiej Starówce. Opowiadamy: tu jest kolumna Zygmunta i we wrześniu czy sierpniu 1944 roku przyjechał czołg i ją zestrzelił. A niemieckie dzieci pytają: a czyj to był czołg? I wtedy już ręce opadają, bo to już jest nawet mało zabawne. To znaczy, że one w ogóle nic o niczym nie wiedzą. Nie to, że ich to nie interesuje, tylko o niczym nie wiedzą i właściwie ta cała opowieść, gdy szliśmy i opowiadaliśmy o

jakoś to działa. Ale jeśli chcecie korzystać z telefonu czy z maila, to może to działać w dowolny inny sposób.

Dlatego najlepiej układa mi się współpraca z Kościołem – nie dlatego, że jestem tak bardzo religijny, ale także z takiego powodu, że jak z Kościołem się na coś się umówię, to jest to przestrzegane. Jeśli z jakiegoś powodu trzeba coś zmienić to ktoś dzwoni czy wysyła maila i mówi: proszę pana, stało się tak i tak, czy możemy to jakoś zmienić. To wszystko jest jakoś normalnie.

Jak widać, ze współczesnej polskiej perspektywy, współpraca ze stroną ukraińską bywa bardzo dziwna i nie wszyscy to wytrzymują. To znaczy ja to wytrzymuję, bo ja to nazywam „dobrodziejstwem inwentarza”. Są, jacy są – prawdopodobnie my byliśmy podobni jeszcze niedawno i nie ma co się denerwować. Trzeba tylko przewidywać, że takie sytuacje mogą się zdarzyć. Jak ja to przewidzę, to jestem w stanie się z nimi dogadać. Ale nie jest to sytuacja prosta.

W tym wszystkim dzieci są niewinne. Ale nie może być też takiej sytuacji, że mówi się nam, że wszyscy są biedni, po czym kwaterujemy kogoś do czyjegoś domu i w czasie rozmów w z dziećmi czy z rodzicami wychodzi, na przykład, że dziewczynka była cztery razy w Ameryce. No to wszyscy się dziwią, bo w Polsce biedni do Ameryki też nie jeżdżą, a już na pewno nie cztery razy. No to biedna nie jest. Więc jak to jest? Albo są biedni, albo nie są biedni.

To wszystko robi niezwykle złe wrażenie, bo większość z tych, u których goszczą ci ludzie, którzy im coś dają – mieszkanie, jedzenie, coś kupują, gdzieś chodzą z nimi, mówią, że ludzie z Ukrainy nie umieją dziękować. To znaczy nie chodzi o to, żeby całować po nogach, klęczeć, bić głową o podłogę i mówić: „jaki pan cudowny, wspaniały, w życiu nikogo takiego nie widziałem”, tylko jakiegoś takiego elementarnego powiedzenia, że to, co dla mnie zrobiłeś, jest w porządku. No to ludzie mówią tak: a na co nam biedni z Ukrainy, co my – biednych w Polsce nie mamy? Będziemy biednym w Polsce pomagać! I jest tyle różnych aspektów tej sytuacji, że faktycznie wygląda to tak, że trzeba być dość zawziętym i też próbować szukać nowych ludzi i po jakimś czasie wracać do tych poprzednich, jak już im trochę przeszło. A także tu u na Ukrainie próbować szukać innych, żeby to wszystko jakoś działało.

Mnie próbowano parę razy namówić na taką działalność charytatywną, głównie, żeby organizacjom polskim coś zostawiać. Pierwsze, co robiłem, to mówiłem: a komu ja mam pomagać? Proszę mnie do tego mieszkania zaprowadzić. Czasem wychodziły jakieś totalne bzdury, a czasem widać było taką biedę, że trudno to nawet przekazać, choć wszędzie to może się zdarzyć. W Polsce też. Pamiętam taki przypadek: Lwów, naprawdę biedna rodzina, czwórka dzieci. Jedno z nich – dziewczynka o imieniu Grażyna uczyła się w 24 szkole. Postanowiliśmy pomóc.

Załatwiliśmy jej przez dwa lata prawie po trzy miesiące wakacji: obozy harcerskie, mieszkania, gdzieś u rodziny... Ona w końcu zdała na studia do Warszawy, chyba już kończy. Czy pani myśli, że ona się do kogokolwiek w Warszawie, do tych, co jej pomagali

w czasach szkolnych, odezwała? Ludzie widzą, że ona chodzi po mieście, studiuje razem... Nic. Kamień w wodę. Wtedy musieli, a teraz i inni może muszą. Przy czym to są te złe przykłady, bywają i inni ludzie. Jest szereg osób, z którymi można się dogadać, czy z rodzicami, czy z dziećmi, ale są takie przypadki, które rodzą niezwykle złą krew, przy czym ileś tych przypadków w szczególności kumuluje się na terenie Lwowa. To znaczy, nie do końca to tak wygląda we Frankowsku, nie do końca tak wygląda w Odessie, nie do końca tak wyglądało w Kamieńcu, jeśli się mówi o rodzinach. Natomiast we Lwowie coś się dzieje z instytucjami – czy tam jest „Polski” za dużo i już nie wiedzą co z tym zrobić?

Uważają, że wszystko się im należy...

...należy i Polska coś musi. A Polska ma swoich biednych, swoje problemy, swoje sprawy. Żal za Lwowem – to jest jasne – i za tą mniejszością



i za tym wszystkim, co ci ludzie przeżywają, a oni się uważają za ofiary historii. A Polska to niby co? Taka sama wielka ofiara, trochę większa tylko, bo i więcej ludzi, i większe terytorium.

Obecny plener rozpoczął się...

30 czerwca wyjechaliśmy z Warszawy, ale to jest tak, że koniec pleneru 2010 jest początkiem pleneru 2011. To jest wielkie planowanie pieniędzy, miejsc do spania, szukania uczestników, szukania kadry. To musi dłuższy czas trwać, nie może być tak, że jest i już. To tak „samo” się nie dzieje. Na jesieni poprzedniego roku było wiadomo, że szereg uczestników się powtórzy, szereg uczestników pleneru z zeszłego roku pojedzie w tym roku. W zeszłym roku była też grupa ludzi, która – nie ma co tu ukrywać – uznała, że to jest też bardzo dobre miejsce do nadmiernej zabawy. Zabawa nie jest niczym złym, ale przesadzać też nie jest dobrze. W związku z tym, trochę to uległo zmianom i jest znaczna grupa nowych ludzi. Po rocznych przemyśleniach, po szukaniu pieniędzy z różnych stron (Ochota, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”), uczestników, ostatecznie to wygląda tak, że wyjechało osiemnastu uczniów z Warszawy, w znacznej większości ze szkół Ochoty, choć zdarzają się osoby i z innych miejsc Warszawy, do tego jadą dwie panie plastyk – dziewczyna-fotograf i ktoś, kto jest wychowawcą. Do tego dołącza się dwie grupy: polską ze szkoły nr 3 i ukraińską ze szkoły nr 23 – obydwie szkoły są w Stanisławowie. Przyjeżdżamy do Kamieńca Podolskiego (spotkaliśmy się z „Frankowskim” we Lwowie, który dojechał do nas autobusem i przyjechaliśmy razem do Kamieńca). Wszy-

scy razem mieszkają w starym Domu Pięknym, przy katedrze rzymskokatolickiej. Są tu bardziej sensownie wyposażone miejsca, ale z punktu widzenia młodzieży jest tak, że gdy jest trzydzieści osób to jest lepiej, niż gdy się ma pojedyncze pokoje. Ja tego trochę nie rozumiem, ale z ich punktu widzenia to jest tak...

No i przyjechaliśmy tutaj. Mieliśmy trochę zaburzeń w sensie takim, że po raz pierwszy odkąd tu jestem w tym terminie (na przełomie czerwca i lipca) pogoda jest taka, że jest trochę chłodno, pada deszcz. Zawsze to było 35° ciepła i raczej to przeszkadzało. Jak pada deszcz, pojawia się ewidentne zaburzenie z rysowaniem, bo nie da się na dworze siedzieć. No i oni podzieleni są na grupy, grupy mieszane, tak jak pomieszani są w pokojach, żeby nie była sama „Warszawa” czy sama „Ukraina”. Przemieszanie w różny sposób po jakimś czasie zaczyna działać, zaczynają ze sobą rozmawiać,

przestają być dla siebie obcy. Jest jednak ewidentna trudność z jednym, czy u „Warszawy”, która ma 13 – 14 lat, czy u „Ukrainy”, która ma 13 – 14 lat, a mianowicie problem w porozumiewaniu się z ludźmi, pochodzącymi skądkolwiek, którzy mają 16 – 17 lat, bo starsi uważają, że tamci to są za mali na życie. To jest jakiś problem.

Podzieleni na grupy, w ciągu dnia chodzą rysować i fotografować z instruktorami, którzy pomagają im w różnych pracach. Generalnie dzieci, które rysują, są po jakichś zajęciach pozalekcyjnych czy na Ukrainie, czy w Warszawie tak, że rysowanie wymaga jednak jakichś umiejętności. Robić zdjęcia można się uczyć tu, bo to też jest dobra nauka. Wieczorami odbywają się różne gry i zabawy integracyjne, a to śpiewanie, a to rozmowy, a to coś... W tym roku kadry stanowią osoby, które – przynajmniej panie plastyki – były co najmniej dwa czy trzy razy uczestnikami pleneru, a potem były instruktorkami; są to bardzo zasłużone towarzyszkami tej sytuacji.

Z zeszłego roku jest taka grupa osób – bo zawsze uważam, że w takim nowym roku zawsze powinny być osoby, które są pewnymi nośnikami tradycji, kimś, kto już to zna i jakieś nowe osoby, które, z mojego punktu widzenia, są bardzo grzecznymi osobami, zaburzeń żadnych nie ma. Sam się trochę dziwię i myślę, kiedy się coś zdarzy? Na razie nic się nie zdarzyło.

Powoli kończymy czas pobytu w Kamieńcu Podolskim, potem jeszcze przez Chocim i Okopy Świętej Trójcy jedziemy do Czerniowiec, tam zostawiam „Ukrainę”, która wraca do domu, a my z „Warszawą” jedziemy do Rumunii, na Bukowinę, do czegoś,

co jest światową historią UNESCO: malowanymi soborami, monastyrami, będziemy je rysować i fotografować. Jeśli wszystko będzie dobrze, to ma to być ilustracja do przewodnika po Bukowinie, który się tam w przyszłości ukaże. Po czym „Warszawa” wraca z Rumunii do Lwowa, tam jesteśmy jeszcze dwie noce i w ostatnim dniu „Ukraina” i „Frankowsk” wyjeżdżają do Polski (my też jedziemy do Polski). Spotykamy się w Hrebennem, oni się do nas przesiadają i razem jedziemy do Warszawy. Jadą jeszcze na tydzień oglądać Warszawę. Ci z naszych, którzy nie wyjadą, będą się z nimi też spotykać. Jedną z całkowicie nowych rzeczy tu, w Kamieńcu, i we Lwowie jest to, że nie ma zwiedzania miasta w takim rutynowym, tradycyjnym trybie z dorosłym przewodnikiem, który im opowiada: to tu, to tu, a to tu się działo i to tak wyglądało, tylko w Warszawie grupa osób, która już była tutaj – czy na plenerze, czy w mieście z jakichś innych powodów – przygotowała bieg miejski na kilka patroli czy grup. Każda grupa otrzymuje jakieś zadania i to jest taka inna forma zwiedzania. To samo będzie we Lwowie.

Już były rozmowy z Kościołem, kiedy można się tu w przyszłym roku zakwaterować. Są rozmowy z niektórymi osobami – bo na pewno nie ze wszystkimi – czy mogliby przyjechać tu w przyszłym roku. W przyszłym roku będzie inny plener – ta formuła już została wymyślona i, prawdopodobnie, jeżeli „Ukraina” będzie miała pieniądze, a przynajmniej większość z nich, nie będzie Rumunii, ale będzie Humań z Sofiówką, Białgorod Dniestrski, Akerman, Oczaków z Dnieprem, Odessa. I jeśli da się „Ukrainę” zabrać na to ze sobą, to będzie to nadzwyczajna sprawa. Bardzo bym chciał. Kiedyś, jeszcze dwa lata temu już tak robiliśmy, potem „przestaliśmy mieć pieniądze” w takiej ilości, by móc to kontynuować, więc ograniczyliśmy się do bliższej Rumunii.

Także pomijając Kościół i niektóre miejsca na Ukrainie, z którymi współpraca na Ukrainie idzie bardzo w porządku, jest jeszcze miejsce, zwane „Kurierem Galicyjskim”. Gazeta pełni tu niezwykłą rolę, także z tego powodu, że ja próbuję z panem redaktorem Mirosławem Rowickim (zwanym też Marcinem Romerem) negocjować i jak do tej pory mi się to udaje. Sprawa polega na tym, że dzieci z Ukrainy, biorące udział w naszym programie dzieci, które po raz pierwszy są w Warszawie, w dosyć młodym wieku, nienauczone jeszcze wielu rzeczy, piszą swoje wrażenia z Polski – z pierwszego wyjazdu zagranicznego i opuszczenia swojej ojczyzny i opisują to, co tu widziały. I nasze dzieci z Warszawy też opisują swoje wrażenia, próbują pisać artykuły. Pan redaktor publikuje to, jeśli to zachowuje jakiś poziom, bo jak nie zachowuje, to nie ma o czym mówić. I to ma wielkie znaczenie – być wydrukowanym w gazecie, może nie najważniejszej gazecie na świecie, ale gazecie – dla tych małych dzieci, ich rodziców i ich szkół. To jest, myślę, jeden z ważniejszych elementów tej sytuacji.

Panie Witoldzie, podziwiam Pana. Osobiście nie wytrzymałabym tak długo z taką dużą grupą młodzieży, a Pan sobie świetnie daje radę.

Ja bym jeszcze powiedział tak: ła-

twiej mi jest w dzielnicy w poszukiwaniu pieniędzy, poszukiwaniu miejsc, próbowaniu namawiania na współpracę, jeżeli w całą tę sytuację jest zaangażowany jeszcze ktoś. Tu nie chodzi o uprawianie jakiegoś bizantyzyzmu czy składanie holdu dla władzy, ale jakieś podziękowanie się należy. Było dwóch panów: jeden – pan dyrektor, Andrzej Borkowski (od 2002 do 2004 roku) i potem pan burmistrz Wojciech Komorowski, dwóch najważniejszych urzędników dzielnicy, którzy wykazywali zrozumienie, przyznawali pieniądze, uczestniczyli w różnych spotkaniach, przyjeżdżali na Ukrainę. Lubią to miejsce. Także dzięki ich zrozumieniu i wspomaganie ten program wciąż jest realizowany. Może mi jest łatwiej, ponieważ jestem radnym, ale gdyby oni nie mieli w sobie tego zrozumienia, to ja, jako radny też bym sobie z tym nie poradził.

Pani pyta: tyle lat i taka sytuacja – to jest druga strona tego samego medalu. W Warszawie też mnie pytają, dlaczego tam, czy nie można by gdzie indziej, np. po co do Kamieńca Podolskiego, kiedy można na Krym? A ja mówię: idźcie na dworzec, kupcie sobie bilet, idźcie do biura turystycznego i jedźcie na Krym. Ja na Krym nie jeżdżę. To samo jest z Zachodem – chcecie jechać na Zachód – proszę bardzo, wolna wola, nikt nikomu nie broni jeździć na Zachód, gdzie tylko dowolnie chcecie. Ja jeżdżę w te dokładne miejsca. Jeżeli ktoś tego nie rozumie, to po prostu nie jeździmy razem. Dla mnie liczy się młodzież, wspólna historia, choć inaczej interpretowana, i współczesna Ukraina. Bo nie może być tak, że dzieci znają Ukrainę z relacji Ukraińców, którzy sprzątają u nich w domu. Muszą wiedzieć, że to jest kraj, który składa z czegoś więcej niż tylko z biednych ludzi, którzy przyjeżdżają do nas do pracy. Różne rzeczy się dzieją dodatkowo, przy realizacji tego programu, ale pewne, ważne według mnie, elementy są cały czas powtarzane.

Chciałbym zakończyć mniej oficjalnie, akcentem osobistym. W kwietniu zeszłego roku był ślub mojej córki. W październiku, poprzedniego roku wracali z wyprawy z Kamieńca Podolskiego i zareczyli się we Lwowie. Nie namówiłem ich na ślub w katedrze lwowskiej, natomiast to, że lubią to miejsce, bardzo dobrze rozumieją i w całą tę sytuację i jakoś się angażują, jest dla mnie także zadziwiająca sytuacją. To moja osobista satysfakcja.

Wspominając historię wszystkich plenerów, trudno nie wspomnieć o kościele katolickim w Kamieńcu Podolskim – katedrze. Wielokrotnie mieszkaliśmy na terenie tzw. „miasteczka kościelnego” w Kamieńcu. Nie jesteśmy stricte grupą religijną, ale ks. Roman Twaróg, s. Teresa – są to niezwykle życzliwe osoby. Bez ich uczynności, sympatii, współpracy nic z tego by nie było. Bez ich zmysłu pracy i pogodzenia się z paroma sytuacjami, które przyjeżdżająca ze mną grupa młodzieży wywołuje, dość trudno byłoby sobie to wszystko wyobrazić. Ważną dla nas i chyba najbardziej zaprzyjaźnioną z nami osobą na terenie Kamieńca jest pan Stanisław Nagorniak – z miejscowej polskiej organizacji i miejscowego Caritasu. Ze wszystkimi osobami, o których mówię, cała ta jedenastoletnia historia jest bardzo, bardzo głęboko i ściśle powiązana.

Dziękuję za rozmowę.

POLACY, UKRAIŃCY, ŻYDZI – DZIECI JEDNEGO BOGA



KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

Wczoraj, 28 lipca, w Centrum Ekoturystycznym Karpackiego Parku Narodowego w Jaremczu rozpoczęło się Międzynarodowe Seminarium „Arka 2011. Dzieci jednego Boga”.

Organizatorami seminarium są: Konsulat Generalny RP we Lwowie, Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, Ogólnoukraińskie Centrum Badań nad Holocaustem „Tkuma”, Ukraiński Katolicki Uniwersytet i Lwowski Pałac Kultury im. Ignacego Hotkiewicza. Sponsorami całego przedsięwzięcia były: Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie, The American Joint Jewish Distribution Committee, Conference on Jewish Material Claims Against Germany i Dutch Jewish Humanitarian Fund. To właśnie dzięki ich finansowemu wsparciu oraz gościnności grekokatolickich ojców studytów już po raz szósty spotkała się młodzież polska, ukraińska i żydowska z różnych terenów Ukrainy.

Do udziału w spotkaniach, obradach i zajęciach zostali zaproszeni naukowcy, duchowieństwo i działacze społeczni z Polski, Ukrainy oraz Izra-



ela. Organizatorzy Seminarium zaznaczyli, że podczas „Arki 2010” młodzież sama zaproponowała temat tegorocznego spotkania – po to, by lepiej poznać duchowość trzech narodów, które są sąsiadami już ponad tysiąc lat.

Przewidziane są też poszczególne dla każdej narodowości dni – Dzień Ukraiński, Żydowski i Polski. Planowane jest zwiedzanie świątyń: cerkwi, kościoła i synagogi. Przewidziana jest też wspólna wycieczka na Howerłę, najwyższy szczyt ukraińskich Karpat.

Uczestników „Arki 2011” przywitani nie tylko jej organizatorzy, lecz także przewodniczący miasta Jaremzcze – Wasyl Onuczak, przeor Ławry Uniowskiej, studyta, o. Teodor Martyniuk, rzymskokatolicki dziekan iwano-frankowski i proboszcz w Jaremczu

– ks. Kazimierz Halimurka. Obecny na otwarciu seminarium konsul Marcin Zieniewicz z Konsulatu Generalnego RP we Lwowie odczytał również list od Olgi Iwaniak – prezes Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie:

„Już po raz szósty na Arce będziemy mówić o wspólnocie kultur i religii trzech naszych narodów: żydowskiego, ukraińskiego i polskiego, będących – jak trafnie przypomnieli autorzy projektu – Dziećmi jednego Boga, – napisała w swym liście do uczestników seminarium Olga Iwaniak. – Kontekstem Arki jest pamięć o tragedii, która dotknęła ludność żydowską. Na terenach II Rzeczypospolitej Żydzi zbudowali swoją największą gminę na świecie i kolebkę nowoczesnej kultury żydowskiej. Tu też wydarzyła się największa tragedia XX wieku: mordów na żydowskich współmieszkańcach dokonywali nie tylko naziszi, ale również okupanci sowieccy – w 1939 roku po zajęciu Polski wywieźli na Syberię blisko 200 tysięcy Żydów. Wraz z nimi mordowano i wywożono także Polaków, Ukraińców i innych obywateli II Rzeczypospolitej.

Dzisiaj, gdy oba te totalitaryzmy zniknęły z powierzchni Europy, nasz świat stał się najbezpieczniejszym ze światów. Nie dajmy sobie wmówić, że ktoś, kto żyje obok nas jest obcy – bo to prosta droga do wykluczenia i niena-

wiści. Wszak wszyscy jesteśmy Dziećmi jednego Boga.

W tym roku, po raz pierwszy Arka przybiła do brzegu, nie w Uniowie, lecz w Jaremczu. Stoimy na ziemi, której niezwykle piękno polega na różnorodności i wielości. Jej oblicze tworzyli bowiem różni ludzie, z różnych kultur i narodów. Każdy zostawił po sobie coś niezwykłego i wyjątkowego. W historii tej ziemi zostało zapisane doświadczenie współżycia Polaków, Żydów i Ukraińców, a także utrwalone poczucie prawa, jako ręką demokracji i uszanowania godności człowieka”.

W Jaremczu Seminarium „Dzieci jednego Boga” będzie gościło do 3 sierpnia, a następnie przeniesie się na jeden dzień do Iwano-Frankowska.

MŁODZIEŻY POWINNO BYĆ WIĘCEJ!

z **MARKIEM HAUSZYLDDEM** – prezesem Fundacji **SEMPER POLONIA** rozmawiała **JULIA ŁOKIETKO**

Jak wygląda strategia Fundacji wobec polskiej młodzieży poza granicami kraju?

Wspieramy młode osoby w zdobyciu wykształcenia oraz rozwoju indywidualnym. Mamy na celu pomóc im w zajmowaniu wysokich stanowisk w kraju zamieszkania – w hierarchii państwowej, politycznej, oświatowej, kulturalnej. Jeśli chodzi o Ukrainę, to postawiliśmy na Lwów. Odsetek polskiej młodzieży, która podjęła tam studia, jest stosunkowo wysoki. Często przyjeżdżacie do Polski na nasze zaproszenia, spotykacie się jako stypendyści z różnych krajów, kontaktujecie z liderami w kraju – wymieniacie poglądy, doświadczenia, zaczynacie sami, już bez pośrednictwa Fundacji, współpracować ze sobą. Chcemy też pokonać stworzone przez przodków bariery między narodami polskim i ukraińskim. Bardzo ważne jest tu doświadczenie młodzieży. Nazywamy to budowaniem polskiego lobby w świecie. Gdyby takich działań było jeszcze więcej... Fundacja SEMPER POLONIA powstała z niczego, rozwinęła się i pomogła się wam rozwinąć. Obecnie wy – Stypendyści – jesteście naszą siłą. Ponad 10 tys. młodych ludzi, dzięki nam, dostało wyższe wykształcenie w różnych krajach świata i muszę powiedzieć, że to jest chyba najlepszy pomnik – nie stawianie Domów Polskich, nie stawianie pomników, ale inwestycje w ludzi, w Was właśnie – to są największe inwestycje, najlepiej owocujące w przyszłości. Stypendyści są wszędzie obecni. Niedawno spotkałem się przypadkowo we Francji z osobą, która należała do Klubu Stypendystów w Czechach.

Chodzi o tzw. mentoring. Wspieranie inicjatyw młodych przez starsze pokolenie tak, jak to jest np. w Kanadzie...

Jak najbardziej. Bardzo boli mnie jedna rzecz. Cieszę się z tegorocznych obchodów X Dnia Polonii i Polaków za granicą, ale prawie nie widziałem tu młodzieży. Ilu młodych ludzi Pani tu widziała? Pięcioro? Z ogólnej ilości delegatów powinno być co najmniej 50% młodych ludzi! Uważam, że obecni działacze polscy i polonijni powinni wreszcie zrozumieć, że z młodzieżą trzeba pracować, młodzież należy wspierać, z jej doświadczeń należy korzystać, młodzież należy dopuścić do głosu i pracy na rzecz lokalnego polskiego środowiska. Nie wolno bać się stracić wpływu. W przeciwnym razie, Polonii i Polakom za granicą może grozić po prostu degradacja.

Co było powodem, że powstały Kluby Stypendystów? Pierwszy za-



łożyliśmy w Grodnie, w 2004 r. Młodzież nie chciała współpracować z lokalnymi polskimi organizacjami, ponieważ one się już zadomowiły i stworzony został pewien zawód – „działacz polonijny”. Mamy tu przykład słynnego konfliktu młodszych ze starszymi. I proszę bardzo, pomogliśmy. Dajemy jednak jedynie możliwości rozwoju i chcielibyśmy, żebyście podjęli się wysiłku by cokolwiek zrobić. Powinniście być aktywni.

Czego oczekuje Pan od Lwowskiego Klubu Stypendystów Fundacji SEMPER POLONIA?

Rolą Lwowskiego Klubu Stypendystów jest wdrażanie nowych pomysłów, tworzenie grona nowych inicjatywnych liderów itd. Chcemy mieć świadomość, że dobrze wykonałiśmy swą robotę i wychowaliśmy sobie dobrych kontynuatorów. Działania, które podejmuje i obecna Rzeczypospolita Polska, i władze ukraińskie, i polska wspólnota lokalna nie pójda na marne jeżeli podejmiecie się tej misji. Chciałbym, byście realizowali pewne projekty wspólnie z innymi naszymi klubami. Bardzo pręźnie działa Klub Stypendystów Semper Polonia w Ostrawie (Czechy). Z pewnością znajdziemy pieniądze na wsparcie tych inicjatyw. Oczekuję też, że „Kurier Galicyjski” więcej będzie pisał o tym, czego się młodzież podejmuje. Mówiąc to, mam na myśli oczekiwania wobec wszystkich mediów polonijnych i polskich spoza kraju. Starsi, doświadczeni polscy działacze już wytworzyli sobie oblicze w mediach. Czas dać szansę młodym. Jeszcze jedna sprawa – odwoływanie się do dalekiej historii. Jest to bardzo ważne, ale powinniśmy myśleć o tym, co nas czeka w przyszłości. Przeszłość nie powinna zastępować rzeczywistości, ani nad nią przeważać.

Jak wygląda sytuacja z siedzibą Lwowskiego Klubu Stypendystów?

Trzy lata temu, po rozmowie z konsulem generalnym RP we Lwo-



wie, miałem przyrzeczenie, że po przeprowadzce konsulatu do nowego gmachu, siedziba przy ul. Kociubińskiego zostanie w rękach polskich. Tak się nie stało. Powinniście sami poszukać jakiegos miejsca na siedzibę. Przez dwa lata mieliśmy zarezerwowane na ten cel pieniądze. Nie wiem dlaczego wam się nie udało. Może były inne sprawy, może teraz ta sprawa dojdzie do skutku. Wielokrotnie spotykałem się z Wami we Lwowie, namawiałem. Nie będę ukrywał, że pewne rzeczy udało się zrealizować. Skąd się wzięło reaktivowanie Lwowskiego Klubu Sportowego „Pogoń” Lwów? Między innymi z Lwowskiego Klubu Stypendystów. Mógłbym mnożyć takiego rodzaju przykłady. Natomiast nie zrobię za was pewnych rzeczy. Mogę wam pomóc, mogę wam coś doradzić. Jeżeli jednak sami pewnych rzeczy nie zrobicie, to trudno.

Jak wygląda sytuacja z Giełdą Pracy?

800 stypendystów znalazło pracę dzięki Fundacji. To jest dużo. Giełdę Pracy organizowaliśmy w oparciu o polskie firmy. Coraz trudniej jednak jest nam je pozyskać. Firmy są z wprawdzie zainteresowane stypendystami, ale nie chcą zainwestować w rozwój programu, który naprawdę ładnie się sprawdził. Jeżeli nie będzie nowych ofert pracy ze strony firm polskich i polsko-ukraińskich, jeżeli nie będzie chęci wyjścia do was z propozycjami, to Fundacja też niczego nie zrobi.

Dziękuję za rozmowę.

SENIORZY LWOWSCY W OLSZTYNIE

Lwowski Uniwersytet III Wieku został zaproszony na V jubileuszowe integracyjne spotkanie Uniwersytetów III Wieku z wschodniej granicy i z kraju. Spotkanie odbyło się w Olsztynie w dniach 27-30 czerwca 2011 roku. W spotkaniu brali udział przedstawiciele Uniwersytetów z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Mołdawii i Polski. Patronat nad spotkaniem objęła małżonka Prezydenta RP Anna Komorowska. Organizatorami imprezy wystąpili ATW przy MOK w Olsztynie, Koło Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” przy ATW, MOK w Olsztynie, Zespół Szkół Budowlanych im. Żołnierzy Armii Krajowej. Sponsorami spotkania byli: Urząd Marszałkowski, Urząd Miasta Olsztyna, Michelin Polska SA, Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Olsztynie. Zebranie organizacyjne i wykłady odbywały się w Sali kame-ralnej Miejskiego Ośrodka Kultury.

W pierwszym dniu wysłuchaliśmy wykład pana Leszka Kranca pt. „Jacy jesteście”. Wykład był ciekawy, ubarwiony ilustracjami. Następnie zwiedziliśmy Olsztyn i jego zabytki. W zamku olsztyńskim odbyło się spotkanie z Jackiem Protasem – marszałkiem województwa Warmińsko-Mazurskiego, prezydentem miasta Olsztyna Piotrem Grzymowiczem oraz posłem na sejm Michałem Szczerbą. W sali zamku olsztyńskiego wypowiedziano wiele ciepłych słów o integracji, nauce aż po Kresy. Marszałek Jacek Protas powiedział, że prawdziwa młodość przychodzi z wiekiem, a emerytura nie ogranicza aktywności człowieka. Prezydent miasta Piotr Grzymowicz podkreślił: „Miasto Olsztyn jest miastem młodym, ale ciszymy się, że mamy Uniwersytet Trzeciego Wieku, a w nim ludzi, z którymi możemy budować wspólną przyszłość”. Natomiast poseł Michał Szczerba powiedział: „Jestem szczęśliwy, że mogę uczestniczyć w takim spotkaniu. Postaram się być pomocny w działaniu Uniwersytetu Trzeciego Wieku”. Senator Ryszard Górecki wypowiedział myśl, że życie człowieka w wieku starszym powinno być piękne i szczęśliwe.

W imieniu Wiesławy Borczyk – prezes Polskich Uniwersytetów Trzeciego



Wieku pani prezes UTW w Olsztynie Krystyna Męcik odczytała list powitalny. Pani Krystyna Lewkowicz przekazała pozdrowienia od warszawskich Uniwersytetów Trzeciego Wieku. Podkreśliła, że rok 2012 będzie rokiem Uniwersytetów Trzeciego Wieku, a 19 marca 2012 r. w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, pod patronatem małżonki prezydenta RP Anny Komorowskiej i pani prezydent stolicy Hanny Gronkiewicz-Waltz odbędą się uroczyste spotkania słuchaczy Uniwersytetów Trzeciego Wieku z kraju i z zagranicy.

Wieczorem w internecie ZSB odbyło się spotkanie integracyjne wszystkich UTW, gdzie omawiano różne problemy. W następnym dniu, w Olsztynie, zorganizowano nam wycieczkę statkiem wycieczkowym „Beldany” na trasie Mikołajki-Giżycko po jeziorach mazurskich – uroczym zakątku ziemi polskiej. Mazury odwiedzają latem nieprzebrane tłumy ludzi. Niektórzy, zakochani się w falach jezior, pięknych lasach, malowniczych łąkach i wijących się krętych drogach, przyjeżdżają, ażeby być tu w każdej wolnej chwili.

Płynęliśmy, przez jeziora Tarło, Beldany, Jagodne, Niegocin i liczne kanały między nimi. Wzdłuż jezior ciągnie się pasmo leśne, piękne drze-

wa, krzaki, szuwary. Na brzegach są luksusowe hotele, pensjonaty, gospodarstwa agroturystyczne o pola namiotowe, koło przystani ogromna ilość jachtów i motorówek.

Lubując się i wchłaniając piękno tej ziemi dopłynęliśmy do Giżycka. Przesiadamy się do autobusu i jedziemy do Świętej Lipki. Na mazurskiej ziemi stoi piękny barokowy klasztor i kościół. Początki kultu maryjnego sięgają XIV wieku. Krąży tu legenda sławy religijnej od niepamiętnych czasów, a mianowicie pewnemu więźniowi skazanemu na śmierć. Przed egzekucją ukazała się Najświętsza Maria Panna. Dała mu kawałek drzewa, dłużej i przykazała wyrzeźbić jej wizerunek. Swoją pracę wykonał tak wspaniale, że sędziowie postanowili go uwolnić. W drodze do rodzinnego miasta Reszla, wizerunek

Najświętszej Marii Panny, według jej życzenia, zawiesił on na przydrożnej lipie. Miejsce to zasłynęło cudami i zostało otoczone czcią. Obecny kościół powstał w 1688-93 roku. Jego budowniczym był Jerzy Ertla ze Śląska, twórca kościołów jezuitów w Wilnie. Kościół zdobi piękna żelazna brama z roślinnym ornamentem, wykonana przez Jana Schwartza z Reszla w 1734 roku. Na murach krużganku – 44 figury, przedstawiające genealogię Chrystusa. Są tu dwie wieże z zegarami. Ciekawa jest malarska dekoracja świątyni. Jest to dzieło Macieja Mayera z Lidzbarka Warmińskiego. Freski, poświęcone Matce Boskiej, życiu Chrystusa i dziejom miejsca kultowego. W głównym ołtarzu obraz Matki Boskiej pędzla flamandzkiego malarza Bartłomieja Pensa. Srebrna koszulka wyko-



nana przez złotnika Samuela Grewe. Zainteresowanie budzi drzewo lipowe z wizerunkiem Madonny, dar dworu królewskiego. Prawdopodobnie ustawiane w miejscu gdzie rosła lipa.

W czasie pobytu mieliśmy też spotkanie z towarzystwami kresowymi. Pan Karol Kuflowski (urodzony w Malechowie pod Lwowem) był naszym duszkiem i patronem w ciągu całego pobytu w Olsztynie.

W ostatnim dniu, w sali kame-ralnej MOK, spotkanie seminaryjne, na którym przedstawiciele UTW z różnych miast dzieliли się swoimi osiągnięciami i problemami. W „Zakątku Europy” – restauracji odbył się uroczysty wieczór pożegnalny, z wręczeniem pamiątkowych upominków.

1 lipca, w drogę powrotną do Lwowa wyjechaliśmy o 6 rano, autobusem olsztyńskim. Tym autobusem jechali członkowie ATW na dwudniową wycieczkę do Lwowa. Gdy dojechalismy do ukraińskiej granicy była 17.20. I tu zaczęły się nieporozumienia. Celnicy ukraińscy z jednej strony, kierowca polskiego autokaru, kierownik polskiej wycieczki i kierownik naszej grupy (obywateli Ukrainy i Mołdawii) prowadzili jakieś pertraktacje aż do godziny 5 rano, 2 lipca. W wyniku czego, naszą grupę wysadzono z autokaru (wszystkie osoby w wieku 75-85 lat) i odtransportowano do Rawy Ruskiej. Autobus polski ponownie zawrócono na polską granicę. Działania celników ukraińskich były dla nas zupełnie niezrozumiałe. Dlaczego potraktowano nas w tak nieludzki sposób? A jesteśmy obywatelami Ukrainy, chociaż polskiego pochodzenia. Okazało się, że litera prawa jest bardzo bezsensowna. Bardzo serdecznie przepraszamy polskich turystów, którzy przez nasze przepisy musieli znaleźć się w tak niezręcznej, nieludzkiej sytuacji. Jesteśmy przekonani, że wy i my zostaliśmy oszukani.

Na ręce pana Czesława Wojniasza składamy nasze serdeczne podziękowania wszystkim organizatorom, współorganizatorom oraz sponsorom za świetne zorganizowanie uroczystości, poświęconych V jubileuszowemu spotkaniu UTW oraz za wspaniałą wycieczkę statkiem „Beldany” po Mazurskich Jeziorach.

STEFANIA ŁABAZIEWICZ

SKOLENIA WYCHOWAWCZYŃ W DROHOBYCZU

Lato – okres wakacji i wypoczynku. Gdy uczniowie rzeczywiście rzucili torniasty daleko na półki, a przedszkolaki przez cały dzień spędzają czas z rodzicami na zabawie na świeżym powietrzu, to dla ich nauczycielek i wychowawczyń jest to czas, kiedy można się dokształcić, uzupełnić wiadomości nowymi i ciekawymi pomysłami na kolejny rok. Taką właśnie świetną okazję, zorganizowaną przez Centrum metodyczne w Drohobyczu, miały wychowawczynie polskich przedszkoli. Dwutygodniowe szkolenie z języka polskiego i metodyki pracy z dziećmi zebrało wychowawczynie nie tylko ze Lwowa, ale i z województwa lwowskiego, Kamieńca Podolskiego i z Czernichowa. Szkolenie zorganizował z wielkim zaangażowaniem dyrektor Centrum Adam Chłopek. Na szkolenie zaprosił najlepszych wykładowców i metodystów pracy przedszkolnej z



Uniwersytetu Drohobyckiego i z Polski. Na długo pozostaną w pamięci wykłady prowadzone przez profesor Małgorzatę Małyką z Lublina. Jej nowoczesne metody nauczania najmłodszych dzieci, połączone z wychowaniem muzycznym, plastyką i rytmiką pomagają wychowawczyniom w codziennej praktycznej pracy z dziećmi uzyskiwać dobre wyniki w ich rozwoju. Dzięki cie-

kawym testom, opracowanym przez prof. Małyką, poznaliśmy lepiej psychiczny rozwój dzieci przedszkolnych, co pomoże nam w codziennej pracy z nimi.

Intensywne szkolenia udało nam się połączyć z poznaniem miejsc historycznych Ziemi Drohobyckiej. Pomijając nienajlepszy stan dróg w powiecie, zwiedziliśmy ojczysty dom

Iwana Franki, przepiękny kościół wniebowzięcia NMP w Rudkach z rodzinną kryptą Fredrów, dworek Fredrów w Beńkowej Wiszni, spróbowa-liśmy wód leczniczych w Truskawcu. Dzięki staraniom pana Adama mieliśmy bardzo pożyteczne szkolenia i wypoczynek.

Po intensywnych wykładach w towarzyskiej atmosferze, przy filiżance aromatycznej kawy prowadziliśmy sporo rozmów i dyskusji, wymieniając nasze doświadczenia. Wymienialiśmy nasze poglądy i doświadczenia pracy z dziećmi, sprawy edukacji najmłodszych oraz kultywowania polskości na naszych terenach. Dla nas wszystkich, nawet lwowiaków, wielkim odkryciem była obfitość różnego rodzaju zabytków Ziemi Drohobyckiej. Tu są stare drewniane cerkwie, solanki z XIII wieku. Wieczorami,

spacerując cichymi uliczkami, tonącymi w zieleni i kwiatach, podziwialiśmy stare budynki, kościół, dom Bruno Schultza, stary ratusz i pomnik Jurija z Drohobycza.

Składamy serdeczne podziękowania dyrektorowi Centrum metodycznego w Drohobyczu Adamowi Chłopkowi za umożliwienie dokształcenia się, poznania nowych ludzi i wzbogacenia naszych wiadomości. Mamy nadzieję, że takie szkolenia będą organizowane w przyszłości.

W imieniu wszystkich uczestników szkoleń w Drohobyczu

**LUDMIŁA WYSOCKA
wychowawczynie przedszkola
nr 131 we Lwowie
OLGA KOWALSKA
wychowawczynie przedszkola
nr 181 we Lwowie (Sichów)**

SABINA RÓŻYCKA tekst
zdjęcie archiwum

ŚMIERĆ OSTATNIEGO MOLFARA

W wiosce Werchnij Jase- niw, rejonu werchowyńskie- go, w woj. iwano-frankow- skim (dawn. stanisławowski) pochowano znanego karpac- kiego uzdrowiciela, znachora i ostatniego molfara Mychajła Neczaja. 81-letniego mężczy- znę zamordował czterema uderzeniami noża w szyję 33-letni psychicznie chory mieszkaniec Lwowa. Trage- dia wydarzyła się rankiem 15 lipca około 6.00 rano. O 6.50 o śmierci maga zawiadomio- no posterunek milicji. Wiado- mość lotem błyskawicy roze- szła się po Ukrainie. Wszyscy byli zbulwersowani: co komu zawinił starszy znachor, który swoimi nietradycyjnymi me- todami pomagał tym, których dawno opuścili lekarze.

...Od Werchowyny do Werchnie- go Jaseniowa droga jeszcze prze- jeżdżalna, wioska jest niezbyt oddalona. Dojechać tam można bez trudu. W Werchowynie ludzie mówią jeszcze o śmierci molfara. Przypominają wesoly charakter Neczaja, optymizm i filozoficzne podejście do życia. Powiadają, że staruszek lubił pożartować dosadnie z dziewczętami i młódkami, ale za- wsze były to tylko żarty. Był typowym mieszkańcem gór. Lubił swoją ziemię, zielone góry, kołomyjki, cenil rodzinę, był prawym, dobrym, sprawiedliwym i tajemniczym, jak cała, owiana misty- ką, Huculszczyzna.

Aż ot i Jasieniów, otoczony gó- rami, niby podkową, kilka metrów od szosy toczy swe sino-czarne wody Czeremosz. Do chaty dziadka Necza- ja przerzucona kładka. Jeszcze kilka dni wstecz tu pielgrzymowali ludzie. Ze swymi chorobami, bolączkami, bieda- mi, rodzinnymi problemami i kłopotami w karierze. Szli politycy, deputowani, artyści, robotnicy, biedni i bogaci, sta- rzy i młodzi. Wszyscy znaleźli tu pora- dę, reprimendę, dobre słowo, a kogoś po prostu wysłuchiwał i to już wystar- czało. Stał tu przed kładką, wzdłuż drogi, sznur zagranicznych i rodzimych samochodów. Teraz droga i podwórze usłane jest setkami wieńców. Wydaje się, że nawet góry posmutniały. Bli- scy uzdrowiciela o śmierci Neczaja rozmawiać nie chcą, bo ta gwałtowna śmierć – za wielka dla nich tragedia, aby dzielić się nią ze światem.

„Ludzie, dosłownie, dniami czekali na wizytę u niego. Nocowali we wsi, zdarzało, że i u mnie nocowali, – mówi, ocierając łzy, Kateryna Wowkuniec, sąsiadka molfara. – On nikomu nie odmawiał, pieniędzy za swoje usługi nie wymagał. Każdy dawał ile mógł. Przyjeżdżali tu ludzie z całej Ukrainy, a i zza granicy bywali. Ratował skłócone małżeństwa, przywracał żony mężom i odwrotnie. Pomagał tym, co stracili pracę lub mieli złego szefa. Najważ- niejsze – przywracał ludziom zdrowie. Leczył tych, których lekarze odesłali do domów. Umierać”.

Dziadek Neczaj często powtarzał, że zna godzinę swojej śmierci. „W ostatnich miesiącach życia staruszek, z zamyśleniem spoglądał w góry i mówił cicho: „Moja świeczka już się dopala”, – opowiadają sąsiedzi. Ale usłyszeć to od 81-letniego mężczyzny nie było niczym dziwnym. „Jakbyśmy wiedzieli, że on tak swoją śmierć prorokował! – biadają Huculi, którzy jednocześnie proszą, by nie podawać ich nazwisk – ale, czy mogliśmy go obronić. O tym, że Mychajło Neczaj znał swoją ostatnią godzinę świadczy fakt, że w dzień śmierci ubrał białą koszulę, ogolił się i zagadkowo uśmiechał. Choć, zazwyczaj, molfar przyjmował ludzi w codziennym ubraniu.

„W dzień tragedii przyszło do nie- go już o świcie pięć osób, – mówi Hanna Kłapczuk z Werchowyny, która była wtedy w Werchnim Jaseniowie. – Dwa małżeństwa i jeden młody człowiek. Jego molfar przyjął jako pierwszego. Młodzieniec był u znachora z dziesięć minut. Potem wyszedł. Sam. To było dziwne, bo z zasady, uzdrowiciel od- prowadzał klienta do drzwi lub do furki. Gdy wyszedł, powiedział, żeby lu- dzi sami nie wchodzili, że za dziesięć minut Neczaj ich sam zaprosi. Powie- dział i poszedł do swego namiotu. Ale minęło dziesięć minut, pół godziny, a znachor nie wychodził i nikogo nie zapraszał. Wtedy ludzie poszli do jego żony Hanny, aby go pośpieszyła. Gdy weszła do niewielkiego pokoiku, gdzie

Molfar – w kulturze Huculów tak określają obdarzoną nadprzyrodzonymi zdolnościami osobę, wróżbitę, cza- rodzieja, ludowego maga. Jak uważają Huculi, molfarzy mogą być dobrzy i źli (biały i czarny). W leczeniu ludzi i kie- rowaniu siłami przyrody molfarzy wykorzystują zaklęcia, specjalne przedmioty i zioła.



przyjmował pacjentów, kobieta za- marła... mężczyzna był już martwy”. Zrozpaczona kobieta zadzwoniła do syna, który pracuje w urzędzie rejo- nowym. A ten zawiadomił milicję.

Po tym telefonie postawiono na nogi cały posterunek z Werchowyny, w województwie wprowadzono środ- ki nadzwyczajne w celu zatrzymania przestępcy, – mówi naczelnik woje- wódzkiego urzędu MSW, generał- major Wasyl Warcaba. – Na nogi po- stawiono wszystkie patrole drogowe, przybyli żołnierze wojsk MSW, oddziały specjalne „Berkut”, sześć grup z psami tropiącymi i nawet wojska pogranic- zne, bo rejon werchowyński graniczy z Rumunią. W poszukiwaniach wspo- magali nas leśnicy. Połączyliśmy się i z czerniowiecką milicją”. Znaleźć zabójcę pomogło wideo. W przededniu jedna z kijowskich ekip telewizyjnych nagry- wała film dokumentalny o molfarze Neczaju. Na zdjęciach był i sam uzdro- wiciel i jego klientela. Oba małżeństwa poznały mężczyznę na zdjęciach.

W ciągu kilku godzin stróże prawa w odległości 6 km od Werchniego Ja- seniowa, w lesie koło wioski Bukowiec zatrzymali podejrzanego. Widząc mi- licjantów próbował uciekać i skryć się w lesie. Ale tej szansy mu nie dano.

Otoczono go podwójnym kordonem. Zatrzymany okazał się 33-letnim mieszkańcem Lwowa, inwalidą II gru- py, schizofrenikiem. W 1999 roku już raz dopuścił się zabójstwa. Z materia- łów śledztwa wynika, że wtedy napadł na dwie kobiety, jedną z nich zamor- dował, drugiej udało się przeżyć. Ale uznano go niepoczytalnym. Pewien czas był leczony przymusowo w zakła- dzie zamkniętym w Dniepropietrowsku. W 2010 roku został zwolniony.

Przed morderstwem lwowianin przyjechał do molfara, rozbił opodal namiot i rozmawiał ze znachorem. Według słów mieszkańców Jaseniowa zachowywał się spokojnie. Stał koło kładki, częstował się czereśniami, łowił ryby, rozmawiał z miejscowymi. Jednak spojrzenie miał ciężkie. W rozmowach z uzdrowicielem przekonywał go, by porzucił pogaństwo i dotrzymywał się zasad chrześcijańskich. Nie wiadomo co odpowiadał mu molfar, który wpraw- dzie i oddawał cześć przyrodzie, ale, jak powiadają znajomi, od chrześcijań- stwa też nie stronił. Ale dla złooczyńcy, ważną widocznie była odmowa uzdro- wiciela odejścia od swych przekonań. „W przededniu morderstwa całą noc modliłem się i Bóg zezwolił mi ukarać zło, – zeznaje zatrzymany młodzie- niec. Gdy morderca wszedł do chaty nie mówił już nic, odrzącił staruszka, ten upadł, wtedy uderzył go nożem, trzymany w lewej ręce, w szyję. Po- tem jeszcze trzy razy. Dziś, jak twier- dzą prawnicy, grozi mu od 10 do 15 lat więzienia, lub nawet dożywocie. Ale jak zostanie znów uznany za nie- poczytalnego, odesła go ponownie na przymusowe leczenie.

...Tym czasem góry tęsknią za molfarem. Na progu, nie odchodząc od chaty leży czarny kot Łoncun, zawsze towarzyszący magowi. Jeszcze za życia dziadek Neczaj mówił, że żadne koty, oprócz czarnych, u niego nie chcą mieszkać. Bo zwierzęta w tym kolorze pomagają mu w jego działalności. Tę- sknią po dziadku i mieszkańcy wioski. „Straciłszy wielkiego Hucula, pełne- go radości życia, dobrego człowieka, nie tylko uzdrowiciela, ale i twórcę – z bólem opowiada wójt Werchniego Jaseniowa, sąsiad zamordowanego, Dmytro Martyszczuk. – Bo Mychajło Neczaj był założycielem i wieloletnim kierownikiem folklorystyczno-etnogra- ficznego zespołu drymbalistów „Struny Czeremosza”. Uczył dzieci, dorosłych i turystów gry na tym ludowym instru- mencie. Sam produkował te instrumen- ty. W marcu 2010 roku za 40-letnią pracę kierownika zespołu otrzymał tytuł Zasłużonego Pracownika Kultury Ukra- iny. W miejscowej szkole prowadził dla młodzieży kółko ludowych rzemiosł hu- culskich.

Właśnie do niego na konsultacje etnograficzne przed zdjęciami do fil- mu „Cienie zapomnianych przodków” przyjeżdżał reżyser Sergij Paradża- now. Przygotowywał molfar do głównej roli w tym filmie i znanego ukraińskie- go aktora Iwana Mykołajczuka. Córka pisarza-fantasty Olesia Berdyka, Gro- mowica, napisała według opowieści uzdrowiciela wspaniałą etnograficzna opowieść o magii Karpat. Największej popularności Mychajło Neczaj zaszła, gdy w 1989 roku otrzymał zaprosze- nie od władz na festiwal „Czerwona Ruta” z prośbą rozpędzenia chmur w czasie imprezy. Prośba została speł- niona(!) Nakreślono o nim niejeden film i napisano niejedną książkę.

Trzy razy głośno i smętnie dźwię- czały trombity, gdy trumnę z ciałem molfara wieziono przez wieś, kilka kilometrów od chaty – do cerkwi, a potem na miejsce ostatniego spo- czynku. Za trumną szły tysiące ludzi. Już na uklepanej i obłożonej darnią mogile, zgodnie z huculską trady- cją, ułożono haftowane chusty, a na nich – kołaczki. Wspominki odbyły się bez kropli alkoholu. Ludziom rozda- wano małe świece, aby każdy, po przyjeździe do domu, mógł zapalić małe świece płomyczek i pomodlić się za duszę niewinnie zamordowanego uzdrowiciela, obrońcę dobra, starych umiejętności i tradycji.

BĘDZIE MIĘDZYNARODOWE CENTRUM DIALOGU I DEMOKRACJI IM. PROF. BRONISŁAWA GEREMKA W WINNICY

OLEG BORYNIAK

W dniach 5 –7 lipca Kielce gościły delegację ekspertów oraz studentów z partnerskie- go miasta na Ukrainie – Win- nicy. Wizyta była pierwszym etapem realizacji projektu pn. „Śladami wspólnej historii w drodze do europejskiego part- nerstwa narodów. Międzyna- rodowe Centrum Dialogu i De- mokracji im. prof. Bronisława Geremka w Winnicy”. Projekt jest realizowany przez Stowa- rzyszenie Integracja Europa- Wschód i współfinansowany przez MSZ RP, w ramach kon-



kursu: „Promocja wiedzy o Polsce – 2011”.

Wizyta studyjna grupy ukraińskich ekspertów, przedstawicieli środowisk akademickich i organizacji pozarządowych stała się inauguracją dwuetapo- wego projektu, poświęconego dialogo- wi polsko-ukraińsko-żydowskiemu. W trakcie pobytu odbyły się liczne spotka-

nia. Goście z Winnicy odwiedzili Urząd Miasta Kielce oraz Urząd Marszałkow- ski, gdzie ukraińską delegację (przed rozpoczęciem prezentacji o regionie świętokrzyskim) serdecznie przywitał Ryszard Białacki – były konsul ds. wizowych w Konsulacie Generalnym RP we Lwowie.

Ogromne wrażenie na uczestni- kach projektu sprawiły spotkania w

Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, gminie Masłów i Bodzentyn. Z zachwy- tem goście z Ukrainy zwiedzali Dworek Żeromskiego i Szklany dom w Ciekot- tach, a także „Niemczówkę” w Chęci- nach. Ostatnia jest dobrym przykładem pamięci i dialogu polsko-żydowskiego.

W trakcie konferencji naukowej, która odbyła się podczas wizyty studyj- nej, stawiano ciekawe pytania o aktual- nych problemach Ukrainy. Uczestnicy konferencji dyskutowali m.in. nad pro- blemami: „Ku społeczeństwu obywa- telskiemu na Ukrainie – jak i z kim?”, „Partnerstwo Wschodnie a rewolucje wschodnie: miejsce spotkania Europa Wschodnia”, „Ukraina między Europą a Eurazją” etc.

W panelu historycznym dysku- towano o problemie cmentarzy żydow- skich Wschodniego Podola, podstaw samorządu obywatelskiego w daw- nych magnackich miastach i miastecz- kach Wschodniego Podola w XVIII w. Przedstawiciel Magazynu Historycz- nego „Mówią Wieki” Wojciech Kalwa zaprezentował ciekawą historię życia Artemiusza Wołczyka – „W poszuki- waniu drugiej ojczyzny”.

W pokonferencyjnej dyskusji zo- stały omówione perspektywy dalszej współpracy miast Kielce i Winnicy. Rozmawiano też na temat możliwości utworzenia Międzynarodowego Cen- trum Dialogu i Demokracji im. prof. Bro- nisława Geremka w Winnicy.

Alfred Szrajer: „Człowiek może więcej, niż sądzi”

OKSANA DUDAR

Miłość do życia jest tajemnicą długiego życia polskiego Żyda Alfreda Szrajera. Przebrnął przez wszystkie koła piekieł niemieckich obozów koncentracyjnych – od Drohobycza do Turynii i Saksonii, przeżył „marsz śmierci”, bronił się, gdy puchł z głodu. Dziś pomimo 89 lat gromadzi pełne sale na swoich koncertach, występując w Polsce i Niemczech. Już nikt jak on nie wykonuje słynnej batiarskiej piosenki „Tylko we Lwowie”.

Koniec rodziny

W obszernym pokoju masa książek, płyt – niespotykanych już dziś płyt winylowych i, naturalnie, fortepian. Na ścianach duże zdjęcia rodziny, fotografie z Polski i z obozów, zamienionych dziś na muzea, w milczeniu przypominają dawne czasy, gdy Alfred Szrajer był młodzieńcem, zakochanym w życiu i muzyce. Dziś jest ostatnim żydowskim mieszkańcem dawnego Drohobycza, ostatnim żyjącym uczniem znanego polskiego pisarza i malarza – Żyda Brunona Schultza.

Urodził się pan Alfred 8 maja 1922 roku w Drohobyczu, w rodzinie znanego inżyniera. „Pierwsze 10 lat mego życia przeszło w Jaśle, – opowiada pan Alfred. – Była tam rafineria ropy, gdzie mój ojciec Beno Szrajer pracował jako kierownik laboratorium chemicznego. Przez te 10. lat to chyba ptasiego mleka mi brakowało. Ojciec zarabiał olbrzymie pieniądze”.

Ale w latach 30, w okresie wielkiego kryzysu, rafineria zmniejszyła produkcję i ojciec pozostał bez pracy. Mając jakieś oszczędności, rodzina wraca do Drohobycza. Do spółki z aptekarzem Beno Szrajera rozpoczął budowę kamienicy czynszowej.

„Budowę zakończono w sierpniu 1939 roku, – kontynuuje pan Szrajer. – Ledwo ustawiono bramę – przyszli Niemcy, potem Sowieci i zabrali dom. Nie zdążył on przynieść nam kopiejkę dochodu, a wszystkie oszczędności poszły na budowę. Dopiero wtedy nastąpiły dla nas ciężkie czasy. Tysiące niewinnych ludzi zesłano wtedy z Drohobycza do Kazachstanu i na Syberię. Do Żydów ustosunkowywano się z tolerancją”.

Alfred Szrajer postanawia zostać muzykiem, tym bardziej, że od dzieciństwa uczył się gry na skrzypcach. Już jako 17-latek zaczął śpiewać w kwartecie. Gdy usłyszano go we Lwowie w polskim teatrze miniatur, zaproszono go na występy. Rozpoczęła się wojna i występy skasowano, ale kwartet otrzymał zajęcie w Teatrze Letnim w parku vis-à-vis uniwersytetu: grali przed seansami filmowymi. Taka tradycja występów muzycznych w kinach panowała w całym Związku Sowieckim.

„I w tym kinie zastała nas wojna, – wspomina pan Alfred. – Z kolegą-muzykiem w czasie pierwszego nalotu niemieckiego na Lwów, schroniliśmy się w bramie jakiegoś domu, w który akurat trafiła bomba. Na nasze szczęście budynek zawalił się na sąsiednią ulicę. Przestraszeni,

zapędzeni w róg drohobyccy studenci zebraли się razem. Szrajer z nimi. Do spółki wynajęli furę i umówili się, że pojedą do Drohobycza. Ale, gdy tylko wyjechali ze Lwowa, trafili w ręce policji... Pobitych, z wybitymi zębami i połamanymi żebrami dowieziono do Mikolajowa. Dalej chłopcy szli na piechotę do Drohobycza. Tam im nałożono opaski z gwiazdą Dawida i nakazano codziennie rejestrować się w urzędzie pracy.

W listopadzie Niemcy urządzili generalną próbę wyniszczenia Żydów. Pierwszymi ofiarami zostali bezsilni inwalidzi. „Przez Radę Żydowską Niemcy ogłosili, że niepełnosprawni Żydzi mają stawić się do synagogi z wartościowymi rzeczami. Tam im wyznaczają pracę, – Szrajer milknie. – Potem ich otoczyła policja, podjechały ciężarówki i powieziono ich w stronę Sambora”. Wieźli jak owce na rzeź do Bronickiego lasu i nikt nawet nie spodziewał się, nawet w strasznym śnie, że widzi swoich bliskich po raz ostatni, że ostatni raz stara matka przytuliła syna, że ostatni raz siostra całuje młodszego brata w czoło, że ostatni raz mąż spogląda w oczy ukochanej żony. Zrozumiano to dopiero, gdy ciężarówki wróciły tylko z rzeczami i odzieżą. 320 osób znalazło się w wilgotnej ziemi Bronickiego lasu. W czasie wojny tam rozstrzelano 11 tysięcy Żydów. Tam na zawsze zostali matka, dziadek, ciotka pana Alfreda. Ojciec, brat, babcia i córka stali się ofiarami innej nieludzkiej akcji: w 1942 roku razem z pięcioma tysiącami Żydów z Drohobycza wywieziono ich do obozu zagłady w Bełżcu, gdzie zginęli w komorach gazowych. Tak znikła znana kiedyś wielka rodzina Szrajców.

„Marsz śmierci”

W Drohobyckim Getto było pięć obozów pracy. Od innych gett odróżniało się brakiem wysokich murów. Dookoła tylko stały słupy z napisami w trzech językach: „Wejście do getta karze się śmiercią”. Kobiety przeważnie pracowały w obozie pracy na polach. Alfreda Schrajera przydzielono do warsztatu stolarskiego. „Pracowałem tam jako pomocnik stolarza, – kontynuuje opowieść, – ale umiałem wykonywać różne prace, bo wszystkiego nauczył mnie Bruno Schultz. Potem przeniesiono mnie do warsztatów miejskich, gdzie pracowała moja matka. Produkowano tam dla wojska jakieś taczki i kosze do przenoszenia kul. W sierpniu 1943 zaczęto likwidować obozy. Nad ranem obóz otaczano i ludzi spędzano do więzienia. W tym czasie kopano dno w Bronickim lesie. W następnym dniu wozono tam ludzi na rozstrzelanie.

Czy to jakieś niesamowite szczęście Szrajera, czy opieka Boska, że ktoś z rodziny miał ocaleć, ale pan Alfred trafił do szóstki „szczęśliwców”, których przeniesiono do innego obozu, do fabryki ceramiki. Opodał obozu był gmach, gdzie sortowano odzież ofiar z Bronicy. „Jeden z pracowników znalazł w kieszeni płaszcza mamy jej ausweis, – z goryczą ciągnie pan Alfred. – Mama, przeczuwając, że przeżyję na marginesie zapisała: „Jestem szczęśliwa, że się uratowałem, teraz spokojnie idę z twoim zdjęciem na



śmierć”. To jedyny skrawek papieru, który pozostał mi po najdroższej osobie na świecie. Alfred Szrajer nosił go przy sobie, aż trafił do obozu Gross Rosen, gdzie zabrano mu odzież, a z nim ostatnią materialną pamiątkę. Ale te słowa pozostały na zawsze w sercu pana Alfreda.

Po likwidacji obozu przy fabryce ceramiki, wybrano 120 fachowców lub fizycznie sprawnych mężczyzn do pracy w rafinerii. Obóz przetrwał do kwietnia 1944 roku, gdy front przełamał linię Zaleszczyki-Tarnopol. Wtedy ludzi z tego obozu i z Borysławia zagnano do wagonów i powieziono dalej na Zachód. Tym razem Szrajer znalazł się w obozie w Płaszowie pod Krakowem. Ale front stale się przybliżał. Teraz Alfred Schrajer miał nieszczęście znaleźć się w Gross Rosen. „Większość moich znajomych trafiła na południe, gdzie węgiel zalegał na powierzchni. Praca nie była ciężka, jeść musieli dawać, bo niemieckie lokomotywy bez węgla nie mogły się poruszać. Wszyscy, którzy tam trafili, przeżyli wojnę. Jeden z moich kolegów, Ludwik Hoffman, mieszka tam do dziś”.

„W Gross Rosen też byłem niedługo, a stamtąd – do Buchenwaldu – obozu śmierci. Tylko tu nie zgładzali więźniów w komorach gazowych, jak w Auschwitz, a przeprowadzano nad nimi nieludzkie eksperymenty. Alfreda Szrajera skierowano do kolejnego obozu pracy – filii Buchenwaldu. Teraz pracował przy załadunku naboju od szóstej rano do szóstej wieczór. „Dla takiego „siłacza” jak ja była to bardzo ciężka praca. Karmili tak, aby nie umrzeć. Do tego starszy baraku kradł racje żywnościowe: odcinał z każdej porcji dla swoich niemieckich kolegów. Spuchłem wtedy z głodu, a na nosie miałem różę. Przez kilka dni miałem gorączkę ponad 40 i to mnie dobiło. Tych, kto spuchli, nazywano w obozie mużulmanami”.

W kwietniu 1945 roku po raz pierwszy usłyszeliśmy artylerię amerykańską. Każdemu z więźniów wydano kolorowe płaszcze, aby z daleka odróżnić od cywili, pół bochenka chleba i popędzili w straszną drogę, którą z czasem ochrzczili „marszem śmierci”. Gdy ze Wschodu następowała Armia Czerwona, a z Zachodu wojska sojusznicze, więźniów nie było czym karmić, więc pognano ich w drogę, mając na myśli wyżywić ich u

bogatyh bauerów. Kolumny były pilnowane przez rezerwistów. „Raz dostaliśmy grochu. Każdy miał puszkę po konserwach i w tym gotowaliśmy. W jednym miasteczku zapędzono nas na stadion i przyciągnięto tam końską padlinę. Podzielono ją i każdy dostał kawałek mięsa. Raz karmiono nas surowymi burakami. Jedliśmy je w drodze. Już ledwo chodziliśmy. Kolumna była bardzo wielka, bo do naszego obozu dołączyły inne. Było nas razem około dwóch tysięcy ludzi”.

Ostatecznie opuścili go siły i znalazł się na końcu kolumny. Gotów był się poddać, jakby nie przypadek. Na końcu kolumny szedł jego znajomy, kiedyś bankier niemiecki. Jeszcze gdy mieszkali w barakach, Alfred wieczorami przed snem śpiewał polskie i niemieckie piosenki. Gdy zapomniał słowa mrucał sobie „la – la”. Tak więźniowie, którzy dawno zapomnieli co to jest muzyka, zasypiali pod jego śpiew. Bankier, widząc, że chłopak łada chwila padnie, powiedział żołnierzowi, aby go puścił, bo jest znanym śpiewakiem operowym. Czy rezerwiści naprawdę uwierzyli, czy nie mógł postąpić inaczej, ale stracił Alfreda Szrajera do rowu, gdzie ten przeleżał do rana.

Pragnienie życia

Potem był obóz w miejscowości Debel. Stamtąd w składzie niewielkiej grupy, przeważnie Włochów, wyruszyli przez las w poszukiwaniu innego obozu i pożywienia. Ale okazało się, że nie ma ani ludzi, ani pożywienia. „W tym mieście stał się pewien wypadek, – wspomina pan Szrajer. – Siadłem pod ścianą piekarni, aby trochę wypocząć. Zobaczyłem, że młoda Niemka mnie obserwuje i trzyma za pazuchą kawałek chleba. Gdy nikt nie widział, dała mi go. Bardzo mi pomógł. Szliśmy jeszcze 30 km. Wtedy zrozumiałem, że człowiek może o wiele więcej, niż sądzi”.

Koniec wojny zastał Alfreda Szrajera w Dreźnie. 7 maja, o 7 rano zobaczył radzieckie czołgi – wojna dla Żyda z Drohobycza skończyła się. Kiedyś zmartwiony, z mordowany, wycieńczony powiedział do znajomego krakowskiego adwokata: „Jeżeli wojna zakończy się przed moimi urodzinami – przeżyję”. 8 maja 1945 roku Alfred Schraier skończył 23 lata. W Niemczech był jeszcze do 1946 roku.

Wiedząc, że w Drohobyczu nie ma nikogo, chciał już jechać do swojej ciotki, która jeszcze w 1937 wyemigrowała do Buenos Aires. Nie znalazł jej adresu, a w „Czerwonym Krzyżu” powiedzieli, że trzeba będzie poczekać 2–3 miesiące w barakach. Gdy tylko zobaczył baraki, znów odżyły obozowe wspomnienia i odpadła chęć jazdy za ocean.

Trafił do przejściowego obozu w Grodnie, gdzie z kilkoma przyjaciółmi zorganizowali orkiestrę. Grywali w restauracji. Obozowym oficerom oddawali pieniądze, a sami mieli kolację, a jeszcze możliwość spania na stołach lokalu, gdzie biegały po nich tabuny karaluchów.

Po zwolnieniu pan Alfred na początku znalazł się we Wilnie. Szalenie cieszył się ze spotkania ze znajomym z Drohobycza. Zdążył jeszcze podać papiery na wyjazd do Polski. Niebawem jednak powrócił do domu, gdzie znalazł pracę w orkiestrze. Grali w filharmonii i w kinach przed seansem. Grali do 1962 roku, gdy Nikita Chruszczow w celach oszczędnościowych skasował te orkiestry. Wtedy Alfred Szrajer zaczął pracować w liceum muzycznym, w którym przepracował 42 lata.

Między innymi, swoją żonę, Ukrainkę z Charkowa, poznał w kinie, gdzie przychodziła posłuchać muzyki. W 1949 pobrali się i urodziło im się dwoje dzieci – syn i córka. Zmuszony utrzymywać rodzinę, pan Alfred nie zdołał zakończyć lwowskiego konserwatorium. Nie pomogły nawet namowy Mykoły Kolesy. Przeniósł się na wieczorowe studia do Drohobyckiego Muzyczno-Pedagogicznego Instytutu.

Mijały lata, Alfred Szrajer przeszedł na emeryturę, ale nie może żyć bez muzyki. W 1989 roku zorganizował dziecięcy chór przy kościele. Obecnie w składzie trio jeździ z występami do Polski i Niemiec, i swoim, jeszcze dosyć silnym głosem śpiewa po polsku, żydowsku, ukraińsku i niemiecku. Na zakończenie każdego koncertu, tradycyjnie balakiem lwowskiej ulicy wykonuje „Tylko we Lwowie”. „Jestem chory, serce nie w porządku, nogi puchną, ale gdy mam przed sobą mikrofon, a za mikrofonem publiczność – zapomina o wszystkim, – ze wzruszeniem kontynuuje pan Alfred. – I teraz w Warszawie, w czasie mego ostatniego występu odbyło się coś nadzwyczajnego. Nigdy nie myślałem, że w moim życiu może coś takiego się wydarzyć”.

Alfred Szrajer jest przedstawicielem odchodzącego pokolenia. Tego pokolenia, którego sama obecność łagodzi obyczaje. Z takimi jak pan Szrajer odejdą mężczyźni, całujący paniom ręce, którzy swobodnie rozmawiają w kilku językach i mogą prowadzić dyskusję o byle czym i gdziekolwiek. Odejdą ludzie, których wspomnienia to najcenniejszy dar dla przyszłych pokoleń. Alfred Szrajer to przedstawiciel tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy zawsze zachowują dobry humor, a ich optymizm i miłość do życia zagrzewają innych.

Dziś Alfred Szrajer został sam. Jego dzieci i wnuki mieszkają w Niemczech. Ale gdy go pytają, dlaczego on ciągle tu, odpowiada z dumą: „Nigdzie nie pojedę. Raz już umierałem w Niemczech i drugi raz nie chcę”.



KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

„Słyszeliście, że Icek się żeni?” – przekazywano we Lwowie w ciągu zeszłego tygodnia. W knajpie żydowskiej „Pod Złotą Różą” odbyła się nawet konferencja prasowa z udziałem młodej pary, a także organizatorów tegorocznego, już trzeciego, Festiwalu Klezmerskiego – Ogólnoukraińskiej Charytatywnej Fundacji Żydowskiej „Hesed-Arie” oraz ich partnerów z Ukrainy i zza granicy.

Podkreślano, że LvivKlezFest jest próbą odrodzenia zaginionej kultury muzycznej i odtworzenia części historii Lwowa, szczególnie dzielnicy żydowskiej, która była nieodłączną częścią wielokulturowej stolicy Galicji. Obecnie podobne festiwale organizowane są w Krakowie, Londynie, Paryżu, Wiedniu, Berlinie i innych miastach Europy. Jak zaznaczył Jurij Nazaruk, współautor koncepcji LvivKlezFestu, przykładem dla Lwowa był przede wszystkim Kraków. W tym roku do Lwowa zaproszono sporo zespołów klezmerskich z terenów Ukrainy, a też z Rosji, Mołdawii, Izraela, Austrii, Niemiec.

„Miasto nam pomogło, bo nie przeszkadzało” – z poczuciem humoru zauważyła Ada Dianowa, dyrektor „Hesed-Arie”. Co tyczy się dofinansowania tego Festiwalu, to możliwie, że tak właśnie jest. Dziwne było, że nikt z miejscowych władz nie zaszczycił swoją obecnością takiej niecodziennej imprezy.

Choć trzeba powiedzieć, że władze Lwowa w różny sposób próbują zmienić twarz przastarej dzielnicy żydowskiej, która słynie jako najbardziej zaniedbana w centrum miasta. Rosnie liczba kawiarenek, restauracji, sklepików. Nawet całe kamienice ożyły przyciągając turystów. Tym czasem archeolodzy prowadzą wykopaliska

Tęcza LvivKlezFestu-2011

czyli poszukiwanie zgubionej perły żydowskiej w koronie Lwowa



Icek się żeni...

na miejscu, gdzie inwestorzy chcą szybko budować hotele, żeby się nie spóźnić na EURO-2012. Na razie tylko jedna z lwowskich organizacji żydowskich ma tutaj swój lokal, prowadzi działalność charytatywną oraz ciągle wzywa do odbudowy, słynnej kiedyś, synagogi „Złota Róża”. Najwięcej starań dokłada Meylakh Sheykhet, dyrektor Amerykańsko-Ukraińskiego Biura praw człowieka.

W urzędzie miasta narzekają, że zróżnicowana wspólnota żydowska nie wyraża zbyt wielkiego zainteresowania udziałem w odbudowie dzielnicy, gdzie Żydzi mieszkali od XIV wieku aż do II wojny światowej. Żydzi twierdzą, że jest ich co raz mniej, wspólnota się starzeje. Zresztą większość nie ma żadnych związków z przedwojennym Lwowem. W siedzibie „Heseda-Arie” jest czynna świetlica-muzeum „Śla-



Bawią się goście weselni

dami Żydów Galicyjskich”, gdzie zgromadzono wiele materiałów i zdjęć archiwalnych, przedmiotów oraz książki i publikacje w różnych językach. Póki co, do konserwacji i odnowienia rzeźb na kamienicach dzielnicy wyznawców wiary mojąszowej jeszcze nie doszło, natomiast wróciła do Lwowa muzyka klezmerska, jako część spuścizny kulturalnej Żydów galicyjskich i całej Europy Środkowowschodniej. Od samych początków swej działalności popularyzuje ją „Hesed-Arie”. Popularnym nie tylko na Ukrainie, ale też w Polsce jest zespół „Lviv Klezmer Bend”.

W ciągu tygodnia, w ramach tegorocznego Festiwalu wesola muzyka klezmerska brzmiała w Muzeum Idei przy ul. Wałowej oraz w sali Pałacu Sapiehów. Nawet można była usłyszeć tam jidysz. Niestety wykonawcy byli zmuszeni tłumaczyć treść wykonywanych w tym języku piosenek. Jak wyjaśnił stary Żyd besarabski Arkadiusz Gendler, który przyjechał z Zaporozża jidysz poniósł największe straty podczas Holocaustu. Wspominał, że także władze carskie nie pozwalały Żydom zamieszkać w stolicy i wielkich miastach, aż do lutego 1917 roku. „Nasza kochana władza sowiecka też nie pozwalała cieszyć się z jidysz” – dodał. Dlatego Gendler dokłada wielu starań dla odrodzenia tego języka, sam śpiewa piosenki

oraz zachęca do tego Żydów, używających na co dzień rosyjskiego.

Podczas tego samego koncertu przepelniona sala pałacu Sapiehów owacyjnie witała też 89-letniego maestro Alfreda Szrajera z Drohobycza. Jest to, chyba, ostatni Żyd galicyjski, który pozostał na stałe w rodzinnym mieście. Nadal stale koncertuje na Ukrainie i w Polsce. Zachwyił jak zawsze wykonaniem przedwojennych piosenek w języku polskim. Zagrał na skrzypcach i zaśpiewał wiązanek utworów w różnych językach autorstwa kompozytorów żydowskich, którzy wzbogacili wiele kultur sąsiednich narodów. A na zakończenie razem z Alfredem Schrajerelem wszyscy zaśpiewali „Tylko we Lwowie” Emanuela Schlechtera z muzyką Henryka Warsa.

Tym razem na scenie pałacu Sapiehów połączyły się dwa światy, dwie epoki – zaznaczyła prowadząca. Jedyny przedstawiciel Żydów galicyjskich, wychowanych w Polsce i pod zaborem austriackim oraz potomkowie Żydów z Ukrainy Wschodniej, Besarabii, Rosji.

„Wszystko zostało stracone” – pesymistycznie podsumował Borys Dorfman, jedyny dziennikarz żydowski ze Lwowa, który pisze w jidysz.

„To nieprawda, nic nie przepadło – zaprzeczyli mu z sali. – Kontynuujemy kulturę naszych przodków”.



Rabin

W niedzielę, 24 lipca, gdy na Rynku rozpoczęło się improwizowane wesole żydowskie z udziałem klezmerów, bawiła się cała ulica Starojewrejska (Starożydowska). Co prawda ozdobiono ją w stylu odeskim. Z naciągniętych pomiędzy kamienicami sznurów zwisały majtki, staniki, inna bielizna. „Przecież we Lwowie to wszystko się suszyło w podwórkach i Żydzi też tak robili!” – komentowali takie dekoracje przedstawiciele starszego pokolenia rodowitych lwowiaków. Ale cóż, każdy z przedstawicieli napływowej ludności powojennej wniósł do tego miasta swoje obyczaje i kulturę. Każdy naród ma „prawo do nostalgii” za swoją małą ojczyzną.

Swoją stosunek do projektu LvivKlezFest wyrazili znani ukraińscy artyści Lwowa – Petro Humeniuk, Jurij Koch, Olha Pohribna-Koch, którzy zaprezentowali swoje malarstwo podczas wystawy „Wymiar żydowski” w Muzeum Idei przy ul. Wałowej. Można było tam zobaczyć też prace powojennego artysty żydowskiego ze Lwo-



Skrzypek, A. Friedman

wa Michała Leszczyniera, a również uczestników współczesnego żydowskiego art-studium „Metamorfozy”.

„Oczywiście, że to wygląda inaczej, niż było kiedyś – zgadza się przybyły z Izraela dr Aaron Weiss, uratowany jako dziecko w czasie wojny przez swoich sąsiadów w Borysławiu. – Ale dobrze, że ten Festiwal odbywa się na Rynku we Lwowie, w centrum miasta”.

To była impreza nie tylko dla turystów. Okazało się, że jeszcze sporo dzisiejszych mieszkańców Lwowa nigdy nie zetknęła się tak blisko z kulturą żydowską. W ich rodzinnych wioskach i miasteczkach nie ma już Żydów, a jeżeli są, to ukrywają swoją tożsamość.

Do późnego wieczora na placu koło ruin „Złotej Róży” i „Arsenału” lwowskiego trwał koncert galowy „LvivKlezFestu”. Tysiące ludzi różnej narodowości zjednoczyła muzyka klezmerska. Można było nabyć rozmaite upominki, książki, spróbować „pejsachówki” oraz dań kuchni żydowskiej.



Taniec panny młodej z drużkami

SABINA RÓŻYCKA
tekst
WITALIJ CZASZCZYN
zdjęcia

70. ROCZNICA MORDU INTELIGENCJI POLSKIEJ STANISŁAWOWA

6 sierpnia br. w Czarnym Lesie obok wsi Pawełcze (dziś Pawliwka) w pobliżu Iwano-Frankowska, odbędą się uroczystości upamiętnienia 70. rocznicy mordu polskiej inteligencji przedwojennego Stanisławowa. Dziś dobiegają tu końca prace renowacyjne i porządkowe w miejscu pochówku. Dziesiątki pracowników różnych organizacji, w tym członków Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń”, pracują przy porządkowaniu prawie dwóch hektarów terenu – byłego miejsca kaźni. Prace obserwowała dziennikarka Kuriera Galicyjskiego.

Od centrum dzisiejszego Iwano-Frankowska do miejsca ostatniego spoczynku setek Polaków jest piętnaście kilometrów. Ten odcinek drogi samochodem można pokonać w 15-20 minut.

„Pierwsze wiadomości o miejscu tragedii pojawiły się w 1988 roku, – opowiada Lucyna Kubicka – prezes miejscowego Towarzystwa Kultury Polskiej „Przyjaźń”. – W tym czasie członkowie ukraińskiego towarzystwa „Memorial” odnajdywali wiele grobów ofiar nazistów i sowieckiego reżimu. Wtedy też zaczęło z Polski przyjeżdżać do nas wielu byłych mieszkańców Stanisławowa. To oni opowiedzieli nam o wydarzeniach 1941 roku. Miejsce zbrodni zostało odkryte przez mieszkańców w Polsce, dawnych mieszkańców Stanisławowa i ich rodzin – Adama i Pawła Rubaszewskich, Halinę Konopkową (z d. Jagusz) i Kazimierza Międzybrodzkiego, przy udziale mieszkańców okolicznych wiosek”.

„Była to kolejna, „typowa” dla tego okresu tragedia. W sierpniu 1941 roku hauptsturmführer SS Hans Krüger, który wcześniej rozstrzeliwał polskich profesorów we Lwowie, zorganizował podobną akcję u nas, – mówi Witalij Czaszczyński, który od roku 1993 jest osobą odpowiedzialną, z ramienia TKP „Przyjaźń”, za opiekę nad miejscem zbrodni i pochówku. Bez jego energii i zaangażowania to miejsce z całą pewnością wyglądałoby dziś inaczej. – Na początek rozstrzelano inteligencję żydowską,



Tak wyglądały tzw. „dół śmierci” – mogiły pomordowanych w Czarnym Lesie

zaraz potem przystąpiono do rozprawy z inteligencją polską – kontynuuje pan Witalij. – Polskich nauczycieli aresztowano w ich mieszkaniach. Część, nieświadoma niemieckich planów, zgłosiła się sama. Przewożono ich do więzienia na dzisiejszej ul. Sacharowa, a stamtąd rozebranych, ładowano na trzy samochody i wywożono do Czarnego Lasu. Kilkorgu z wiezionych na śmierć udało się zbiec.



Krzyż ustawiony w miejscu kaźni w latach 90.

Młoda dziewczynę, córkę dyrektora liceum, który wcześniej został aresztowany, od kul swoim ciałem zasłoniła matka. Dziewczyna przyjechała do rodziców na wakacje i tu zajrzała śmierci w oczy. Przeszyta serią karabinu maszynowego, kobieta upadła i przykryła swoim ciałem swą córkę. Przez cały dzień, martwa ze strachu, dziewczyna przeleżała pod ciałem matki. Potem uciekła do wsi Rybne, gdzie przechowała ją miejscowa rodzina. Tam dano jej odzienie by mogła wyjechać do Lwowa. Po wojnie wyjechała do Polski, do Wrocławia. Po latach wróciła na Przykarpacie, aby odszukać tych, którzy ją uratowali. Jeden chłopak uratował się w czasie burzy. Cudem udało mu się wyskoczyć z ciężarówką do rowu. Niemcy strzelali, ale nie trafili. Takich strasznych opowieści nie brakuje!

To miejsce musi być należycie uszanowane. Pod koniec XX wieku członkowie „Memorialu” i mieszkańcy Iwano-Frankowska rozpoczęli tu

z polską firmą „Energopol”, która w Bohorodczanach, niedaleko od stolicy naszego województwa, budowała stację pomp na rurociągu gazowym. Polacy z „Energopolu” bardzo nam wtedy pomogli. Uporządkowane zostało miejsce pochówku, ustawiono krzyże na ośmiu wspólnych mogiłach. W 50. rocznicę zbrodni, w 1991 roku, odsłonięto pomnik w kształcie kopca z głazów, zwieńczony krzyżem z cieniową koroną oraz z brązową tablicą, z napisem w językach polskim i ukraińskim:



Jeżeli zapomnę o nich / Ty Boże na niebie / zapomnij o mnie / Adam Mickiewicz / Miejsce uświęcone / krwią mieszkańców / Stanisławowa / i okolic / zamordowanych / przez hitlerowców / w sierpniu 1941 r. / Rodacy

Aktu odsłonięcia dokonali wtedy sekretarz generalny Rady OPWiM Zygmunt Głuszek i przewodniczący warszawskiego Koła Stanisławowiaków Stanisław Leszczyński. Poświęcenia dokonał ks. Kazimierz Halimurka. Na uroczystość przybył m.in. ówczesny Kierownik Agencji Konsularnej RP we Lwowie, dziś Ambasador RP na Ukrainie – Henryk Litwin.

Od tego czasu, do niedawna niewiele się zmieniło. W 2001 roku, w 60. rocznicę tragedii, dzięki staraniom Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa ze śp. Andrzejem Przewoźnikiem na czele teren został ponownie uporządkowany. Mogiłami pomordowanych Polaków zaopiekowało się Towarzystwo Kultury Polskiej „Przyjaźń”. Wiele się wydarzyło przez ten czas. Zdarzały się i kradzieże, w czasie burzy został uszkodzony krzyż na pomniku. Ale ludzie nie poddawali się.

rozstrzelano. Przedstawiciele władz pytali też o to członków rodzin pomordowanych. Te dane są w archiwach SBU. Są też i niemieckie dokumenty. Trzeba też wspomnieć, że w tej samej okolicy, tuż obok, rozstrzelano 2840 Żydów, wśród nich i małe dzieci.

W przededniu 70. rocznicy tragedii członkowie TKP „Przyjaźń” zwrócili się do przewodniczącego Państwowej Administracji Wojewódzkiej. Mychajło Wyszywaniuk zareagował bardzo operatywnie, – mówi Witalij Czaszczyński. – Wspólnie z przewodniczącym Rady Obwodowej Aleksandrem Syczem i swoim zastępcą Romanem Iwanickim odwiedzili Czarny Las. Na miejscu odbyła się narada i tu pokazaliśmy mu plany nowego pomnika. Trzeba stwierdzić, że władze wojewódzkie bardzo aktywnie zaangażowały się w sprawę uporządkowania terenu cmentarza. Teren został ogrodzony, pobudowano ścieżki, nadsypiano i ogrodzono mogiły.

Na starym postumencie ustawiono nowy pomnik w kształcie krzyża, autorstwa lwowskiego rzeźbiarza Aleksandra Kryškiwa. Kształt nowego pomnika zatwierdzono w Radzie Ochrony Pamięci w Warszawie, szkice zostały uzgodnione z Ad-



Robocze spotkanie na terenie Czarnego Lasu

Opiekę nad tym miejscem uznajemy za swój obowiązek i punkt honoru – mówi pan Witalij Czaszczyński.

Z setek wydobytych kości trudno było określić, kto tam został pochowany. Nigdy nie prowadzono ekshumacji zwłok. Pozostawało wiele pytań bez odpowiedzi. Witalij Czaszczyński z TKP „Przyjaźń” zwrócił się do wojewódzkiego Urzędu Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Otrzymał materiały archiwalne z tamtych lat. Pomógł mu w dostępie do archiwów przewodniczący

ministracją Wojewódzką i Konsulatem Generalnym RP we Lwowie. Budowę pomnika finansuje polska Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Jej przedstawiciele kilkakrotnie przyjeżdżali na miejsce, celem dokonania uzgodnień. Prace prowadzone są przez oddziały Ministerstwa Nadzwyczajnych Sytuacji Ukrainy, budowniczych, drogowców, leśników i, oczywiście, członków Towarzystwa „Przyjaźń”. Co dnia pracuje 20-50 osób.



Powstaje nowy pomnik ku czci pomordowanych

administracji wojewódzkiej Mychajło Wyszywaniuk. Z tych materiałów wynika, że w Czarnym Lesie koło Iwano-Frankowska Niemcy rozstrzelali około 700 osób ze Stanisławowa, Tyśmienicy i innych miasteczek. Wśród nich były kobiety i studenci. Po wyzwoleniu Stanisławowa wielu ludzi składało zeznania o zbrodni, kogo, gdzie i kiedy

PS. Obecnie tuż obok cmentarza, budowana jest drewniana kapliczka. Stanie obok ścieżki, prowadzącej z cmentarza zamordowanej inteligencji polskiej na miejsce pochówku zamordowanych w tym samym okresie przedstawicieli żydowskiej inteligencji Stanisławowa.

Z PODOLA DO KAZACHSTANU

JAN KOZIELSKI
Członek Stowarzyszenia
Dziennikarzy Ukrainy,
redaktor rejonowej gazety
„Konoc” (Kłos), Stara Siniawa,
woj. chmielnickie

„Bardzo bym chciała przynajmniej przed śmiercią spojrzeć na naszą wioskę Ledziankę z tej góry, gdzie wydaje się jest bliżej do nieba i coraz dalej od ziemi. Stamtąd ostatni raz, przez łyż, spojrzeć na wieś, swoją ulicę, co domami rozpostarła się i sięgnęła, hen, aż za daleki horyzont. Bo u nas trawiasty step z bajkowymi widokami, – czytamy w liście Frani Uliancewej pisanym z Kazachstanu do rodzinnej Ledzianki. Zmuszeni opuścić rodzinne strony i wioskę, gdzie się urodzili i wyrastali, żyli i rozbudowywali ją, stali się na zawsze przesiedleńcami.

20 grudnia 1934 roku politbiuro CK KP(b)U w decyzji „O wysiedleniu z terenów przygranicznych”, między innymi, zaznaczono, że na terenach przygranicznych, gdzie zwarcie zamieszkuje Polacy i Niemcy, należy wyznaczyć wioski, z których należy wysiedlić rolników indywidualnych, „złośliwie niewykonyjących obowiązków wobec państwa i nieodpowiedzialnych kolchoźników z terenów przygranicznych”. Dwa lata później – 28 kwietnia 1936 roku – Rada Najwyższa Komisarzy Ludowych ZSRR przyjęła decyzję nr 776-130 cc., z adnotacją „całkowitej tajności”, o przesiedleniu politycznie niewiarygodnych Polaków z Ukraińskiej SRR do Kazachstanu. Wyznaczono w tym celu pas o długości 800 km pod rozbudowę terenów obronnych i poligonów. „Polacy, zamieszkujący na Ukrainie stali się pierwszymi deportowanymi na Wschód w przededniu wojny. Od nich rozpoczęto akcje deportacyjne narodów w 30 – 50 latach. Z okolic Krasilowa wysiedlono Polaków z Wielkiej Klitny, Medców, Ledzianki, Tereszkowa.

– Rozpoczęło się to zaraz po żniwach, – zapisał J. Grzymajło wspomnienia mieszkańca Wielkiej Klitny Piotra Bystrzyckiego, – według rozporządzenia lokalnego NKWD we wsiach ustawiono posterunki, żeby nikt nie uciekł. Gdzie powiozła – nie powiedzieli. Ładowali na stacji Wójtowce do wagonów towarowych. Pozwolonno wziąć ze sobą kto co miał, a nie mieli wiele”.

Autor, badając temat deportacji Polaków we wsi Ledzianka, w 1936 roku ówczesnego antonińskiego powiatu (dziś rejon Krasilowski, woj. chmielnickie), opublikował wyniki swych badań w materiałach konferencji.

19 lipca 1936 roku pod sygnaturą całkowitej tajności sekretarz winnickiego wojewódzkiego komitetu KPbUW. Czerniawski nadesłał dyrektywę nr 08437 do sekretarzy okręgów partii w Kamieńcu Podolskim, Szepietowce i Płoskirowie i sekretarzy partii w rejonach lachowieckim, izasławskim, antoninim, bazalijskim, gródeckim, jarmolinieckim, kamieniecko-podolskim, orynińskim, smotryckim i starokonstantynowskim. W dyrektywie napisano: „W celu oczyszczenia rejonów pasa przygranicznego od politycznie niewiarygodnych, wrogich i obcych klasowo elementów we wrześniu odbędzie się przesiedlenie polskiej i niemieckiej ludności rejonów przygranicznych naszego województwa do Kazachstanu. Z Waszego rejonu planuje się przesiedlić 500 gospodarstw. Ogólne kierow-

nictwo przygotowaniem i samą akcją przesiedleńczą przekazano wojewódzkiej komisji przy wojewódzkim Komitecie KP(b)U (przewodniczący komisji), przewodniczącego rejonowej władzy wykonawczej i naczelnika rejonowego wydziału NKWD.

Komisje rejonowe powinny niezwłocznie przystąpić do pracy, aby zapewnić należytą organizację i przebieg akcji przesiedleńczej. Na podstawie zatwierdzonego dla rejonu kontyngentu przesiedleńców, w najbliższych dniach określić punkty, z których konieczne jest przesiedlenie, określić ilość gospodarstw, podlegających przesiedleniu z każdego punktu i przedstawić materiały do zatwierdzenia w komisji wojewódzkiej nie później jak do 28 czerwca...

Razem z tym, komisje rejonowe winne określić listy osób, typowanych do przesiedlenia z tym, aby te materiały zostały przekazane do komisji wojewódzkiej nie później, jak do 10 sierpnia... Rozpoczęcie akcji planowane jest na początek września... Wojewódzki wydział KP(b)U uprzedza o waszej całkowitej odpowiedzialności za przebieg akcji...”

Na podstawie tej dyrektywy, stworzono w Antonińskim rejonie komisję, która zatwierdziła listy osób, podlegających deportacji. Wspomnianych list nie udało się wyszukać ani w Chmielnickim, ani w Winnickim archiwach państwowych.

Rozpoczęło się to zaraz po żniwach. Według rozporządzenia lokalnego NKWD we wsiach ustawiono posterunki, żeby nikt nie uciekł. Gdzie powiozła – nie powiedzieli. Ładowali na stacji Wójtowce do wagonów towarowych.

Przed kilkoma dniami otrzymałem list z połtawskiego wydziału Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Po prawie 75 latach czytam w wykazie osób represjonowanych – ofiar reżymu komunistycznego w województwie połtawskim, o których nic nie wiadomo w chmielnickim:

KOZIELSKA Fila Antonówna, 1897 r. woj. winnickie, Polka, niepiśmienna. Zamieszkiwała we wsi Nowogrigoriewka maszowskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnica. Aresztowana 14 listopada 1937 r. z par. 54-10 KK USRR. Zrehabilitowana przez Połtawski Sąd Wojewódzki 21 marca 1969 r.

KOZIELSKI Iwan Iosypowicz, 1893 r., w. Ledzianka Krasilowskiego r-nu woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, małopiśmienny. Zamieszkiwał we wsi Nowogrigoriewka Maszowskiego r-nu, woj. Połtawskiego. Kowal w kolchozie. Aresztowany 1 września 1937 r. Skazany Szczególną Radą przy HKWD ZSRR 28 października 1937 r. (paragraf KK nie podany) za działalność kontrewolucyjną na 10 lat pozbawienia wolności. Zrehabilitowany przez Połtawski Prokuratorę Wojewódzką 31 września 1989 r.

KOZIELSKI Feliks Iosypowicz, 1895 r., w. Ledzianka krasilowskiego r-nu woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwał we wsi Sokolowa



Wesele w rodzinie Dębickich i Krymińskich w Kazachstanie

Balka nowosanzarskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowany 2 września 1937 r. Skazany przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 13 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 21 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Wojskowy Trybunał KWO 28 listopada 1958 r.

KOZA Wojciech Iosypowicz, 1887 r., w. Greczana, starsiniawskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, małopiśmienny. Zamieszkiwał w chutorze Zachlupanka, karłowskiego r-nu, woj. połtawskiego. Pastuch. Aresztowany 16 sierpnia 1937 r. Skazany przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 18 października 1937 r. z par. 54-10 KK USRR na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 25 października 1937 r. Zrehabilitowany przez Połtawski Sąd Wojewódzki 19 września 1956 r.

KOBYLAŃSKI Włodzimierz Iwanowicz, 1904 r., w. Ledzianka krasilowskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwał we wsi Sokolowa Balka nowosanzarskiego r-nu woj. połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowany 2 września 1937 r. Skazany przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 4 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 13 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Wojskowy Trybunał KWO 28 listopada 1958 r.

KOBYLAŃSKI Dionizy Iwanowicz, 1908 r., w. Ledzianka krasilowskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwał we wsi Sokolowa Balka nowosanzarskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowany 2 września 1937 r. Skazany przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 20 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 27 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Wojskowy Trybunał KWO 28 listopada 1958 r.

KOBYLAŃSKI Iwan Romanowicz, 1907 r., w. Ledzianka krasilowskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwał we wsi Nechworoszcza nowosanzarskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowany 4 listopada 1937 r. Skazany przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 13 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 20 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Wojskowy Trybunał KWO 28 listopada 1958 r.

KOBYLAŃSKI Iosyp Karłowicz, 1898 r., w. Wołycia teofilpolskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwał we wsi Sokolowa Balka nowo-

sanzarskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowany 2 września 1937 r. Skazany przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 4 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 13 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Wojskowy Trybunał KWO 28 listopada 1958 r.

DEMBICKA Hanna Timofijówna, 1902 r., w. Ledzianka krasilowskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polka, wieśniaczka, niepiśmienna. Zamieszkiwała we wsi Lubomiwka Maszowskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnica. Aresztowana 16 listopada 1937 r. Skazana przez Specjalną Radę przy NKWD ZSRR 4 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) „jako socjalnie niebezpieczny element” na 3 lata zesłania do Kazachstanu. Zrehabilitowana przez Połtawski Sąd Wojewódzki 29 kwietnia 1965 r.

DEMBICKI Iwan Iosypowicz, 1882 r., w. Ledzianka krasilowskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwał we wsi Lubomiwka maszowskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowany 2 września 1937 r. Skazany przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 20 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 27 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Wojskowy Trybunał KWO 28 listopada 1958 r.

DEMBICKI Leon Iosypowicz, 1896 r., w. Ledzianka krasilowskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, brak danych o wykształceniu. Zamieszkiwał we wsi Lubomiwka maszowskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowany 3 września 1937 r. Osądzony przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 29 października 1937 r. z par. 54 – 6 KK USRR skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 9 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Sąd Najwyższy USRR 16 kwietnia 1960 r.

URBAŃSKA Celina Feliksówna, 1883 r., teofilpolski r-n, woj. chmielnickiego, Polka, wieśniaczka, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwała we wsi Lubomiwka Maszowskiego r-nu, woj. Połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowana 2 września 1937 r. Skazana przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 24 czerwca 1937 r. (paragraf KK nie podany) „jako socjalnie niebezpieczny element” na 5 lat zesłania do Kazachstanu. Zrehabilitowana przez Połtawski Sąd Wojewódzki 31 października 1963 r.

URBAŃSKI Iwan Adamowicz, 1884 r., w. Krzywurdka krasilowskiego r-nu, woj. chmielnickiego, Polak, wieśniak, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwał we wsi Lubomiwka ma-

szowskiego r-nu, woj. połtawskiego. Kolchoźnik. Aresztowany 4 listopada 1937 r. Skazany przez Specjalną Radę przy HKWD ZSRR 20 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 13 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Wojskowy Trybunał KWO 28 listopada 1958 r.

URBAŃSKI Iwan Karłowicz, 1883 r., w. Ledzianka krasilowskiego r-nu, woj. Chmielnickiego, Polak, wieśniak, wykształcenie początkowe. Zamieszkiwał we wsi Lubomiwka maszowskiego r-nu, woj. połtawskiego. Ślusarz-kowal. Aresztowany 2 września 1937 r. HKWD ZSRR i Prokuratora ZSRR 4 listopada 1937 r. (paragraf KK nie podany) skazany za antyradziecką agitację na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano 13 listopada 1937 r. Zrehabilitowany przez Sąd Najwyższy USRR 27 marca 1964 r.

– Któż mógł widzieć listy osób, których los zagnał tak daleko od domów rodzinnych? – ze zdziwieniem opowiadała Bronisława Ciupa (1917-2001), mieszkanka Ledzianki, – miałam wtedy tylko 9 lat, dlatego nie bardzo pamiętam, ale rodzice w domu czasem o tym szepcem mówili. Polaków z miasta wysiedlali w 1936, izabierali nocą w 1937. Zesłali rodzinę Nikodema Dybowicza, tam teraz mieszka P. Jakowczuk. To był cioteczny brat mojej mamy. A Józka Dybowicza zesłali z tej chaty, na miejscu której w latach 60. wybudował się Fedir Zacharczuk. Gdzie mieszkał kiedyś Makar Otaczuk, tam był Studyński. Wielu Polaków wtedy zesłali. Na przysiółku mieszkał Gorbańscy, we wsi też mieszkałi Gorbańscy (ich prawdziwe nazwisko Urbańscy – red.) – Janek. Wszystkich nawet nie pamiętam, jak mieli na imię. Myśmy przyjechali tu, na Sadyby, a oni tam mieszkali, to ich wysłali. Trudno teraz wszystkich spaścić, ale czasem staram się choć ich wspomnieć. Stefko Zieliński mieszkał koło nas, też ich zesłali. Baranowskich, Guświckich – też zesłali. Początkowo 36 rodzin zesłali do województwa połtawskiego, do wsi Nechworoszczy, a potem ich stamtąd i tu ze wsi zsyłali do Kazachstanu. Prawie całą rodzinę Dembickich deportowano do Kazachstanu. A teraz, kto we wsi się został?

– Za co ich deportowano? Jak to było?

– Kto tam wie, za co ich zesłano? Mówili, że to Polacy, „wrogowie ludu”, że granica blisko. Mój starszy brat Jan, z 1903 roku, służył w wojskach granicznych, to jak zaczęła się wojna to tam zginął. A młodszy, z 1907 rocznika, był w domu. Przedtem mieszkał u ciotki w Leningradzie. Potem wrócił do domu do wsi. Najpierw coś tam w warsztatach robił, bo w Leningradzie się nauczył, potem został brygadierem w brygadzie kolchozowej. Ale jak deportowali Polaków do Kazachstanu, to sąsiad Dzygaluk powiedział mu, żeby wyjeżdżał gdzieś, bo „ciebie stąd też zaborą, bo uważają za wroga ludu”. Pojechał więc jeszcze z jednym chłopcem do Archan-gielska, gdzie nabierano pracowników. Tam pracował jako spawacz. A w 1937, lub może 1938 roku, przyszła stamtąd prośba o wydanie opinii dla niego. Dano mu tu pozytywną, ale to nic nie pomogło, zabrali go stamtąd i dali 10 lat więzienia. Stepan dostał 3 lata. On był Ukraińcem i „nie powiedział nic o wrogu”. Odsiedział i wrócił do domu z taką nowiną. Ale prawdy dowiedziałam się niedawno: zmarł w więzieniu w 1945 roku. Może, jakby mieszkał we wsi, nie wyjeżdżał nigdzie, może by i nie zabrali, bo jaki z niego „wróg narodu”. Jakiego narodu mógł być wrogiem?

– Od kiedy w Ledziance mieszkali Polacy?

– Oj, od bardzo dawna, jak powiadali starsi ludzie. A tak – nie wiem... Wcześniej mieliśmy polską szkołę, do której chodziłam i skończyłam trzy klasy. Uczyliśmy się arytmetyki, pisanie, i czytanie było. Wszystkiego uczył nas nauczyciel Białokur, który tu mieszkał. Dzieci z polskich rodzin chodziły tu z przysiółką, gdzie mieszkało dużo Polaków i z sąsiedniej Fedorówki.

– Czy dotrzymywaliście polskich tradycji? Czy obchodziliście polskie święta?

– A jakże. Kościoły były w Tereszkach i Białohorodkach, tam się chodziło. W Tereszkach po kolektywizacji zrobili magazyny, a teraz, mówią, jest prawosławna cerkiew... Ale co tam. Ważne aby szli ludzie do Boga. Pamiętam, Agata Kobylańska mówiła, że tu we wsi, Polaków nie można było nawet grzebać. Wozili ich aż gdzieś do Liasławia, to 30 – 40 km, na specjalny polski cmentarz...

– Tu nie było polskich mogił?

– Nie, we wiosce polskich mogił nie było. Wożono zmarłych aż do Bilgorodki. Za wsią stała figura. Do niej wyprowadzano, pomodlono się, a potem trumnę wieziono do Bilgorodki. Miciński, co kiedyś mieszkał w dole, został pochowany jako pierwszy na nowym cmentarzu, potem z Szarajówki przywieziono kobietę... Na cmentarzu te pierwsze mogiły zarosły krzewami, a tak z lat 30. zeszłego wieku grzebią Polaków w mogiłach od strony zachodniej...

– A chaty, z których wysłano Polaków były w dobrym stanie?

– Nie pamiętam w jakich chatach mieszkali na przysiółkach, gdy tam byłam, a we wsi były gospodarstwa biedne i bogate. Dobre gospodarstwa mieli Zielińscy, jeden i drugi, Guświcki, Wachowski. Kuberski miał bardzo ładną chatę, oddzielnie duży chlew, gdzie magazynował zboże. Tam do dziś mieszkają potomkowie aktywistów kolchozowych. Mieszkali i Winiarscy, Różyccy... teraz wszystkich przypomnieć trudno. Dembicy mieszkali w dole, koło rzeki. Teraz tam jest ogród Tytarczuka. Od razu wygnano ich z chaty, jak rozpoczęto kolektywizację. Ojciec Janki Specjalnej był jakąś figurą, to Agata Kobylańska bardzo często kiedyś wspominała, – zawsze płacze, gdy wspomina – że on ich wypędził z chaty, nie zważając na to, że byli małe dzieci. To były straszne czasy. Z Kępy wysłali rodziny Kryńskich, Zielińskich, Krymińskiego, Kobylańskich. Pan Bóg jeden wie za co i po co ci ludzie tyle przeżyli i przemęczyli się?

– Czy ktoś mieszkał w tych domach po zesłanych?

– Przeważnie je porozbierano, ale były i takie, gdzie mieszkało.

– Czy po deportacji we wsi odczuwano brak fachowców? Jakimi mieli zawody zesłani?

– Byli, jak wszyscy ludzie. Horbańscy byli dobrymi kowalami, wspominało ich we wsi. Cioteczny brat ojca – Iwan Horbański był takim fachowcem, że sam młockarnię zrobił, która jeszcze długo pracowała przy żniwach.

– Czy rodziny wysyłano z małymi dziećmi, czy dzieci nie brano?

– Kto by tam na to zważał. Jak były małe dzieci w rodzinie, zabierano wszystkich.

– Pani Bronisława, a kiedy rozpadły się przysiółki?

– Chyba po tym jak zesłano Polaków. Jeszcze długo rosły tam drzewa, opuszczone i zarosłe zielskiem stały obejścia. A na polach można do dziś zobaczyć kamienie – fundamenty „bogatych gospodarstw”. Kiedyś była duża i bogata wioska, dużo ludzi tu mieszkało, teraz tu goło i pustka wokół.

– A po wojnie, po 1956 roku do Ledzianki przyjeżdżali zesłani Polacy?

– Ktoś przyjeżdżał do domu „w gości”, ale nie było wielu takich. To przecież daleko ten Kazachstan od Ukrainy. Może ktoś i miał takie zamiary, aby wrócić do swej wsi, ale jak zobaczyli te drogi, warunki i porównali z tym, co osiągnęli w gołym stepie, gdzie nie stąpała ludzka stopa, bez niczego, gołymi rękoma, swoją wiedzą i pracą za ten czas zrobili więcej niż tu się zachowało, wrócili z powrotem. Ktoś brał barwinek czy jakieś drzewko z rodzinnej ziemi, aby tam w gołym stepie posadzić. Przypominam sobie jak przyjechała córka Zielińskich. Wtedy mieszkali skromnie, ale zbudowali nową chatę. Jak ich wysłali, to matka nie mogła się oderwać od progu domu, całowała go i zraszała łzami. Gdzieś w latach 60. przyjechała tu ich córka, żeby zobaczyć ojcowiznę, jak tu ludzie żyją i opowiedzieć to matce. Była już w starszym wieku i nie mogła sama przyjechać, ale całe swoje życie wspominała rodzinną Ledziankę.

Historyk z Tarnopola Henryk Stroński, autor książki „Wzlot i upadek” opisując zniknięcie z administracyjnej mapy Ukrainy w 1935 roku rejonu Marchlewszczyzna, przytacza w swej książce „całkowicie sekretną informację polityczną” Wojewódzkiego wy-

Wypędzonym z rodzinnej wioski, z własnej chaty, nie pozwolono niczego ze sobą zabrać w przededniu zimnej jesieni i zimy. „Wysiedlonych na zawsze bez prawa powrotu na poprzednie miejsce zamieszkania”. Tych, którzy chcieli i próbowali wrócić, aresztowano i rozstrzelano, nazywając ich „polskimi elementami kontrrewolucyjnymi”. Dziecko miało kilka miesięcy, a w dokumentach już było kontrrewolucyjnym elementem.

działu KP(b)U „O wykonaniu deportacji w Marchlewskim rejonie”, podpisaną przez sekretarza rejonowego wydziału partii Zawadzkiego z dnia 6 marca 1935 r., która jest w państwowym archiwum woj. żytomierskiego. W niej są takie strofy: „Nastroje wśród deportowanych są zadowolające. W większości deportowani są zadowoleni i w swoich podaniach zobowiązują się na nowym miejscu pracować lepiej, żeby się wykazać za zaufanie, okazane im przed władzę radziecką”.

Jakież musiały być nastroje ludzi, wypędzonych z rodzinnej wioski, z własnej chaty, którym nie pozwolono niczego ze sobą zabrać w przededniu zimnej jesieni i zimy. „Wysiedlonych na zawsze bez prawa powrotu na poprzednie miejsce zamieszkania”. Tych, którzy chcieli i próbowali wrócić, aresztowano i rozstrzelano, nazywając ich „polskimi elementami kontrrewolucyjnymi”. Dziecko miało kilka miesięcy, a w dokumentach już było kontrrewolucyjnym elementem. Czy to nie absurdalne? Takie rzeczy czynili tylko nieludzie.

– Pamiętam, jak we śnie, pamiętam, bo miałam kilka latek, – opowiada Walentyna Kobylańska (1928 – 2003), mieszkanka Ledzianki. – Pamiętam, jak bardzo płakała moja babcia Dembicka, wiążąc rzeczy w tobołki. Mieszkali koło rzeki, z tej chaty ich wypędzono, więc przenieśli się do nas. Mój ojciec, Paweł Kobylański był w Krzemieńczukach weterynarzem i z nim mieszkała matka. My byliśmy z dziadkami. Im dano małą chatkę zamiast ich dużej, nie zważając, że rodzina była liczna. Nie długo tam mieszkali, bo stamtąd Dembickich deportowano do Kazachstanu. Moja matka, Agata Kobylańska z Dembickich i Żukowskich, zmarła w 1988 roku, często płakała, wspomina-

jąc swoje życie tutaj. Żyli biednie, bo rodzina była liczna, nawet nie zdążyli wykończyć chaty. Mieszkali w kuchni, bo tam był piec... Jacyż oni „kurkule”? A był taki aktywista w kolchozie, który rozebrał niedobudowaną chatę i przeniósł materiał do siebie. Na łzach ludzkich zbudował sobie dom.

– Ile osób liczyła wasza rodzina?

– Była Martynia, Mania, Paulinka, już zamężna, też ją wysłali, choć mieszkała oddzielnie od rodziców i miała synka, Lonia i męża Stasię, potem – Julek i Franuszka. A wujek Józef Dembicki już był żonaty i mieszkał w Lutarówce. Jego stamtąd zabrali i wysłali. Mój dziadek, Zygmunt Dembicki, zmarł z głodu tutaj w Ledziance, a babcię zabrali do Kazachstanu, tam zmarła, przeżywszy prawie wiek. Tam już bracia i siostry mojej matki powychodzili za męża, pożeniłi się.

– Czy z opowiadań, wie pani, jak ich wysiedlano?

– W jesieni wypędzono ich z chat. Dokładnie nie pamiętam, ale tak opowiadała mi mama. Moja matka, Agata Kobylańska, została tu sama. Ile to razy musiała chodzić do Antonina, a to 15 km, żeby postawił jej pieczętkę w paszporcie. Też mieli ją zabrać, ale rozwiodła się z ojcem, który wtedy jeszcze nie był „wrogiem ludu”. Represjonowano go dopiero w 1937 r. Wstawiała o

niu artykułu, nie mogłam powstrzymać łez. Odżyły obrazy z dzieciństwa. Ile wypadło nam przetrzymać – dzieciom „wroga ludu”. A potem wojna, głód. Jak bym mogła – poleciałabym do pana, żeby porozmawiać o naszych przodkach. Ale mam chore serce”.

Ludzi wywozili na dworzec przeważnie nocą, wspominają historycy Iwan Stasiuk, Porfirij Prokopczuk, Wadim Szepetycki. Dawano im kilka godzin na zebranie niezbędnych rzeczy. Zezwalano zabrać tylko rzeczy osobiste i naczynia kuchenne. Resztę rzeczy trzeba było zostawić w pustej chacie. Rozkradano to później lub zabierano do kolchozu. Przesiedleńców ładowano do wagonów towarowych i pod konwojem odsyłano do północnego Kazachstanu. Wszystko to odbywało się we wrześniu, gdy tam już jest zimno. Czekaly tam na nich niezamieszkałe przestrzenie. Polskie rodziny wywożono na te stopy, gdzie musieli zaczynać życie od kopania ziemianek, żyli w chłodzie i głodzie. Były to warunki nie do wytrzymania, szczególnie dla ludzi starszych i dzieci, które nie miały się nawet gdzie ogrzać. Władze wcale się nimi nie przejmowały, bo byli ludźmi wyjętymi spod prawa. Byli na listach w komendaturach i mieli obowiązek comiesięcznego meldunku. Nie mieli prawa bez pozwolenia komendatury opuszczać wioski. Za jakiegokolwiek uchybienia czekały surowe kary.

W powstałych osiedlach nie było szkół, dzieci nigdzie się nie uczyły, a w wieku 12 – 14 lat miały obowiązek pracy. Władza złościła się nad przesiedleńcami jak chciała, obrażała ich, karała finansowo i fizycznie. Po 20. latach, w 1956 roku, w okresie „odwilży” chruszczowskiej, rząd przyjął decyzję o zwolnieniu przesiedleńców z obowiązku rejestracji w komendaturze, ale nie zezwolono im na powrót do miejsc pierwotnego zamieszkania. Władza obawiała się, że opustoszeją kazachskie wioski.

– Kiedy wasza matka, Agata Dembicka-Kobylańska była w Kazachstanie? – pytam Walentynę Kobylańską.

– To było gdzieś w 1963 czy 64 roku. Jak im tam było ciężko na początku? Mama opowiadała jak bracia i siostry wspominali życie na „specosiedleniu”. Jak kopali w zamarzłej ziemi ziemianki, jak głodowali, ile dzieci tam zmarło. Siostra mojej matki, a moja ciotka Mania Dembicka, która gościła u nas w 1962 roku, tam wyszła za męża za Różyckiego, bo jego żona była chora i zmarła po przyjeździe, zostawiając liczne dzieci: biedne, gołe, bose, jak wszyscy którzy tam przyjechali. Silniejsi i zdrowsi przeżyli do wiosny. Lżej tam było ludziom, przyzwyczajonym do pracy w polu. Gdy moja ciotka wyszła za Różyckiego, mama dziwiła się jak ona na to się zdecydowała. Namęczyła się ona tam z dziećmi i ostatnimi laty choruje. Przyjechała jednak z mężem do Ledzianki, wtedy zabrali ze sobą matkę do Kazachstanu. Mama, jak stamtąd wróciła, a była tam około pół roku, opowiadała, jak syn Różyckich pracował na traktorze, a tam osady jedna od drugiej daleko, zima surowa, z silnymi buranami (zamięciami – red.). Chłopak siedł z pracy do domu, jak zerwała się zamieć, to zamarzył po drodze. Dopiero na wiosnę go znaleźli. Drugi ich syn, Jurek, pisał do mnie ze Starokonstantynowa, gdzie służył w wojsku. Ot jakie życie – rodziców stąd wysłali, a dzieci przysłali tu na służbę.

– Będąc redaktorem gazety „Życie Starokonstantynowa”, opublikowałem materiał o moim dziadku – ojcu matki – Pawle Kobylańskim, który był w Starokonstantynowie i innych okolicach weterynarzem, ale w 1937 został aresztowany. Po publikacji otrzymałem list od Kazimierzy Żywotagajnej (Kobylańskiej), mieszkającej w Szeptykowie, w którym napisała: „Z głębokim wzruszeniem i oczyma pełnymi łez przeczytałam artykuł w gazecie, która przypadkiem trafiła mi do rąk. Bardzo bliskie mi wasze nazwisko. Czy nie jesteście czasem z Ledzianki? W artykule mowa o represjach, jakie dotknęły moją rodzinę. Mój ojciec, Stefan Kobylański, też był poszkodowany. O nim dowiedziałam się tylko od starszych. Został aresztowany, gdy miałam trzy dni. Z obozów powrócił gdy miałam 10 lat. Wrócił jako inwalida, tak go tam męczyli i znęcali się nad nim. Po przeczyta-

zy. Przywieźli ich w towarowych wagonach i wyrzucili na pastwę losu. Punkty na mapie NKWD są zaznaczone jako: nr 10 – Kamionka, nr 11 – Kamyszenka, nr 12 – Pierwomajka, nr 13 – Łozowe, nr 14 – Przyszymka. Właśnie do województwa celinogradzkiego, rejon Astrachański wysiedlono mieszkańców Ledzianki. Materiały, które przywoźłem, opowiadały o rodzinie Kuberskich – Franciszku, Antoninie i Piotrze. Z materiałem zapoznają Dominika Kuberskiego (1928 – 2000).

– Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, że to moja rodzina. Byłem jeszcze dzieckiem, jak nas wysiedlono. Ileż czasu minęło? Józef Kuberski miał dwóch synów – Fela i Jasia. Ich zesłano do Nechwoszczy w woj. połtańskim. Stamtąd go z synem Jankiem zabrało NKWD, a Feliksa zesłano do Irkucka.

W okresie organizacji kolchozów – w 1930 roku, o którym opowiada historyk E. Nazarenko, tłum mieszkańców zamordował przewodniczącego rady wioski Jewstafiewa. Według decyzji ziemskiego wydziału zaczęto odbierać ludziom zboże na siew, zabierając wszystkie ziarno. Tym, kto się nie godził na wstąpienie do kolchozu grożono konfiskatą majątku. 27 stycznia zaczęto odbierać zwierzęta domowe, krowy, świnię, owce, ptactwo, króliki i pasieki. Te działania spotkały się z protestem mieszkańców, którzy już wstąpili do kolchozu. 31 stycznia okręgowe biuro KP(b)U zdecydowało natychmiast deportować 800 rodzin „kurkuli”. Władzy z pomocą pośpieszyli aktywiści kolchozowi. Zaczęto konfiskować majątki we wszystkich wsiach.

O tych wydarzeniach opowiedział z zasłyszanych relacji Dominik Kuberski. Żona Feliksa Kuberskiego z rodziny Metelskich, poszła do kolchozu i zabrała swoje konie. Tak robili i inni. W tym czasie tręcił się Janek, brat męża. Zgodnie z tradycją, starsza synowa spotyka w domu młodszą, dlatego była w domu. Z wioski przyszli i zabrali ją. Długi czas była w więzieniu, potem w zsyłce w Irkucku, dokąd, nie wiadomo jak, przyjechał jej mąż. Tam pracował jako młynarz, a ona jako fryzjerka. W rodzinie Kuberskich było sześciu braci, z Okopów koło Polachowej i z Kuźmińca. Wszyscy byli represjonowani, a majątki skonfiskowano. Swojej ziemi nie mieli i pracowali w majątku Sanguszków. Mój dziadek dosłużył się emerytury, którą mu naznaczyła ordynacja. Często opowiadała mi o tym matka. Otrzymywał 6 pudów ziarna na pół roku, pud gryki, grochu, pszenicy, żyta, 12 rubli i dwie miarki drzewa na opał. Miesięcznie wypłacano mu jeden rubel, ale wtedy rubel był w cenie. Za 2 – 3 ruble można było kupić dobre buty z cholewami, nie do schodzenia. O tym wszystkim wspominali Kuberscy, przyjeżdżając do Ledzianki w latach 60.

– Czy opowiadano w rodzinie, kiedy ich zesłano, jak więziono, jaka była droga?

– Furmankami zawieziono na stację Wielkie Puzyrki, lub Krzemieńczuki. Było to pod koniec sierpnia 1936 roku.

– Trzeba było dużo furmanek. Co mogli zabrać ze sobą?

– Wielu nie miało co wziąć, a co wzięli na furmankę? Furmanka służyła jednej rodzinie, a te były liczne. Wysyłano po 30, potem 40 rodzin. Jak powiadali świadkowie około 700 – 800 osób z Ledzianki zesłano...

Jadę do Ledzianki, wchodzę na pagórek, spod którego wycieka rzeczka Ikopec, smakują źródlanej wody, wsłuchuję się w szum starych dębów, które chronią siwe legendy i realne wydarzenia wioski i jej mieszkańców, gdzie by ich los nie rzucił.

LWOWSKI PANTEON SŁAWY I CHWAŁY

(ciąg dalszy z poprzednich numerów)



JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

Przy głównej alei, na polu 12 pochowano znanego naukowca, prezesa Naukowego Towarzystwa im. Tarasa Szewczenki we Lwowie dr Olega Romaniwa (1928-2005). W głębi pola dobrze widać kompozycję z trzema postaciami przy krzyżu, na grobie Levaya. Na tymże 12 i sąsiednim 13 polu znajduje się jeszcze kilka grobów zasłużonych dla Lwowa ludzi, mianowicie Jakuba Wagenhubera (1806-1871), dyrektora galicyjskiej drukarni rządowej, architekta Józefa Braunseisa



Pomnik autorstwa Eufeleo na grobie sióstr Obloczynskich

(1837-1914), projektanta dzwonnicy katedry św. Jura i kościoła oo. Dominikanów, Bogdana Janusza (1887-1930), konserwatora, historyka sztuki, znawcy historii Ormian lwowskich. Obok pochowano Franciszka Ksawery Kowaluszyna (1861-1915), archiwisty, grafika i akwarelisty oraz współczesnego historyka prof. Jarosława Isajewicza (1936-2010). Przy bocznej alejce znajduje się grób historyka Franciszka Jaworskiego (1873-1914) popularyzatora historii m. Lwowa, autora ponad dwudziestu prac poświęconych naszemu miastu, dyrektora archiwum lwowskiego. Na jego grobie znajduje się wartościowy pomnik w stylu Art-Déco autorstwa Witolda Rawskiego, w kształcie niewysokiej kolumny z horyzontalnym prostokątnym reliefem przedstawiającym Dawida głoszącego lwa. Obok w rodzinnym grobowcu pochowano Jarosławę Muzykę (1898-1973), znaną artystkę-malarkę i konserwatora dzieł sztuki.

Po przeciwległej stronie alei znajduje się jeden z najbardziej znanych grobów na cmentarzu – grób kompozytora, autora popularnych piosenek Wołodymyra Iwasiuca (1949-1979). Okoliczności jego



Fragment pomnika Franciszka Stefczyka

śmierci, raczej zabójstwa, nie są znane po dzień dzisiejszy. Dopiero w 1990 roku na grobie ustawiono pomnik autorstwa Posikiry, Jaremczuka i Fedyka, który przedstawia artystę (naturalnych rozmiarów) przy fortepianie podczas koncertu.

Na skrzyżowaniu alejek ustawiono pomnik na grobie Franciszka Smolki (1810-1899). Pomnik przedstawia dość skromną neogotycką ażurową konstrukcję żeliwną zwieńczoną krzyżem i ustawioną na niewysokim cokole z piaskowca. Pomnik odnowiono w 2010 r. z funduszy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. Smolka był jednym z najpopularniejszych polityków lwowskich epoki autonomii galicyjskiej. W młodości rewolucjonista, więzień stanu skazany na karę śmierci. Ulaskawiony dekretem cesarza Ferdynanda I uzyskał wolność. W 1848 r. był posłem i prezydentem parlamentu w Wiedniu. Później posłem na Sejm Galicyjski i do Wiedeńskiej Rady Państwa. W latach 1881-1893 pełnił funkcję prezydenta parlamentu Austro-Węgier. Chodził w polskim ubraniu narodowym – w szerokich szarawarach i długiej rogatywce z barankiem. Cieszył się opinią bezinteresownego idealisty. Miał chyba najdłuższe wasy w Galicji, ich rozpiętość dochodziła do 80 cm. Popularności jemu dodała również działalność na rzecz idei usypiania Kopca Unii Lubelskiej na Wysokim Zamku we Lwowie. Podczas bankietu, który został wydany z okazji wieloletniej pracy Smolki na stanowisku prezydenta parlamentu, znany z ciętego języka i poczucia czarnego humoru przyjaciel Smolki hr. Wojciech Dzieduszycki taką oto wygłosił mowę: „Starożytni Grecy wierzyli, że nowonarodzone dziecko całuje Muza; jeśli go ucałuje w czoło, to wyrośnie z niego mędrzec, jeśli w usta lub oczy – słynny mówca lub znakomity malarz. Gdzież Ciebie dostojny jubilate, musiała ucałować Muza, skoro od tylu lat zasiadasz na fotelu prezydenta Rady Państwa?”

Obok pomnika Smolki skręcamy w prawą alejkę i dochodzimy do grobowca rodziny Herbertów, w którym pochowano krewnych (rów-



Pomnik na grobie Skrypciów

nież małego braciszka Bolesława-Januszka) wybitnego polskiego poety Zbigniewa Herberta. W głębi tegoż pola 51 znajduje się pochówek rodziny Kępińskich, jednym z nich był Stanisław Kępiński (1867-1908), znany matematyk, profesor i rektor Politechniki Lwowskiej. Na grobie ustawiono precyzyjnie wykonany w zakładzie kamieniarskim Ludwika Tyrowicza. Pomnik ma kształt krzyża oplecionego misternie rzeźbionym bluszczem i ustawionego na niewysokim cokole. Na tle krzyża znajduje się ekspresywnie wykonana postać Matki Boskiej, która trzyma przed sobą małego Jezusa. W tymże stylu został wykonany pomnik na grobie rodziny Skrypciów. Przedstawia on stojący na ciosach piaskowcowych duży krzyż, stylizowany na nieokorowane drzewo. Pod krzyżem przyklekłą skrzydlaty anioł z bukietem kwiatów. Na polu 51 znajduje się też monumentalny pomnik na grobie Franciszka Stefczyka (1861-1924), posła na Sejm Galicyjski, działacza spółdzielczości, twórcy i propagatora wiejskich kas oszczędnościowych, zwanych popularnie „Kasy Stefczyka”. Pomnik przedstawia wysoką zwieńczoną krzyżem kolumnę ustawioną na monumentalnym piedestale. U



Postać Matki Boskiej na grobie prof. Oresta Maciuka



Pomnik na grobie Stanisława Kępińskiego

podstawy kolumny znajdują się trzy postacie kobiet-płaczek. Pomnik został wykonany w warsztacie kamieniarskim Henryka Periera przy współpracy z rzeźbiarzem Andrzejem Albrychtem, który wykonał figury płaczek. Obok znajduje się cenna rzeźba dłuta Antoniego Kurzawy na grobie rodziny Paparów. Niedaleko pochowany znany lwowski artysta-malarz Alojzy Reichan (1807-1860). Przy samej alejce obok grobowca Herbertów znajdują się dwa pomniki. Współczesny – na grobie Wasyla Iwanickiego (1918-2005), inicjatora budowy pomnika Tarasa Szewczenki we Lwowie, obywatela honorowego naszego miasta i XIX-wieczny – na grobie hrabiny Honoraty Borzęckiej (1775-1858), znanej w Galicji filantropki. Borzęcka była współzałożycielką zakładu wychowawczego dla chłopców p.w. św. Antoniego, również fundatorką licznych ołtarzy i obrazów świętych w kościołach lwowskich. Pomnik wykonał rzeźbiarz Cyprian Godebski, który przybył do Lwowa z Paryża i zapoczątkował na Cmentarzu Łyczakowskim modę na nagrobki w stylu neogotyckim. Na wysokim sarkofagu ozdobionym fryzem i zwieńczonym gzymsem spoczywa postać półleżącej kobiety z wyrazem smutku i cierpienia



Pomnik na grobie Levaya

na twarzy. W polu postumentu wyrzeźbiono herb zwieńczony koroną hrabiowską i wmontowano odlane cynowe tablice z napisami. Nie zachowały się niestety jeszcze trzy figury alegoryczne geniusza śmierci, wiary i nadziei, które potęgowały symbolikę pomnika. Kompozycję otacza ażurowa balustrada kamienna, ozdobiona gotyckimi maswerkami.

Aleja między polami 50 i 76 prowadzi w stronę wojskowego memoriału Ukraińskiej Armii Halickiej (UAH). Na rogu pola 50 znajduje się nowy pomnik ze stylową figurą Matki Boskiej na grobie profesora Oresta Maciuka (1932-1999), dyrektora Lwowskiego Archiwum Historycznego.

Po obu stronach dróżki cmentarnej zbudowano dwa szeregi grobowców, wśród których zwracamy uwagę po stronie lewej na grobowiec Ralskich z płaskorzeźbą dłuta Janiny Reichert-Toth. Wykonany w stylu Art-Déco relief przedstawia narciarza w ruchu, na zakręcie i nawiązuje do tragicznej śmierci Ludwika Ralskiego w 1931 roku pod lawiną śnieżną. Obok grobowiec Antoniego Stefanowicza (1858-1929) znanego artysty-malarza pochodzenia ormiańskiego, wizytatora kuratorium Okręgu Szkolnego Lwowa. W głębi pola 50 pochowano Bronisławę Wójcik-Keuprulian (1890-1938), znanego muzykologa, badaczkę twórczości F. Chopina, redaktora technicznego „Posłańca św. Grzegorza”. Obok grób jej męża inż. Garabeta Keupruliana (1884-1939), wykładowcy języka ormiańskiego na Uniwersytecie Lwowskim i Warszawskim. Na tymże polu znajdują się groby Mychajła Dzyndry (1921-2006), rzeźbiarza-modernisty, który do roku 1990 mieszkał na stałe w USA, ale wrócił do Lwowa i organizował w Brzuchowicach muzeum rzeźby modernistycznej i Jarosława Gordyńskiego (1882-1939), historyka literatury i pisarza. Wśród zażytkowych pomników wyróżnia się pomnik autorstwa Pawła Eutelego na grobie sióstr Obloczynskich, które zginęły w 1858 roku podczas pożaru w sklepie naftowym. Starsza Hermina była żoną Jana Zeha wynalazcy sposobu destylacji ropy naftowej. Pomnik został odnowiony w 2010 roku z funduszy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. Warto zwrócić uwagę na stylową płytę na grobie Wandy Rosen, matki znanego artysty-malarza Jana Henryka Rosena.

Po prawej stronie alei znajduje się pole 76. Wśród grobowców zwracamy uwagę na groby Sydora Twerdochliba (1882-1922), pisarza, który był zastrzelony przez bojówkę nacjonalistów ukraińskich za współpracę z władzami polskimi. Obok pochowany Osyp Turiański (1880-1933) również pisarz, autor głośnych wspomnień z czasów I wojny światowej. Dalej grobowce rodziny Józefa Swobody i Onyszkiewiczów.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
opracowanie na podstawie
materiałów Ewgenija
Krewsa z auto fan klubu
„ZAZ-KOZAK”
zdjęcia EWGENIJ KREWS,
AGENCJA „LUF”

Ryk silników, kolorowe auta, tłumy kibiców – to sobie można tylko wyobrazić. A Lwów mógł się stać drugim Monte Carlo w wyścigach Formuły 1. Bo tylko w tych dwu miastach w Europie przed wojną ścigano się na miejskich ulicach. Monte Carlo zostało, a Lwów...

Grand Prix Lwowa – jedyny wyścig w przedwojennej Polsce nazywany właśnie Grand Prix. Pierwszy wyścig został zorganizowany w 1930 roku przez Małopolski Klub Automobilowy. Trasa składała się z ostrych zakrętów i wąskich uliczek pokrytych



Czar starych automobili

Grand Prix Lwowa po 70. latach



Parada uczestników Leopolis Grand Prix

asfalem oraz niezwykle śliską kostką bazaltową i przecinanych miejscami torami tramwajowymi, które smarowano specjalnie kalafonią. Dzisiejsi mieszkańcy Lwowa mogą sobie uzmysłowić, co by oznaczał wyścig bolidów ulicami Witowskiego (dawn. Pelczyńska), Stryjską do góry i Gwar-

dyjską (dawn. Kadecka) w dół. Teraz to chyba musiały by to być samochody terenowe. Na trasie o długości 3,045 kilometra długości kierowcy pokonywali od 17 (w 1930 r.) do 100 (w 1933 r.) okrążeń. W tamtych czasach ukształtowanie trasy, jej nawierzchnie i, dodatkowo, tory tramwajowe, czyniły tę trasę najtrudniejszą w Europie. Liczne wypadki w czasie wyścigu były tego dowodem. Mimo wszystko była to bardzo popularna trasa, na którą zjeżdżali się najlepsi ówczesni kierowcy: Niemcy – Hans Stuch i Rudolf Caracciola, Francuzi – Pierre Veyron i Annette Rose-Itier, Włosi – Renato Balestrero i Vittoria Orsini, Austriacy – Maximilian Hardegg i Hans Tschaikoff, Czesi – Bruno Sojka i Jan Kubiček. Ściganiem się we Lwowie nie gardzili i polskie asy kierowcy: Henryk Liefeldt (zwycięzca pierwszego GP z roku 1930), Jan Ripper, Maria Koźmianowa, Stanisław hr. Czaykowski, Maurycy hr. Potocki. Jak widzimy z przytoczonych nazwisk do zawodów na równi z mężczyznami stawały i kobiety. Niestety kryzys lat 30 wywarł swój wpływ na sport motory i w 1934 roku Grand Prix Lwowa



Tak się tu ścigano przed laty

już się nie odbyło. Próby wskrzeszenia zawodów nie powiodły się do 1939 roku. Potem... potem mówienie o tych zawodach, jak i o samym Lwowie było zabronione.

Przywrócenie do życia tradycji lwowskich leżało na sercu wielu ambitnym Ukraińcom i firmom, powiązanych z automobilizmem. Z inicjatywą wystąpił auto-fan-club „ZAZ-KOZAK” – klub fanów pierwszego samochodu osobowego produkowanego na Ukrainie – popularnego „garbatego zaporozca”. Udało się zorganizować wyścigi aut retro na przedwojennej trasie w latach 2000, 2006, 2010. Przy minimalnym wkładzie władz miejskich można było by te zawody uczynić tradycyjnymi. Zawody na lwowskim trójkącie – jak je nazwano, wywołały zainteresowanie właścicieli prywatnych retro aut i klubów z całej Europy. W zeszłym roku w Warszawie utworzono międzynarodowe stowarzyszenie reaktywacji i wsparcia Grand Prix Lwowa „Leopolis Grand Prix”. Filią tego stowarzyszenia jest właśnie auto-fan-club „ZAZ-KOZAK” we Lwowie.

W tym roku zorganizowano zawody na najwyższym poziomie. Organizatorzy uzyskali wsparcie od przewodniczącego lwowskiej administracji państwowej Mychajła Cymbaluka, mera miasta Andrija Sadowego i konsula generalnego RP we Lwowie Grzegorza Opalińskiego. Oni też objęli zawody swoim honorowym patronatem.

W pierwszym dniu zmagano się na trasie Lublin – Zamość – Żółkiew – Lwów. 11 czerwca na rynku pod Ratuszem stanęły 63 auta z pięciu państw europejskich, jako świadectwo wspaniałości techniki z dawnych epok. Przeglądowi aut towarzyszył również przegląd mody samochodowej z okresu produkcji swoich aut. W następnym dniu „morderczy” wyścig na trasie „Lwowskiego trójkąta”. Zakończono imprezę bale, na którym wręczono puchary zwycięzcom. Uehonorowani zostali: ekipa z Litwy na VW Garbusie, Polacy na Mercedesie-Benz i ekipa ze Lwowa na garbatym zaporozcu. Wtedy też podpisano umowę o współpracy pomiędzy auto-fan-clubem „ZAZ-KOZAK” i lubelskim klubem retro aut.

AGNIESZKA RATNA
tekst i zdjęcia

...Niesamowity ryk silników, ziemia ucieka spod kół i w jednej chwili, gdy jeźdźcy zlewają się ze swymi stalowymi rumakami, motocykle, wbrew prawom fizyki, wznoszą się w powietrze. Świadcami tych niesamowitych scen w miejscowości Grazdza pod Łuckiem były tysiące fanów tego sportu. Trudno uwierzyć, że jeszcze przed miesiącem na terenie trasy było wysypisko.

Międzynarodowe zawody motokrosowe z udziałem gości Lublina, odbyły się na starej trasie motokrosowej pod Łuckiem.



Stalowy rumak w locie

MOTOKROS NA WOŁYNIU



Na sekundę przed startem

„Ćwierć wieku temu tutaj, w Grazdze, odbywały się nawet mistrzostwa ZSRR z motokrosu, – opowiada jeden z inicjatorów odrodzenia zawodów, mieszkaniec Grazdzy, Anatolij Gorbatiuk. – Pamiętam, jak w dzieciństwie, przybiegaliśmy tu żeby śledzić zawody. Z tego czasu pozostały wspaniałe wspomnienia. Dlatego, gdy władzę we wiosce przejęli młodzi i ambitni ludzie, za zadanie najważniejsze postawili odrodzenie trasy motokrosu. Udało im się dołączyć entuzjastów, wykonano dużo pracy przy oczyszczaniu i uporządkowaniu trasy. Ludzie od dawna czekali

na widowisko. Świadczy o tym ilość widzów, którzy, nie bacząc na złą pogodę, przyszli dopingować sportowców”.

„Sportowców taka chłodna pogoda zadowala całkowicie”, – twierdzi jeden z organizatorów zawodów Sergij Prozorowski, prezydent klubu „Lubart-Racing”. Ciepły letni deszcz skropił ziemię, „przybił” kurz na trasie. Ale chociaż na dworze chłodno, atmosfera wśród zawodników gorąca. Jak opowiada Sergij Prozorowski, zmierzyć się umiejętnościami przybyli motocykliści z czterech państw – Ukrainy, Białorusi, Rosji i Polski.

„Wiek uczestników – od sześciu do pięćdziesięciu sześciu, – twierdzi on. – Ścigają się na motorach różnej klasy. Jak na pierwszy raz, to sportowców dużo – przyjechało do nas około 120 osób. Nie było problemów z ich zaproszeniem. Dosłownie w przededniu odbyły się zawody w Kowlu i większość zawodników przyjechała stamtąd”.

Zawodnicy z Klubu Motorowego „Cross” z Lublina są częstymi gośćmi na Ukrainie. Jak twierdzi Piotr Więtkowski, są co na Ukrainie najmniej dwa razy do roku na zawodach rangi międzynarodowej. „Na Ukrainie ludzie interesują się motokrosem, – mówi. –

Na takich zawodach zawsze panuje miła i ciepła atmosfera. Mamy tu wielu przyjaciół i ze swej strony zapraszamy ich na otwarte „Mistrzostwa Ziemi Lubelskiej”.

Kolejne zawody międzynarodowe odbędą się w końcu sierpnia, z okazji 20. rocznicy niepodległości Ukrainy. Jak twierdzi Anatolij Gorbatiuk, zawody motokrosowe na odrodzonej trasie będą odbywały się stale. Z czasem trasa zostanie wyposażona według standardów międzynarodowych, wybudowane zostaną szatnie, punkt pomocy medycznej, doprowadzi się wodę do zraszania trasy.



Zawodnicy Klubu Motorowego „Cross” z Lublina

GOSPODARZ GALICJI

hr. Agenor Gołuchowski



ARTUR GÓRSKI

Pisząc o polskich wybitnych politykach, prekursorach prawicy konserwatywnej, nie sposób pominąć hr. Agenora Gołuchowskiego. Ten wielki patriota polski i prawdziwy maź stanu wycisnął olbrzymie piętno osobiste na XIX-wiecznej polityce galicyjskiej zarówno jako urzędnik – trzykrotny Namiestnik Galicji, jak również jako polityk, pierwszy organizator konserwatywnego środowiska politycznego – Podolaków.

Nie lubiany przez Stańczyków, potrafił zaprzęgnąć ich do rydwanu swojej pracy krajowej, znieawidzony przez centralistów wiedeńskich umiał ich przechytrzyć i u cesarza wyjednać autonomię dla Galicji. „Agenor hr. Gołuchowski stał całą ćwierć wieku w samym ognisku pracy publicznej i to na najwyższych stanowiskach, w ciągu tego długiego okresu swojej działalności publicznej był jednym z najgłośniejszych aktorów społecznego i politycznego odrodzenia kraju po strasznej katastrofie 1846 r. i jej następstwach, wreszcie jako długoletni naczelnik politycznej administracji, więc niejako gospodarz kraju, bądź inicjatywą, bądź dyspozycjami zostawił ślady działalności swojej niemal na wszystkich tych instytucjach i urządzeniach społecznych i ekonomicznych, które razem zszły się na nasz dzisiejszy dorobek polityczny” – pisał w 1901 r. Bronisław Łoziński.

Agenor Gołuchowski urodził się 8 lutego 1812 r. Był wychowankiem jezuitów – nauki średnie pobierał w konwiktie tarnopolskim Ojców Jezuitów. Studia prawnicze ukończył na Uniwersytecie Lwowskim, gdzie w 1839 r. uzyskał stopień doktora prawa. Pieczętował się herbem Leliwa, choć na starość, w docenieniu zasług, cesarz Franciszek Józef do jego herbu rodzowego dodał pół austriackiego orła.

Związany z wielką własnością, w latach 40. XIX w. był członkiem Sejmu Stanowego, gdzie dał się poznać jako przeciwnik wszelkich ruchów spiskowo-rewolucyjnych, a także reformy włościańskiej. Szczególnie stanowczo opowiedział się przeciwko rozdrobnieniu gruntów włościańskich. „Wobec faktu – pisał w referacie opracowanym w 1846 r. wraz z Maurycem Kraińskim – że w nieskończoność prowadzone parcelacje gruntów narażają ludność rolniczą na zupełne zubożenie (...), jest to rzecz niezbędnie potrzebna, aby ustawą oznaczone zostało minimum włościańskiej posiadłości gruntowej,



Hr. Agenor Gołuchowski

przynoszącej dochód czysty, wystarczający na utrzymanie rodziny. (...) Co w takim gospodarstwie włościańskim wychodziłoby poza granicę minimalną, to należałoby uznać za pozostawione swobodnej rozporządzalności”.

Od wczesnej młodości miał praktykę urzędniczą. Zaczynał swoją karierę jako burmistrz miasta Lwowa, powołany na to stanowisko z grona radców gubernialnych przez gubernatora Franza Stadiona. Wkrótce potem awansował na stanowisko wiceprezydenta gubernialnego, a więc zastępcę samego gubernatora.

Po raz pierwszy funkcję Namiestnika Galicji, wówczas nazywanego formalnie Gubernatorem, hr. Gołuchowski objął 15 stycznia 1849 r. przy poparciu ówczesnej figury politycznej wcześniejszego Gubernatora Galicji hr. Wacława Michała Zaleskiego, który – jak twierdził Leon Biliński – utorował w „gubernium” lwowskim drogę dla tego awansu. Będąc osobistym reprezentantem cesarza w kraju, swoistym regentem, Gołuchowski starał się być lojalną podporą tronu. Dążył do wytworzenia stosunku wzajemnego lojalnego zaufania pomiędzy monarchią a szlachtą. Wielu za złe mu miało, że aby zdobyć zaufanie władz w pierwszym okresie swoich rządów, jako przedstawiciel reakcji, posuwał się do wychwytywania po kraju zbiegów z za rosyjskiego kordonu, których następnie wydawał w ręce carskich żandarmerii. Nie ma wątpliwości, iż wówczas uważano go za „renegata wyzutego z romantycznej tradycji”. Zwalczał nie tylko lewicę, ale także samowolę chłopów i separatyzm ukraiński. Jednocześnie podkopywał centralizm wiedeński i wpływy niemieckiej biurokracji oraz zabiegał o zapewnienie polskiemu ziemiaństwu panowania w Galicji. Jak pisał Kazimierz Wyka, w tym okresie był „Gołuchowski, niepopularny wśród szlachty, ale z dużą

konsekwencją strzegący jej korzyści i przywilejów gospodarczych”.

Przykładem, że Namiestnik stał konsekwentnie po stronie szlachty, była sprawa tzw. serwitutów, czyli swoistej koncesji, jaką właściciele lasów dawali chłopom pańszczyźnianym na korzystanie z lasu. Zgoda dotyczyła ograniczonego prawa do brania przez chłopów z lasu materiału opałowego i drzewa budulcowego. Chłopi po zniesieniu pańszczyzny domagali się powszechnego dostępu do „wspólnych” lasów. Gołuchowski wydał jednak starostom okólnik, w którym czytamy, że chłopcy „w dniu oznaczonym przez dwór na każdy tydzień mogą udawać się do lasu dworskiego bez siekier i zabierać stamtąd złomy i gałęzie wyłącznie do własnego użytku i w miarę potrzeby”. Natomiast sprzeciwił się, aby chłopcy mogli brać z pańskich lasów materiał budowlany, skoro już są uwolnieni z pańszczyzny.

W owym czasie dbał szczególnie o galicyjską oświatę, dążąc do jej polonizacji. Zabiegając o język polski w szkołach w memoriale do cesarza z 27 grudnia 1851 r. pisał: „Fakt to uznany przez wszystkie cywilizowane narody europejskie, że polski język jest wyrobiony, rozwinięty i udoskonalony, że dalej wykazać się może znaczną i wydatną literaturą prawie we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej. Fakt ten uznawany jest nawet w ruskiej części Galicji tak dalece, że nikogo tonie dziwi, jeżeli w wykształconych kołach ruskiej inteligencji, składającej się przeważnie z księży, najczęściej używany bywa język polski. (...) Przy pomocy już istniejącej rodzimej i obcej literatury uczniowie będą mogli na podstawie przystępniejszego dla nich języka ojczystego przyswajać sobie zasoby wiadomości w rozmaitych gałęziach wiedzy z rezultatem wydatnym dla współczesnego i przyszłego pokolenia”. Jednak ten Podolak z krwi

W historii c.k. Galicji niepoślednią rolę odgrywali Podolacy – konserwatywne stronnictwo polityczne ziemian Galicji Wschodniej lat 1867-1914. W poprzednich numerach Kuriera Galicyjskiego przedstawiliśmy historię tego ugrupowania. Poniżej kontynuujemy cykl artykułów poświęconych biografii jego najwybitniejszych przedstawicieli. Zapraszamy do lektury!

i kości – jak pisał Kieniewicz – „rezygnował z możliwości całkowitego spolszczenia gimnazjów w Galicji zachodniej, byle za cenę tych ustępstw rozszerzyć zasięg polszczyzny w szkołach na wschodzie kraju”. Było to szczególnie istotne wobec podnoszących głowę Rusinów, którym namiestnik bezskutecznie próbował narzucić łaciński alfabet i kalendarz.

W 1859 r. został ministrem spraw wewnętrznych Cesarstwa Austriackiego. Jako ultramontanin bronił interesów kurii papieskiej i Kościoła katolickiego. Był jednym z autorów tzw. dyplomu październikowego, który szedł w stronę ustroju federalistycznego i wprowadzał w monarchii zasady autonomiczne. Po wydaniu tego dyplomu przez cesarza Franciszka Józefa w dniu 20 października 1860 r., staraniem Gołuchowskiego reprezentanci Galicji wzięli udział w Radzie Państwa. Przystąpił także do uporządkowania kraju, znosząc jego podział na dwa okręgi i usuwając czołowe postaci biurokracji niemieckiej z „okresu bachowskiego”. To za jego ministerium Galicję objęły pierwsze zarządzenia o używaniu w administracji, sądownictwie i skarbowości języka polskiego. Po upadku w lutym 1861 r. gabinetu hr. Johanna Rechberga, Gołuchowski – jak pisze Waldemar Łazuza – w owym czasie „faktyczny twórca polityki wewnętrznej Austrii”, powrócił na kilka lat do życia prywatnego.

Nie brał udziału w powstaniu styczniowym i w późniejszych latach nie znosił sentymentów powstańców. Pierwszy raz zasiadł w Sejmie krajowym w 1865 r. wybrany we Lwowie, ale aż trzy okręgi wyborcze we wschodniej Galicji – na co z uznaniem zwracał uwagę Józef Szujski – dały wyraz swego uznania dla jego dotychczasowej pracy publicznej „stawiając na czele kandydatów Agenora Gołuchowskiego, twórcę październikowego dyplomu, zasługę prawdziwą i wielką, człowieka pracy i zasad wytrwałych”. W następnym roku został powołany do komisji katastralnej i edukacyjnej. W wyborach 1867 r. ponownie zdobył mandat we Lwowie, ale złożył go przed III sesją w 1869 r. Na swoją ostatnią kadencję został wybrany w 1870 r. w kurii większej własności w obwodzie czortkowskim.

Gdy po raz drugi wiedeńskie czynniki rządowe zaproponowały Gołuchowskiemu objęcie urzędu Namiestnika Galicji, postawił 10 warunków, w tym: usunięcie ze stanowisk wszystkich wskazanych przez niego urzędników, natychmiastowe zorganizowanie gimnazjów polskich, zaprowadzenie katedr polskich na Uniwersytecie Lwowskim, wprowadzenie języka polskiego w całość administracji galicyjskiej, przyjęcie planu rozwiązania sprawy ruskiej,

a także reorganizacja żandarmerii. Uważał, że te warunki są do spełnienia, gdyż Austria „ma interes realny, a nie na mrzonkach oparty, szczerego pojednania się z dziejową ideą polską”.

Warunki Gołuchowskiego zostały przez rząd przyjęte i 20 października 1866 r. otrzymał nominację na Namiestnika Galicji. Kazimierz Bartoszewicz tak pisze o reakcji mieszkańców Galicji na to wydarzenie: „Wiadomość o nominacji Gołuchowskiego przyjęła Galicja z radością, prawie z entuzjazmem. Poznano się już na nim i wierzono mu. Podróż jego po kraju i wjazd do Lwowa były istnym pochodem triumfalnym. Lwów zajaśniał rzęsiłą iluminacją, a za jego przykładem poszły wszystkie prawie miasta galicyjskie. Olbrzymi korowód z pochodniami otoczył jego pałac przy ul. Mickiewiczowskiej. Ze wszystkich stron spłyły się adresy i dyplomy honorowe; Lwów utworzył stypendium jego imienia. W tej radości najmniejszy stosunkowo udział brali konserwatyści krakowscy, którzy Gołuchowskiego nie kochali.”

Korzystając z poparcia cesarza Franciszka Józefa Namiestnik w ciągu dwóch lat oczyścił galicyjską administrację z Niemców, zastępując ich Polakami i systematycznie reformował kraj. Przeprowadził m.in. rozdział władz sądowo-administracyjnych, a także wprowadził w życie ustawy: gminną, o obszarach dworskich, o Radach powiatowych, o komitetach parafialnych, o drogach krajowych, powiatowych i gminnych, o komitetach szkolnych i wreszcie ustawę o języku wykładowym w szkołach średnich i ludowych. Przedkładając sprawozdanie ze swego działania przed Sejmem w 1868 r. Gołuchowski szczególnie był zadowolony z realizacji ustawy gminnej, która w miastach, „gdzie rozwój społeczny na życziwe natrafia ocenie, przyjaznego doznała przyjęcia”. Ale także posiadłości wiejskie, które biorą przykład od sąsiednich miast i miasteczek, „bez wstępu przyswoiły sobie nowy porządek rzeczy”. Choć przyznał zarazem, że znalazły się takie włości, szczególnie na wschodzie kraju, „gdzie złośliwe podżeganie wpływały na pojęcie nieoświeconego ludu i wdrożenie nowej ustawy napotykało na opór, który wszelako stopniowo lepszemu ustępował przekonaniu”. Kończąc swoje sprawozdanie stwierdził, że „w ludzie naszym pomimo wiekowego obalamucenia tkwi jeszcze dziewicze poczucie słuszności i sprawiedliwości dążące do wzajemnego porozumienia się, a w miarę ustępujących wrogich nam wpływów ożywia się potrzeba łączności nierozdzielnej, która oba od wieków w jeden naród zlepięne szczepy spaja węzłem bratniej wzajemności”.

W swoich działaniach Gołuchowski opierał się głównie na szlachcie wschodniogalicyskiej, ale z czasem i konserwatyści krakowscy, pomimo różnic politycznych i ideowych, obdarzyli go szacunkiem i uznaniem. Jak pisał Adam Bienkowski, „działalność Gołuchowskiego przyczyniła się w tym czasie w wysokim stopniu także do tego, aby obozy i stronnictwa polskie połączyć do wspólnej pracy w imię idei dalszego rozwoju Galicji na podstawie narodowej i autonomicznej w granicach monarchii austriackiej”.

Namiestnik miał koncepcję ścisłego, formalnego związania Galicji, tego „polskiego Piemontu”, z cesarzem Franciszkiem Józefem. Podczas audiencji 1 września 1868 r. nakłaniał cesarza do przeciwstawienia się Rosji i zaangażowania w sprawę polską. Wyrzucił nadzieję, że Galicja stanie się ośrodkiem przyciągają-

była niemożliwą”. Wreszcie posunął się aż do gróźb, że przyjęcie rezolucji w zaproponowanej kształcie spowoduje rozwiązanie Sejmu i nowe wybory, co jego zdaniem spowoduje w kraju bardzo szkodliwy rozstrój. „Rozpoczęłyby się agitacja – mówił – która od domu zamożnego obywatela przeszłaby przez wszystkie warstwy obywatelstwa miejskiego, a oparłaby się o chatę wieśniaka. Taka agitacja w chwilach tak ważnych, jakie są dzisiejsze w naszym kraju, byłaby nadzwyczaj szkodliwą (...). Skutek bowiem takiego rozstroju kraju byłby niezawodnie taki, że czynniki nam przeciwnie, że organa, które na to czyhają, aby tylko skorzystać z naszego ustroju, wystąpiłyby z całą gwałtownością”. Jednak tym razem jego wezwanie Sejmu do rozważenia „w imieniu przyszłości i postępowania narodu” nie odniosło efektu i 24 września 1868 r. uchwalono tzw. re-

dział, że przyjął nominację „pomimo tak sprawczych i tak żarliwie ścierających się prądów, które wszelką dodatnią u nas utrudniają pracę, licząc na sumiennosc i na szczerą pragnienie dziś u steru Państwa stojących mężów, którzy przejęci są koniecznością zaspokojenia potrzeb naszych”. Zapowiedział także, że będzie dążył do tego, aby faktem się stało „wielostronne i daleko sięgające rozszerzenie swobód naszych”, jak również gorliwe podejmie działania, aby nastąpiło przyspieszenie w załatwieniu spraw serwitutowych. Stwierdził wreszcie, że „liczy na wsparcie drogich mi współobywateli”, a przede wszystkim na życzliwość posłów, „bez czego nic korzystnego, nic pożytecznego dla kraju zdziałać nie zdoła”.

Podczas tego namiestnictwa m.in. przyczynił się do ufundowania Akademii Umiejętności oraz Politechniki Lwowskiej, a także wpłynął na znaczny rozwój oświaty w miastach, gdzie „życie umysłowe i rozwój umysłowy żywym biją tętnem”, w ale również na wsi. Jako przewodniczący Rady Szkolnej Krajowej szczególnie dużą uwagę poświęcił w zakładaniu i budowie szkół ludowych, które – jak mówił – „nie tylko w miejscu ich założenia przysposabiają młodzież wprost do praktycznych zawodów, ale staną się one zachętą do nauki i wzorem dla okolicznej ludności”. I konstataował w 1872 r., że gdyby Rada Szkolna Krajowa dysponowała większymi środkami, to „w krótkim stosunkowo czasie oświata ludowa w kraju naszym olbrzymie przybrałaby rozmiary, ponieważ prąd do nauki jest wielki i z każdym rokiem widocznie się wzmacnia”. W kolejnych latach budżet na oświatę istotnie się zwiększał, co umożliwiło rozwój i reorganizację szkolnictwa, które dzięki staraniom Gołuchowskiego w roku jego śmierci liczyło ok. 2300 szkół „zupełnie uorganizowanych”.

W okresie trzeciego namiestnictwa, które sprawował aż do śmierci, zasłynął też memoriałem przeciw rozciągnięciu na Galicję ustawy o bezpośrednich wyborach do wiedeńskiej Rady Państwa w miejsce wysłania do niej sejmowej delegacji. „Gdy jednak mimo starań jego a opozycji posłów polskich ustawę tę w Radzie Państwa przeprowadzono – pisał Bienkowski – Gołuchowski usiłował odwieść posłów polskich od secesji z Rady Państwa, a porzucenie secesji okupić uzyskaniem innych, ważnych ustępstw dla kraju”.

Ten „cesarsko-królewski Polak”, jak go nazywano, zmarł we Lwowie 3 sierpnia 1875 r. jako honorowy obywatel 42 miast galicyjskich. Jak pisał o nim Józef Szujski: „Jakkolwiek hr. Gołuchowski zaczął i skądkolwiek wyszedł, to nie podlega wątpliwości, że zdobywszy zaufanie tronu, zajmując znaczące stanowisko w monarchii, wystąpił i coraz bardziej występował jako Polak, i to nie w szacie przybranej, ale z głębokim zrozumieniem charakteru, wad i zalet narodowych, z sercem naród swój gorąco miłującym, z ambicją szlachetną, aby zrobić jak najwięcej dobrego, aby dobrą po sobie zostawić pamięć”. W kolejnych pokoleniach dobrą pamięć po sobie zostawił ten zasłużony mąż stanu.

KG

PAMIĘTAMY O ŚW. JANIE Z DUKLI – PATRONIE LWOWA



Celebranci uroczystej Mszy św. w byłym kościele ojców bernardynów we Lwowie

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

8 lipca, w dniu liturgicznego wspomnienia św. Jana z Dukli, w byłym kościele ojców bernardynów pw. św. Andrzeja we Lwowie uroczystość obchodzą święto patrona miasta. Mszy św. przewodniczył i homilię wygłosił biskup pomocniczy kijowsko-żytomierski Stanisław Szrokora-diuk, który jeszcze w czasach komunistycznych potajemnie wstąpił do zakonu franciszkanów, zwanych dawniej bernardynami.

Przed rozpoczęciem liturgii, metropolita lwowski Mieczysław Mokrzycki powiedział: „Cieszę się bardzo, że ponownie spotykamy się w tym miejscu aby oddać cześć św. Janowi z Dukli – głównemu patronowi Lwowa i że nadal żywa jest tu pamięć o nim”. Arcybiskup powitał przybyłych na uroczystość franciszkanów z Ukrainy i Polski, duchowieństwo i wiernych z różnych parafii archidiecezji lwowskiej, pielgrzymów z Polski i wszystkich czcicieli św. Jana z Dukli.

Biskup Stanisław Szrokora-diuk przybliżył w homilii postać patrona Lwowa, który żył ponad 500 lat temu. „Za wstawiennictwem tego świętego

doznajemy różnych łask i ciągle dziękujemy Bogu za to, że powołał go do kapłaństwa i do tak wielkiej świętości”. Po zakończeniu uroczystości, zwrócił się do zebranych o. Dobrosław Kopysteryński, przełożony prowincji św. Michała Archaniola Zakonu Braci Mniejszych na Ukrainie, a główny celebrans podziękował oo. bazylianom za udostępnienie użytkowanej obecnie jako cerkiew świątyni dla uczczenia św. Jana z Dukli. Po mszy, na placu przed kościołem św. Andrzeja i byłym klasztorze bernardynów, JE Mieczysław Mokrzycki spotkał się z gośćmi z Polski. Po raz pierwszy na uroczystość do Lwowa przybyła grupa pielgrzymów z Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej pw. św. Jana z Dukli w Lublinie. Grupie pielgrzymów z rodzinnego miasta świętego przewodniczył o. Krystian Olszewski OFM Conv., kustosz sanktuarium św. Jana w Dukli. Mszę św. uświetnił śpiewem chór parafialny z Dukli.

Prezes Towarzystwa im. Jana z Dukli Władysław Turek powiedział: „Dzisiaj gościmy we Lwowie po raz czwarty z kolei, by we wspomnienie tego świętego uczestniczyć we Mszy św. odpustowej w kościele św. Andrzeja, gdzie nasz rodak żył i uświęcał się”. Zaznaczył, że lwowiaczy też przyjeżdżają do Dukli, do relikwii św. Jana.



Uczestnicy uroczystości odpustowej



Nieistniejący obecnie pomnik Agenora Gołuchowskiego w Ogrodzie Jezuickim we Lwowie

cym uwagę całego narodu polskiego, a uwieńczeniem tego procesu miała być koronacja Franciszka Józefa na króla Polski. Miał wówczas powiedzieć cesarzowi: „Pragnąłbym dożyć jeszcze chwili, której skroń Twoja, Najjaśniejszy Panie, byłaby uwieńczona koroną Królestwa polskiego”. Jako pierwszy krok do realizacji tego celu widział podróż rodziny cesarskiej do Galicji. Tak pisał o planowanej podróży do hr. Alfreda Potockiego: „Trzeba tej podróży dać cechę wybitniejszą; powinno to być niejako publiczne pojednanie narodu polskiego z dynastią Habsburgów, z którą pragniemy nasze losy zespolić, jeżeli także z drugiej strony okaże się gotowość interesu narodu polskiego wziąć w opiekę”.

Gołuchowski, znany ugodowiec, był przeciwny wysuwaniu nadmiernych, na ten czas zbyt wygórowanych żądań do tronu, w tym o samodzielnosc i odrębne stanowisko Galicji. Uważał, że takie postulaty „zaszkodzić mogą, a spełnić na teraz się nie dadzą”. Zarzucał braci poselskiej, że poprzez brak realistycznego podejścia może doprowadzić nawet do zaprzepaszczenia dotychczasowego dorobku. „My nie umiemy się liczyć ani z okolicznościami, ani z siłami, zrywamy się najczęściej naprzód i w końcu nie doprowadzamy do niczego” – mówił podczas debaty nad projektem tzw. rezolucji. Apelował również do sumień poselskich: „Nie o Galicji nam tylko myśleć należy, więc nie stawiamy sami sobie zapory wobec przyszłości, która wprawdzie zapewne nie jest bliska, ale o której nie wolno powiedzieć, iżby

zoluć. Spowodowało to odwołanie przyjazdu do Galicji pary cesarskiej, a także dymisję Gołuchowskiego w dniu 7 października 1867 r.

Po ustąpieniu Gołuchowskiego tak pisał Ludwik Powidaj w stańczykowskim „Przeglądzie Polskim”: „Przez dwa lata rządów swoich nie usłyszał od nas hr. Gołuchowski ani jednego pochlebstwa. I tym śmieiej też i z tym czystym sumieniem dziś powiedzieć możemy, że ustępującemu należy się cześć i wdzięczność kraju. Wdzięczność za spokój publiczny i społeczny, który on utrzymał i do którego utrwalenia właściwie położył fundament, wdzięczność za wprowadzone w życie i troskliwie pielęgnowane narodowe lub autonomiczne instytucje, wdzięczność za to, że gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie on zostawia po sobie albo postęp, albo przynajmniej warunki i początki postępu. Cześć zaś należy mu się za jego pracę twardą w nader trudnych warunkach, za poświęcenie i za miłość z jakimi pełnił najcięższą w kraju służbę, za to że służbę tę pełnił w szczerym polskim duchu (...). Ustąpienie hr. Gołuchowskiego jest równie szlachetnym i godnym, jak rządy jego były dobroczynnymi. (...) Nie widzimy też tego, ktoby zastąpić mógł hr. Gołuchowskiego i dorównać mu energią, znajomością spraw, ufnością kraju i powagą wobec rządu.”

Faktycznie 20 lipca 1871 r. Gołuchowski został powołany na Namiestnika po raz trzeci. W trakcie pierwszego po powołaniu spotkania z posłami galicyjskimi w Sejmie krajowym w dniu 14 września powie-

„KRESY” NA KRESACH

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcia

Tradycyjnie na początku lipca kresowe miasto Głogów zbiera zespoły folklorystyczne na dorocznym Przeglądzie Kultury Polskiej. Tegoroczna edycja imprezy, nosząca numer XVI, zgromadziła trzy zespoły z Polski i trzy ze Wschodnich Kresów. Na scenie podczas Przeglądu – KRESY 2011 wystąpiły Wrzos, Polne Maki, Radocha oraz Kresowianka z Białorusi, Canta Covensis z Litwy i Lwowska Fala z Ukrainy. Gościnnie dołączył do imprezy też Polski Teatr Ludowy ze Lwowa, który rozbawił publiczność sztuką Sławomira Mrożka „Polowanie”. Zazwyczaj wszystkie koncerty Przeglądu odbywają się pod otwartym niebem, lecz w tym roku pogoda spłatała figla organizatorom – bez przerwy padał deszcz. W tych warunkach impreza zagościła na scenie Miejskiego Ośrodka Kultury.



Teatr lwowski swoją sztukę przedstawił w murach Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Głogowie, które mieści się w murach Zamku Książąt Głogowskich. W sali wystawowej, u podnóża prastarej wieży zamkowej zaimprovizowana scena zmieniła się w kurnik i las, w których rozgrywa się akcja. Publiczność, na-

tomiasz, obserwowała wydarzenia na scenie, siedząc za stolikami przy filiżance kawy i lampce wina. Występ nagrodzony został gromkimi oklaskami głogowskiej publiczności. Po spektaklu, reżyserowi Lwowskiego Teatru Zbigniewowi Chrzanowskiemu, dyrektor Lenarczyk wręczył podziękowanie za przekazanie do zbiorów kresowych muzeum rodzinnych pamiątek.

Na spotkaniu z uczestnikami tegorocznego Przeglądu, organizator imprezy, dyrektor MAH Leszek Lenarczyk powiedział, że spotkania głogowskie to jest element integracji niezwykle bogatej i różnorodnej kultury kresowej. Dlatego też zapraszane są różne zespoły, prezentujące kulturę swoich okolic. Przez te spotkania mieszkańcy ziemi Głogowskiej, którą obecnie licznie zamieszkuje potomkowie Kresowiaków, poznają kulturę swych przodków, a zespoły uczestniczące. Przeglądzie mają okazję do nawiązania kontaktów, i przez to wzbogacenia swoich repertuarów, i wymiany doświadczeń. Niestety, w czasie otwarcia XVI edycja Przeglądu Dyrektor Lenarczyk przekazał symboliczną buławę Kresów swemu następcy. Powiedział: „Pracowałem nad organizacją Kresów od 1995 roku.



zach Przeglądu uczestniczył także prezydent miasta Jan Zubowski.

Kolejne przedstawienie Lwowski Teatr Ludowy zagrał w niecodziennej scenarii – w kościele pw. św. Michała Archaniola w Ciosańcu. Po niedzielnym nabożeństwie zgromadzeni wierni obejrzeli jednoaktówkę Mariana Hemara „Umowa”. I tu też aktorzy zostali nagrodzeni brawami zebranej publiczności.

Przeglądy Kultury Kresowej nie są jedynymi imprezami, które organizowane są przez dyrekcję Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Głogowie. Już po raz dwunasty jest organizatorem Letniej Akademii Kultury i Języka Polskiego. Jest to impreza edukacyjna skierowana do młodzieży polskiej mieszkającej w kraju oraz na Kresach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. W tym roku w Letniej Akademii weźmą udział 24 osoby. Będzie to młodzież z Polski, Ukrainy, Białorusi i Litwy. A gdzie najlepiej poznaje się ten przedmiot, jak nie na ziemi, która była kolebką państwa?

Głównym zadaniem Akademii jest przybliżenie i pogłębienie wiedzy o kulturze polskiej, a także o historii Państwa i Narodu Polskiego. W związku z tym, co roku organizowane są liczne wykłady i prelekcje. W tym roku m.in. na temat Potopu, kultury i sztuki XVII-wiecznej Rzeczypospolitej oraz o różnorodności i wielokulturowości narodów Rzeczypospolitej. Odbędą się również zajęcia w terenie, m.in. zwiedzanie Warszawy, Grunwaldu, Malborka, Wilna i Kowna.

Przyszedł jednak moment, kiedy uznałem, że spełniłem już swoją rolę i 5 lat temu rozpocząłem poszukiwania swojego następcy. Osoby, której mógłbym organizację tych Kresów i obowiązki z tym związane z pełną odpowiedzialnością przekazać. Myślę, że taką właśnie osobą jest pan Waldemar Has (wicedyrektor Muzeum – red.). W impre-

ŁUCKA ORKIESTRA DĘTA – NAJLEPSZA W ŁOBEZIU



Wołyńska orkiestra w pełnym składzie, z Grand Prix – Mykołą Czornym

AGNIESZKA RATNA
tekst i zdjęcie

Wspaniała organizacja imprezy artystycznej, ciepłe przyjęcie i osobiste kontakty z burmistrzem miasta Łobezia Ryszardem Solą – to momenty, które najbardziej zapadły w pamięć z wyjazdu do Polski Mykoła Czornemu, nauczycielowi Wołyńskiego Liceum Kultury i Sztuki. Razem z orkiestrą, którą kieruje, niedawno reprezentował Ukrainę na VI Międzynarodowym Muzyczno-Sportowym Festiwalu-konkursie orkiestr dętych.

„Przed rokiem w Szczecinie mieliśmy kilka koncertów w ramach Dni Ukrainy w Polsce, – wspomina pan Mykoła. – Na jednym z nich był obecny dyrektor łobezkiego Domu Kultury Dariusz Ledion. Na prośbę pana Dariusza mieliśmy też występ w jego mieście. Po roku do naszego liceum przyszło zaproszenie na Międzynarodowy Festiwal Orkiestr Dętych do Łobezia”

„Sport i muzyka – to nas łączy” – takie było hasło festiwalu. Przez trzy dni zespoły z Białorusi, Polski, Niemiec, Rosji i Ukrainy walczyły o palmę pierwszeństwa. Według zasad konkursu, najpierw zespoły zmierzyły się w turnieju mini futbolu. Drużyna wołyńska tylko jeden mecz, z Niemcami, zremisowała. Reszta gier zakończyła się bezapelacyjnymi zwycięstwami. Przez następne dwa dni trwały przesłuchania orkiestr. Jak mówi Mykoła Czorny, po ich koncercie wszyscy zdjęli kapelusze z głów przed chło-

pakami z Wołynia. Mistrzostwo gry poraziło widzów, konkurentów i jury konkursu, które wyniosło jednogłośnie werdykt – główna nagroda, „Grand Prix”, jedzie do Łucka. Specjalnie odznaczony został też barytonista Sergij Olfierczuk. Jako jedyny z uczestników otrzymał specjalną nagrodę za mistrzowskie wykonanie.

Mykoła Czorny podkreśla wysoki poziom organizacji festiwalu. „Polacy stworzyli prawdziwe święto dla całego miasta, – mówi z zachwytem. – Koncerty odwiedziło tysiące widzów. Stworzono wspaniałe warunki pobytu dla uczestników. Wszystko było zorganizowane: od przyjazdu, przez spotkania, pobyt, wyżywienie i wypoczynek – wszystko na najwyższym poziomie. Występy nasze odbywały się na cudownej scenie ze wspaniałym wyposażeniem”.

Muzykant z Wołynia jest pod wrażeniem osobistych kontaktów z burmistrzem Łobezia Ryszardem Solą. Po zakończeniu konkursu spotkał się ze wszystkimi kierownikami zespołów na rozmowę i poprosił co do uwagi o organizacji imprezy. „Gdy przekonywałem go, że lepiej już nie można, – wspomina pan Czorny – on prosił o radę, co zmienić w przyszłych imprezach”.

Mykoła Czorny mówi, że jest zachwycony tym, jakiej uwagi udziela się kulturze w Polsce. Narzeka na zbyt niskie finansowanie kultury na Ukrainie. Z tego powodu odwołano Festiwal Orkiestr Dętych, który planowano zorganizować w Łucku. Ma nadzieję, że może władze wojewódzkie zwrócą większą uwagę na kulturę. Jest to jeden ze składników, który może wypromować Łuck do miana miasta z europejską kulturą.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

O imprezie zawiadomili nas jej organizatorzy. Miasto Brunona Schulza, a także miasto partnerskie Legnicy – Drohobycz, tworzy najdłuższy sznur ze skarpetek w Europie Wschodniej.

Pomysł zorganizowania imprezy pod zaskakującą nazwą „Sznur skarpetek – zjednoczenie młodzieży” z okazji Dnia Młodzieży w Drohobyczu na placu przed pomnikiem Jurija Drohobycza, w pobliżu XIV-wiecznego kościoła św. Bartłomieja, 26 czerwca br., zainicjowali młodzi ludzie z GKML „VKameniar” we współpracy z tygodnikiem „Kameniar” („Murarze”) i Szkoły chrześcijańskich animatorów w Drohobyczu. Ciekawy plan miał na celu ustanowienie rekordu miasta i Ukrainy i stworzenia najdłuższego „sznura” ze skarpetek. Działanie było czymś nowym na Ukrainie i w Europie Wschodniej.

DZIWNNE... ALE MIŁE



Organizatorzy chcieli przez swój udział w twórczy sposób zwrócić uwagę na problemy młodzieży nie tylko naszego regionu, ale także na Ukrainie, a tym samym wykazać, że młodzi ludzie

mogą działać wspólnie, razem budując jedność. Ponieważ jak mówią: skarpetka do skarpety – to przyjaźń, przyjaźń do przyjaźni – ulica, ulica do ulicy – miasto, miasto do miasta – region, region do re-

gionu – razem tworzy się Ukraina, Polska, Unia Europejska. Przyszłość, która należy do młodych i aktywnych. Wydarzenie zgromadziło przedstawicieli różnych organizacji, mediów. Niestety nie przyjechali do Drohobycza przedstawiciele komisji „Księgi rekordów Ukrainy”.

Aby uzyskać najszerszą kampanię informacyjną rozesłano informację po całej Ukrainie. Akcja wspierana była przez działaczy i młodzież z Kijowa, Lwowa (np. FC „Doktor Clown”), z Truskawca, Boryslawia. Z Konstiantyniwi (obw. doniecki – red.). Iwano-Frankowska, Tarnopola i Lwowa wysłano po kilka par skarpetek, jako znak poparcia dla akcji. Teraz organizatorzy mają pomysł stworzenia funduszu ze skarpetami miast: Truskawiec, Drohobycz, Stebnyk, Lwów.

Jak nam przekazał w rozmowie telefonicznej jeden z organizatorów akcji Oleg Stesiuk, impreza przeszła oczekiwania. Na apel organizatorów zgłosiła się fabryka skarpet z Czerwonograda

(daw. Krystynopol – red.) i przekazała do łańcucha swoje wyroby. Jeden ze sponsorów, właściciel firmy instalującej systemy grzewcze Igor Danylyszyn przekazał organizatorom największe skarpety – 1,5 m długości. W wyznaczonym czasie na rynku mieszkańcy Drohobycza, goście z Truckawca, Stebnika, Schodnicy zaczęli znosić worki skarpet, łączyć je i rozciągać łańcuch. Planowano otoczyć łańcuchem ratusz w Drohobyczu, ale skarpetek było więcej. Łańcuch ciągnięto dalej – pod kościół św. Bartłomieja i dalej. Po ostatecznym zmierzeniu skarpetkowego łańcucha jego długość wyniosła ponad 400 m.

Organizatorzy uważają, że akcja zakończyła się sukcesem i... planują już następną z okazji Euro 2012. Życzymy powodzenia!

PS. Coś podobnego zostało już zorganizowane w Niemczech. Rekord w „Księdze Guinnessa” na rok 2009 – „najdłuższa linia ze skarpetek” wynosi 2 013,75 m.

„CRACOVIA DANZA” NA FESTYNIE W ŁUCKU



AGNIESZKA RATNA
tekst i zdjęcia

„Oj, w Łucku na festynie, na wysokim zamku, bawili się chłopcy z wieczora do ranku” – tą śpiewką tradycyjnie rozpoczyna się coroczny festyn „Noc na Łuckim zamku” – impreza mająca na celu popularyzację historycznej i kulturowej spuścizny Wołynia.

„Jest to już wizytówka naszego miasta, – powiedział na konferencji prasowej zastępca mera miasta Łucka Światosław Krawczuk. – To prestiżowa impreza, która ma zrobić nasze miasto bardziej atrakcyjnym dla turystów, a przez to, i dla inwestorów”. Kurator imprezy, Tetiana Gnatiw, twierdzi, że tegoroczny festyn, już piąty w historii, różni się od poprzednich głębszym kontaktem z europejską kulturą średniowiecza.

To właśnie Europa przybyła do stolicy Wołynia tego roku – po raz pierwszy zostały zaproszone zespoły artystyczne zza granicy. Wiodącym na święcie był zespół „Zdob Si Zdyb” z Moldawii, szalony entuzjazm wywołał występ białoruskiego zespołu „Stary Olsa”, uczestniczący już nie po raz pierwszy w łuckim festynie. Niezwykle wpisał się w atmosferę średniowiecznego zamku księcia Lubarta polski zespół baletu dworskiego „Cracovia danza”, jedynego zespołu w Polsce, uprawiającego ten rodzaj sztuki.

Szlachetni rycerze i damy we wspaniałych strojach z epoki, autentyczna średniowieczna muzyka – to wszystko tworzyło iluzję, że do do księcia Witol-



Mer Łucka Mykoła Romaniuk i kurator imprezy Tetiana Gnatiw witają uczestników

da, do Łucka po stuleciach znów zawiązał król Władysław Jagiełło z dworem.

„W repertuarze mamy najróżniejsze tańce, – opowiada Kurierowi Magdalena Żmuda z zespołu „Cracovia danza”. – W naszych przedstawieniach prezentujemy tradycje Średniowiecza, Renesansu, Baroku. Łuck ma bardzo dobrze zachowany zamek. Mieszkańcy powinni być dumni z takiej perełki. Bardzo nam miło występować tu, ponieważ nasz repertuar związany jest z okresem świetności zamku”.

Impreza rozpoczęła się powitaniem uczestników przez mera Łucka Mykoła Romaniuka. Wręczył on pamiątkowe dyplomy udziału w festynie, potem zawiązał na teatralizowaną „Gościń u księcia Lubarta”. Wspólnie z wicegubernatorem województwa zapalili symboliczny ogień w koronie i przyrzekli dbać o dobrobyt mieszkańców Łucka. Dalej widowisko kontynuowały teatr ognia „Wolfram” z Krymu i „Taniec Świetlików” z Połtawy. Owa-

cjami nagrodzono taniec na szczudłach „Show olbrzymów” z Eupatorii. Niezwykle przedstawienie p.t. „Sen nocy letniej” stworzyła grupa animacji piaskowej Darija Puzanina z Charkowa i zespół muzyczny „Tchnienie słonca” z Łucka. Atrakcjami tej nocy dla gości zamku były wycieczki do podziemi, projekcja filmu pod gołym niebem, degustacja napojów i potraw, przygotowanych według średniowiecznych receptur. Przedstawiono też tradycyjne na Wołyniu sztuki ludowe – plecionki ze słomy i wikliny, garncarstwo, kowalstwo, pszczelnictwo i inne. Otwarty był kiermasz tradycyjnych wyrobów rzemieślników łuckich, prezentacja twórczości ludowej przez wołyńskich artystów.

Poranek zastał gości festynu z zespołem „Zdob Si Zdyb”, wielokrotnym uczestnikiem konkursów „Eurowizji”. Wykonali oni swój hit „Wydziel noc, baw się do rana”. Ci, co doczekali do rana, nie pożałowali. Festyn



„Cracovia danza” z dyplomem mera Łucka



Nawet pani milicjant bierze udział w pokazie kowali

na łuckim zamku staje się z roku na rok coraz bardziej popularny – tegoroczny akredytował ponad 50 dziennikarzy lokalnych i ogólnoukraińskich

mediów. Do Łucka na tegoroczny festyn zawiązało też wielu lokalnych miłośników romantyki, nieformalnych rozmów i kreatywnego odpoczynku.

JURIJ SMIRNOW

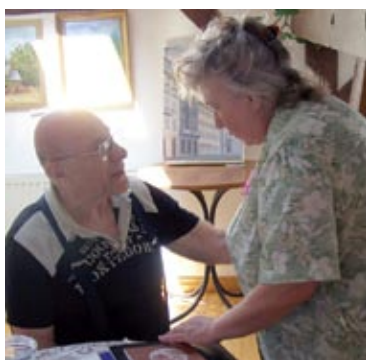
tekst i zdjęcia

Na dworze pachniał maj. Właśnie wtedy w przytulnej sali na ul. Rylejewa odbyła się impreza poświęcona beatyfikacji Ojca Świętego Jana Pawła II. Wierni z parafii św. Marii Magdaleny podążyli wprost ze świątyni do tego ośrodka polskości we Lwowie. Wielu z nich brało bezpośredni udział w przygotowywaniu święta.

Przybył też proboszcz parafii ks. Włodzimierz Kuśnierz. Organizatorem wystawy było studio „Wrzos”, które skupia ludzi różnego wieku, emerytów i młodzież, mających zainteresowania twórcze. Jak mówi kierowniczką tego stowarzyszenia prof. Irena Strilciw, każdy ma w sobie ziarno twórcze, trzeba tylko znaleźć go w sobie i rozwijać pracą twórczą. Na spotkanie przybyli też członkowie chóru „Lutnia”, który od lat już działa bardzo aktywnie przy Uniwersytecie III Wieku. Chór prowadzi dyrygent Maria Solomko. W repertuarze pieśni patriotyczne, religijne, ludowe. Pięknie wyglądają stroje chórzystów. W sali panował podniosły, świąteczny nastrój.

Jak powiedział ks. Włodzimierz, ludzie śpiewają, malują, piszą wiersze,

Z CAŁEGO SERCA DLA JANA PAWŁA II



Aleksander Szumański i prof. Irena Strilciw

robią to nie tylko dla siebie, ale i dla bliźniego, dla parafian kościoła Marii Magdaleny, członków Uniwersytetu III Wieku, dla wszystkich Polaków we Lwowie. Pielęgnują i zachowują polskości i polską kulturę. Obok długiej listy, w której zostały wymienione wszystkie pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II, rozwieszono liczne dzieła malarskie uczestników studia „Wrzos”. Wszystkie nawiązywały do niezwyklej postaci błogosławionego papieża, jak również miejsc jego pielgrzymek. Pani Irena Strilciw powiedziała: „Podjęcie takiego tematu było sprawą bardzo trudną. Przy małej umiejętności lub

lekceważącym podejściu mogło dojść do profanacji tematu. Ale w te obrazy włożono tyle serca, że wszystko udało się jak najlepiej. Niektórzy z naszych uczestników zachowali w sercu niezwykłość i piękno wizyty Ojca Świętego do Lwowa dziesięć lat temu. Ich refleksje twórcze, malarskie są bardzo świeże, czyste, jakby ta wizyta odbyła się wczoraj. Z tych obrazów przemawia miłość do Ojca Świętego, do ludzi dobrej woli”.

Swoim talentem zwróciły uwagę dzieła Joli Szymańskiej, która przedstawiła cztery obrazy. Były to akwarele przedstawiające papieża z dziećmi z różnych krajów. Niezwykle udanym była też kopia cudownego obrazu Matki Boskiej z Gwadelupy. Malowanie takiego obrazu wymagało znacznego skupienia, podniosłości ducha i nawet odwagi. Ciekawie wyglądały też bukiety kwiatów autorstwa Miłkołaja Małachowskiwego. Duże wrażenie wśród gości wywołał też jego obraz „Procesja podczas odpustu”.

Chór „Lutnia” wykonał trzy utwory, które poświęcił papieżowi, trzy jego ulubione pieśni, mianowicie „Barcę”, „Moje miasto” i „Abba, Ojczy”. Członkowie Uniwersytetu III wieku recyto-



Śpiewa chór „Lutnia”

wali również swoje wiersze. Wśród nich była i często obecna na łamach naszej gazety Stanisława Nowosad.

Na tak rodzinne, miłe spotkanie przybył też Aleksander Szumański z Krakowa, a rodem ze Lwowa. Zebrany przedstawiła go redaktor Bożena Rafalska, choć tak naprawdę wszyscy zebrani dobrze znają i cenią jego piękne słowo. Jest on, jak wiadomo, poeta, zbieraczem i entuzjastą przedwojennego lwowskiego humoru, wybitnym znawcą bałaku lwowskiego. Zbiera on też w starych lwowskich publikacjach, we wspomnieniach starych lwowiaków

ciekawe historie z życia ludzi (zwłaszcza działaczy kultury i sztuki) przedwojennego Lwowa. Ciągnie pana Aleksandra do domu, do Lwowa. Dla tego przyjeżdża do nas dość często, jak tylko pozwalają sprawy i zdrowie. Ma on też we Lwowie stałych i wiernych wielbicieli. Ich też nie zabrakło i tym razem. Po krótkich refleksjach, słowach przywitania i przypomnienia dobrych starych czasów Szumański czytał swoje nowe wiersze, które publiczność słuchała w wielkim skupieniu, a przywitała głośnym „brawo” i oklaskami. W oczach poety zauważyłem łzy.



ARTUR CZARNOWSKI

Rodzina Woźniaczków przed I wojną światową zamieszkiwała w Brodach. Mój pradziadek Stanisław Woźniaczek był stolarzem, wyrabiał piękne meble dla miejscowej ludności. Był też poetą-amatorem – wydał własnym kosztem tomik swoich wierszy.

Jego żona Erazmina, moja prababcia pochodziła z kijowskich mieszczan Humanickich, przywiózł ją pradziadek stamtąd, gdy jeździł za młodych lat „na zarobki” do Rosji. Mieli czworo dzieci: starszą córką Bronisławę, moja babcie, urodzoną w 1890 r., która już była mężatką i mieszkała z mężem w Austrii, dwóch chłopców – Mariana, rocznik 1900 i Władysława, rocznik 1901, i młodszą córeczkę Marię, urodzoną w 1907 r. W czasie wojny pradziadek, który chorował na żółtaczkę zmarł. Nastąpiły ciężkie czasy. Prababcia, która dobrze szyla, trochę zarabiała, obszywając biednych ludzi. Był rok 1916. Rosjanie wycofali się z Brodów, ale za kilka miesięcy wojska rosyjskie znów zajęły miasto. Było to słynne przełamanie frontu przez rosyjskiego generała Brusilowa, wskutek czego niewielka część Galicji na kilka miesięcy znów została zajęta przez Rosję. W czasie tych działań wojennych dom rodzinny Woźniaczków został zniszczony doszczętnie. Dlatego prababcia Erazmina z dwoma synami i córką we wrześniu 1916 roku, razem z wycofującym się wojskiem rosyjskim, opuściła Brody i wróciła do rodzinnego Kijowa. Jej rodzony brat, Jan Humanicki, który posiadał w Kijowie restaurację i część hotelu, serdecznie ich przyjął. Starszy syn Erazminy Marian nie był zadowolony z tej przeprowadzki. 16-letni chłopiec z zachwytem śledził jak się tworzyły legiony polskie i jak walczyły o przyszłą Polskę, marzył o niepodległej Ojczyźnie. Na początku życia w Kijowie układało się nieźle. Ale przyszedł rok 1917, i tu się zaczęło... Władza w Kijowie zmieniała się co kilka miesięcy. Grabieże, pobyry... Przyszedł rok 1920. Wojska Piłsudskiego wstępują do Kijowa. Polacy w Kijowie entuzjastycznie je witają. Marian całe dni spędza w rozmowach z oficerami i żołnierzami odrodzonej Polski, za-

przed 1914 rokiem, a braciszek Władek, jak on tam? W głowie Mariana dojrzeła decyzja jechać do matki, do sióstr, do brata, tam, gdzie jest bardziej ludzki i życzliwy świat. Przecież siostra wróciła i jest jej dobrze.

LIST OD MATKI



Bracia Marian i Władysław Woźniaczek, 1916 r.

chwycy się ich mundurami, bronią. Czerwiec 1920 roku. Polacy wycofują się z Kijowa. Marian, mimo protestów matki, dołącza się do nich.

– Nie płacz, mamo, my jeszcze wrócimy, – mówi on na pożegnanie do Erazminy.

Za kilka dni już jest w Brodach. Chodzi po zgłiszczach domu rodzinnego, nocuje u sąsiadów. Potem jedzie do Lwowa do kuzynki ojca. Stamtąd go zabierają do wojska.

Służy około dwu lat w szóstym rezerwowym batalionie sanitarnym we Lwowie. Od dzieciństwa Marian przepadał za fotografią, był zaciętym fotoamatorem, po służbie wojskowej ta pasja często staje się źródłem utrzymania. W 1925 roku pracuje jako sekretarz w sądzie powiatowym w Winnikach, a od 1927 roku – biuralistą na monopolu tytoniowym, też w Winnikach. Nieźle zarabia. W 1930 roku żeni się z Wiktoria Dec, córką murarza, zamieszkała w Winnikach. W 1931 roku rodzi się im córeczka Wacława.

Marian od czasu do czasu otrzymuje listy od matki, która razem z bratem i siostrą zamieszkiwali teraz w Zwenihorodce koło Humania. Musieli tam się przenieść, kiedy władza radziecka odebrała wszystko – i hotel, i restaurację ich kijowskim krewnym. Brat Erazminy, Jan, pracował jako kucharz w byłej własnej restauracji. A potem cała rodzina Humanickich i spokrewniona z nimi rodzina Mikulskich zniknęły nie wiadomo gdzie. Nikt o tym nie chciał mówić – takie były czasy. Może ich gdzieś wywieziono, jako „elementy burżuazyjne”... Nie wiedział Marian, jak i nie wiedziała jego matka w Zwenihorodce, że ich ki-



Bronisława Woźniaczek



Erazmina Humanicka, 1918 r.

jowskim krewnym udało się gdzieś w połowie lat dwudziestych w workach z mąką wyjechać ze Związku Radzieckiego do Polski.

Jest rok 1932. Ciężki rok. Kryzys międzynarodowy uderza również w Polskę. W fabryce tytoniowej w Winnikach jest wielka redukcja personelu. Dużo ludzi zostaje bez pracy, Marian też. Teraz on znów zajmują się fotografią, ale ilość chętnych by mieć zdjęcie pamiątkowe zmalała, a znaleźć jakąś inną pracę nie ma możliwości. Wszędzie pełno bezrobotnych.

Przyszedł list od matki. Dziwny list. Dziwny, ale radosny. Marian wiele razy go odczytuje. Matka pisze, że u nich jest coraz lepiej: brat Władysław pracuje i nieźle zarabia, i siostra Bronia, która kilka lat temu po śmierci męża wróciła z Austrii – też nieźle zarabia i, że w ogóle ludziom dobrze się powodzi. Wszyscy mają pracę, pracujący otrzymują nowe mieszkania. To znaczy komuniści mają rację, myśli Marian, a cała prasa polska kłamie, pisząc o głodzie, represjach i innych bestialstwach w Związku Sowieckim. Ale przecież tam niema ani panów, ani kapitalistów, wyzyskujących robotników, dlatego nie może być tam ludziom źle. On czyta list swojej żonie Wiktorii, jej krewnym, znajomym. Większość nie wierzy. Ale Marian niby dostał skrzydeł – musi jechać do krewnych, których nie widział tyle lat: do matki, do sióstr. Mania jest już dorosłą kobietą, a Bronię widział jeszcze

– Co to wy jecie takiego? – pyta Marian z przerażeniem patrząc na talerze.

– Melasę, odpady z cukrowni, – ktoś odpowiedział.

Marian, widząc tą nędzę i biedę, usiadł i zapłakał.

– Cóż ty, mamo?! – powiedział on.

Matka też zaczęła płakać. Płakała ze szczęścia, że widzi syna, którego nie widziała tyle lat, płakała też, że sama sprowadziła na syna nieszczęście.

W oczach krewnych Marian z żoną wyglądają jak burżuje: Marian w garniturze, w krawacie, w kapeluszu. Wiktoria ma ładną bluzkę, modny sweter, dziecko kolorowo ubrane. Prawdziwi burżuje! Marian otwiera walizy, rozdaje prezenty. Wszyscy jak zaczarowani patrzą na czekolady i inne cuda.

Marian nie wiedział, że matkę w Zwenihorodce wezwano na milicję i powiedziano, że nie wolno pisać za granicę, że u nas głód, bieda, przecież to tylko tymczasowe trudności, a będzie to wykorzystywane przez propagandę burżuazyjną na szkodę państwa radzieckiego, a to już kryminał. Potem przestraszonej staruszce podyktowano tekst listu, w zamian tego, który rzuciła rankiem do skrzynki pocztowej. I powiedzieli na pożegnanie:

– Chce towarzyska mieć kontakt z synem, – trzeba pisać, jak my mówimy i niech się, towarzyska, nie niepokoi –



Marian Woźniaczek, Lwów 1930 r.

będzie wiedział synek, że wam tu jest dobrze, będzie spokojny o matkę.

Koledzy Mariana stanowczo odradzali mu jechać do Związku Radzieckiego, tam nie jest dobrze, – mówili. Natomiast Marian pokazywał im list i mówił: – Ja wierzę matce.

Ale ostatecznie podjął decyzję by pojechać do krewnych na początku tylko w odwiedzin. W konsulacie radzieckim we Lwowie przyjęto go bardzo mile, przekonywująco rozpraszając wszystkie jego obawy, ale powiedziano:

– Jeżeli pan chce odwiedzić krewnych w ZSRR, musi pan koniecznie przyjąć obywatelstwo radzieckie. Takie są u nas prawa.

Marian z żoną decydują przyjąć obywatelstwo radzieckie. Marian się cieszy: wnet będzie i on miał pracę i normalne życie, zobaczy matkę i rodzeństwo. W konsulacie Marian z żoną Wiktoria szybko otrzymują dokumenty radzieckie i razem z córeczką Wacławą wyjeżdżają do ZSRR. Późno wieczorem docierają do Zwenihorodki. Po długich poszukiwaniach nareszcie znajdują maleńką, tak wrosłą w ziemię chatę, że okna są tam na poziomie ziemi. Wchodzą. Matka, mocno zestarzała, siostry, brat, wszyscy chudzi, źle ubrani, przy ciemnym świetle naftowej lampy jedzą kolację. Wszyscy ze zdumieniem patrzą na gości.

Za kilka dni Marian otrzymuje pracę pisarza w cukrowni w pobliskiej wsi Bereźno.

Przeszło kilka miesięcy. Nastąpił rok 1933. Głód, wielki głód nasuwał się na Ukrainę. Marian zrozumiał, że trzeba ratować się, trzeba wracać do Polski. Z żoną i dzieckiem jadą do Kijowa i w konsulacie polskim proszą o przywrócenie im obywatelstwa polskiego i o powrót do Polski. Ale nie jest to sprawa szybka do załatwienia. Marian dostaje pracę sekretarza w kijowskim instytucie pedagogicznym. Mieszkają w akademiku, czekają.

Na wiosnę sytuacja żywnościowa w Zwenihorodce bardzo się zaostrzyła. Umarli z głodu leżeli nawet na ulicach. Młodsza siostra Mariana, Mania już nie mogła chodzić. Matka Erazmina, która odmawiała sobie w jedzeniu na korzyść dzieci i wnuków, zaczęła puchnąć z głodu. Starsza siostra Mariana, Bronia płacze i mówi do matki:

– Przebac mi mamo, ja uciekam stąd, muszę ratować synka.

Władek, jej brat mówi:

– Żegnaj, siostró, nie martw się, ja matki i Mani nie zostawię.

Na stacji stoją czerwonarmiści i nikogo nie puszczają do pociągu. Bronia w nowej kolorowej bluzie, którą jej sprezentowała Wiktoria, idzie prosto na nich.

Dopiero w 1995 roku otrzymałem z archiwum kijowskiego wydziału SBU zaświadczenie, że Marian Woźniaczek był aresztowany 15.05.1933 r. za kontrrewolucyjną działalność, cytując z oskarżenia: „pisał do znajomych do Polski listy, opowiadając o głodzie w ZSRR w celu uprzedzenia ludzi, zamierzających przyjechać do Związku Radzieckiego”. Skazano go na 3 lata łagru. I dopiero niedawno w internecie w „Księdze ofiar komunistycznego terroru w ZSRR” znalazłem, że w mieście Kujbyszew, 05.10.1938 roku został rozstrzelany Marian Woźniaczek, syn Stanisława, urodzony w Brodach. Był on oskarżony jeszcze i o szpiegostwo?! W 1989 roku został zrehabilitowany.

– Nie wolno, – mówi czerwonoarmista.

– A mnie wolno, bo jestem nie stąd i dziś wracam do Ojczyzny, – odpowiada Bronia.

I pcha mu pod sam nos paszport obywatela republiki Austriackiej. Czerwonoarmista z zakłopotaniem patrzy na nią. Ładna kobieta, sztywnie ubrana, tak nie podobna do tych obdartych biedaków, co zebrali się dookoła. Dziecko też przyzwyczajone ubrane. Może to krewna kogoś z naczelników.

– Będziecie mieli przykrości, jeśli spóźnię się, – krzyczy do niego Bronia.

Czerwonoarmista cofa się, i Bronia z dzieckiem biegną do pociągu. Uff, udało się, – myśli ona.

Kijów. Bronia wstępuje do instytutu, chcę spotkać się z bratem. On tutaj już nie pracuje, – mówią do niej. Z gabinetu wychodzi jakiś urzędnik.

stwa, mam szansę, – myśli ona, przypominając makabryczne wydarzenia ostatnich dni. Cieszy się, że tyle lat nie ustępowała naciskom władz i nie przyjęła jeszcze obywatelstwa radzieckiego.

Bronia jedzie do Moskwy, do ambasady austriackiej, żeby załatwić sobie wyjazd z ZSRR. Koło ambasady austriackiej w Moskwie ją zatrzymują, rwą na jej oczach dokumenty austriackie i razem z synkiem wywożą na Morze Białe, na wyrąb lasu. Za kilka lat udaje się im wyrwać z tego piekła i po latach tulaczki przed samą wojną wracają do Kijowa. Dowiaduje się, że jej matka, brat Władek i siostra Mania zmarli z głodu w 1933. Nikt nie wie, gdzie są pochowani. Wszyscy boją się nawet wspominać o tym strasznym głodzie. Po wojnie Bronia z dorosłym już synem, moim ojcem, przenoszą się do Lwowa. Bronia

niemieckich. Ale to chyba człowiek z takim samym nazwiskiem? Nasz Marian wtedy miał tylko 39 lat. Próbowałem znaleźć jego żonę Wiktorię, i ich córkę Wacławę. Nic z tego.

Dopiero w 1995 roku, dzięki oddziałowi „Poszuk” przy lwowskim Memoriale otrzymałem z archiwum kijowskiego wydziału SBU zaświadczenie, że Marian Woźniaczek był aresztowany 15.05.1933 r. za kontrrewolucyjną działalność, cytując oskarżenia: „pisał do znajomych do Polski listy, opowiadając o głodzie w ZSRR w celu uprzedzenia ludzi, zamierzających przyjechać do Związku Radzieckiego”. Skazano go na 3 lata lagru. I dopiero niedawno w internecie w „Księdze ofiar komunistycznego terroru w ZSRR” znalazłem, że w mieście Kujbyszew, 05.10.1938 roku został rozstrzelany Marian Woźniaczek, syn Stanisława, urodzony w Brodach. Był on oskarżo-

Czy lewica ma szansę bytu w Galicji?

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst
zdjęcia archiwum „Mytusa”

To pytanie stało się tematem kolejnego posiedzenia Galicyjskiego Klubu Dyskusyjnego „Mytusa”, które odbyło się 16 lipca br. Jak zaznaczył w słowie wstępnym przewodniczący klubu Wołodimir Pawliw: „Nie jest tajemnicą, że Galicja jest najbardziej antykomunistycznym regionem Ukrainy. Mieszkańcy Galicji praktycznie nigdy nie głosowali na lewicę. Większość społecznie aktywnej młodzieży wstępuje do tzn. nacjonalno-patriotycznych organizacji, a inteligencja w życiu publicznym używa wyłącznie retoryki narodowo-patriotycznej. Dlatego jakiegokolwiek rozmowy o politycznej lewicy asocjują się z żydokomuną i są odrzucane, jako wrogię”.

W spotkaniu udział wzięli Wasyl Rasewycz, stali uczestnicy dyskusji i grupa młodzieży o niekoniecznie lewicowych poglądach.

Wstęp do dyskusji stanowiła prelekcja Tamary Złobinej, doktora filozofii, współredaktorki zurnalu „Спільне” (Wspólne), uczestniczki grupy ekspertów platformy dyskryminacyjnej „Krona” i inicjatywy „Feministyczna Ofensywa”. W prelekcji Tamara Złobina wypowiedziała tezę, że rozmowy o lewicy na Ukrainie często zaczynają się z historycznej amnezji, którą wywołała trauma reżymu sowieckiego w XX wieku. Jednak ostatnie 20. lat jest dostatecznym okresem do tego, aby przeanalizować doświadczenia przeszłości i, bazując na problemach teraźniejszości, spojrzeć na rzeczywistość nie przez nacjonalistyczne (obojętne, proukraińskie czy prorosyjskie) okulary.

Ruch lewicy na terenach dzisiejszej Ukrainy zarodził się właśnie w Galicji. To tu, dzięki publikacjom Mychajła Dragomanowa, działalności Romana Rozdolskiego i innych, pojawiły się na naszych terenach pierwsze socjalistyczne grupy edukacyjne. Z czasem przerodziły się one w Partię Komunistyczną Zachodniej Ukrainy, którą rozwiązano w 1938 roku, razem z Komunistyczną Partią Polski. Większość jej działaczy została aresztowana przez Sowietów podczas okupacji radzieckiej (1939-1941) i zlikwidowana. Przyczyną likwidacji (partii i jej członków) były „różnice programowe i pozycje polityczne”. Jako przykład stosunku partii bolszewików do „socjalistów” z Zachodniej Ukrainy przytoczono na spotkaniu przykład rodziny Antona Kruszelnickiego, socjalisty galicyjskiego, który w latach 30 przeniósł się z rodziną do Charkowa (wtedy stolicy USRR – red.), aby wesprzeć tam ruch oświatowy. Po dwu latach działalności został aresztowany i zamordowany przez NKWD.

Błędem oceny współczesnego socjalizmu jest spoglądanie nań przez pryzmat „Krótkiego kursu historii WKP (b)”. Według przytoczonych przez prelegentkę podstawowych twierdzeń Marksa i porównania ich z teorią bolszewików, oba nurty nie mają ze sobą nic wspólnego, chyba tylko nazwy – marksistowsko-leninowska. Podstawowe zasady nauczania Marksa zostały zmienione w 1921 roku, gdy w partii bolszewików została skasowana wolność wewnątrzpartyjna i zamieniono ją „dyscypliną” partyjną, czyli wprowadzono reżym. Całe późniejsze nauczanie „komunistyczne” w ZSRR opierało się na wybranych fragmentach twórczości



Tamara Złobina



Wołodimir Pawliw

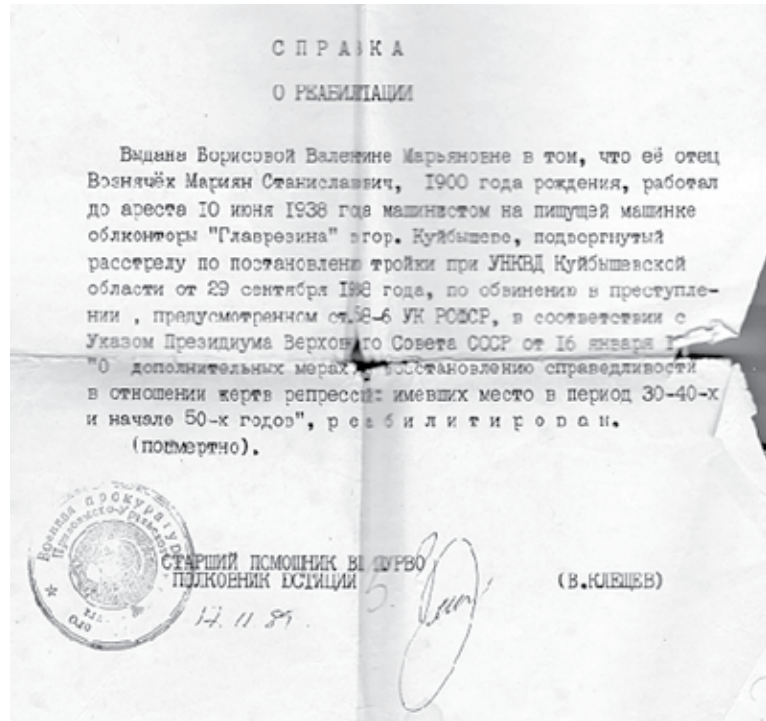
klasyków. Całość teorii klasyków, w tym i Lenina, była zabroniona nawet w Wyższej Szkole Partyjnej.

Analizować współczesny ruch lewicy na Ukrainie (i w Galicji) stojąc na tych pozycjach jest błędem merytorycznym, który popełniany jest przez naukowców kształconych w okresie komunizmu. A współczesna lewica ukraińska stoi obecnie na klasycznych pozycjach. Niestety nie ma warunków, tych z XIX wieku, do powstania silnej platformy socjalistycznej: dużych przedsięwzięć z silną klasą robotniczą i związkami zawodowymi, bezrolnego chłopstwa na wsiach i inteligencji, zdolnej do poświęceń. Brak też funduszy na finansowanie działalności ruchów socjalistycznych. Te ruchy, obecne w polityce Ukrainy, mianujące się lewicą – partie Socjalistyczna i Komunistyczna, tracą zwolenników, przez biznesowe zaangażowanie swoich liderów. Więc podmieniają je organizacje młodzieżowe, głównie feministyczne (Feministyczna Ofensywa) lub studenckie (Socjalny sprzeciw), ograniczające swoją działalność do akcji protestu. Nie są one jednak zdolne do akcji w stylu lat 60-70, które organizowali studenci w Europie, z których to wyrosli współcześni liderzy polityczni. Zabrzmiły wypowiedzi, że globalna sieć, jaką jest internet, też może sprzyjać działalności grup lewackich. Za przykład stawiano rewolucje w krajach arabskich.

Dyskutanci w swoich wypowiedziach analizowali obecną sytuację. Ciekawa dyskusja zawiązała się pomiędzy Wasylem Rasewyczem i Tamara Złobiną. Niestety, stojąc na odrębnych pozycjach, nie zdołali dojść do porozumienia, co podgrzało atmosferę spotkania.

W wyniku dyskusji zarysowała się ciekawa koncepcja. Mianowicie wszyscy się zgodzili się, że jedyną partią w Galicji z socjalnym programem politycznym jest partia „Swoboda”. Ma ona jednak zabarwienie nacjonalistyczne, co w Galicji też nie stanowi novum. W historii Europy były już partie o narodowo-socjalistycznym zabarwieniu. Do czego to doprowadziło wszyscy wiemy.

Kolejna dyskusja 13 sierpnia poświęcona będzie roli rodziny na Galicji też zapowiada się ciekawie.



Zapis w „Księdze ofiar komunistycznego terroru w ZSRR” – w mieście Kujbyszew, 05.10.1938 roku został rozstrzelany Marian Woźniaczek, syn Stanisława, urodzony w Brodach

– Z towarzyszem Marianem Woźniaczkiem wszystko jest jak najlepiej, – mówi do niej, – państwo radzieckie nie może rzucić na pastwę losu człowieka, który przyjechał z zagranicy i jeszcze nie jest przygotowany do nowego życia. Wasz brat, towarzyszeko, otrzymał, dobrą pracę i mieszkanie w jednym z miasteczek blisko Moskwy i wnet napisze list do rodziny. Nie martwcie się.

Bronia nie wie, wierzyć mu, czy nie. Niech Marian sobie pozostaje, ale ja muszę wydostać się z tego pań-

wychodzi z pociągu i caluje ziemię. Zmarła moja babcia Bronia we Lwowie w 1954 roku.

W latach 1960-1970 próbowaliśmy znaleźć Mariana i jego rodzinę, ale bezskutecznie. Pomyślałem, a może on też wrócił do Lwowa i mieszka gdzieś blisko nas, a może już i... zmarł. W archiwum w księdze rejestracji pogrzebów Cmentarza Łyczakowskiego znalazłem zapis, że Marian Woźniaczek, lat 40 – 45, zginął na początku września 1939 roku podczas bombardowań



Marina Korobicyna – wnuczka Mariana Woźniaczka

ny jeszcze i o szpiegostwo?! W 1989 roku został zrehabilitowany.

W mieście Samara (były Kujbyszew), gdzie po lagrach osiedlił się Marian Woźniaczek, mieszka obecnie wnuczka Mariana Woźniaczka – Marina Aleksandrowna Korobicyna. Znalazłem ją przez internet, Opowiadała, jakie ciężkie życie miała żona „wroga narodu”, jej babcia Wiktorcia. Była jak niewolnica u jednego partyjniaka, który bił ją, znęcał się, zmuszał do ciężkich robót, grożąc, że pójdzie w ślad za mężem. Zmarła w 1974 roku. Zawsze marzyła o powrocie do Lwowa. Jej córce imię przerobiono z Wacławę na Walentynę. Ona też już nie żyje. Marina Korobicyna troskliwie przechowuje nieliczne pamiątki i dokumenty z dalekiego przedwojennego polskiego Lwowa. Bardzo by chciała odwiedzić Polskę. Jest zamężna, ma dwoje udanych dzieci i wnuczkę.

Benedykt XVI zaproszony na Ukrainę

KONSTANTY CZAWAGA

W uroczystość Świętych Apostołów Piotra i Pawła, Konferencja Episkopatu Rzymskokatolickiego Ukrainy wystosowała list pasterski zapowiadający I Krajowy Kongres Eucharystyczny, który odbędzie się 26 maja – 4 czerwca 2012 roku w Kijowie i we Lwowie.

„Podczas Kongresu Eucharystycznego będziemy więc dziękować za odzyskaną wolność i możliwość praktykowania wiary, za odradzające się życie religijne, za odnowione struktury i instytucje kościelne, za nowe diecezje, seminaria, domy zakonne, parafie, za

odnowione i nowo wybudowane świątynie, za biskupów, kapłanów, osoby konsekrowane, za wszystkich zaangażowanych w ruchy kościelne, za możliwość rozwinięcia działalności charytatywnej i wychowawczej, za wszystkich wiernych, aktywnie uczestniczących w życiu Kościoła” – pisali biskupi.

Wspominając o męczennikach wiary w tym kraju, których wysoko docenił bł. Jan Paweł II podczas wizyty na Ukrainie w czerwcu 2001 roku, biskupi Kościoła łacińskiego na Ukrainie napisali, że „świadeństwo tych męczenników i bohaterów wiary stanowi dla nas wielkie zobowiązanie, które podczas Kongresu chcemy na nowo przemysleć i podjąć.

„W roku 2012 będziemy świętować 600 lat archidiecezji lwowskiej

– powiedział arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki. „Z okazji jubileuszu chcemy przygotować duchowo wszystkich wiernych naszej archidiecezji” – ogłosił arcybiskup. Punktem kulminacyjnym obchodów będzie Kongres Eucharystyczny. „Z okazji jubileuszu, na ostatnim zebraniu Konferencji Episkopatu obrządku łacińskiego wystosowano zaproszenie do Benedykta XVI, aby odwiedził Ukrainę i nasz Kościół – poinformował abp Mokrzycki. – Teraz czekamy na odpowiedź. Ufam, że do końca listopada Ojciec Święty nam jej udzieli. Kościół na całej Ukrainie bardzo cieszyłby się, gdyby Następca św. Piotra, po bł. Janie Pawle II, również odwiedził nasz kraj”.

TADEUSZ KURLUS

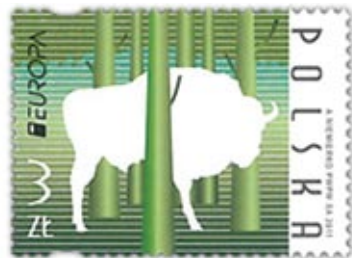
Mówimy nieraz: „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las”. Teraz można to powiedzieć nieco strawestować: „Nie było nas, był las, nie będzie lasu, nie będzie nas”. To prawda, która coraz mocniej przebija się do świadomości społecznej. Chcąc tę tendencję wzmocnić, ONZ ogłosiła rok 2011 „Międzynarodowym Rokiem Lasów”.

Zanim ludzie nauczyli się uprawiać ziemię, co stało się mniej więcej przed 10.000 lat, niemal cała nasza planeta była pokryta lasami. Zajmowały wówczas około 6,2 miliarda hektarów. Dziś rosną już tylko na 3,6 miliarda hektarów. Proces ich wycinania nasilił się w ostatnich kilkudziesięciu latach, dziś dzień w dzień ubywa Ziemi co najmniej hektar zalesionej ziemi. Poza pojedynczymi drzewami, 25 państw nie ma już w ogóle borów, w niemal 20 zajmują one zaledwie 5 procent powierzchni, w 11 – tylko 10 procent. Bezmyślna wycinka trwa, zwłaszcza w krajach tropikalnych Afryki, Azji i Ameryki Południowej. Ale także syberyjska tajga znika w oczach, bo rozpanoszyły się tam chińskie przedsiębiorstwa rąbiące, co się da. Z kolei moda na rozmaite meble ze szlachetnego drewna nasila procesy wylesiania krajów podzwrotnikowych.

Cóż, wszystko to źle wróży Ziemiom. Podcinamy gałąź, na której



Hej, idziem w las!



siedzimy. Bo lasy to ogromne bogactwo planety, to przede wszystkim jej płuca z tą właściwością, że wchłaniają dwutlenek węgla, głównego sprawcę efektu cieplarnianego, w zamian emitując do atmosfery tlen, bez którego życie by zamarło. Poza tym lasy wychwytyją szkodliwe pyły, wytwarzają olejki eteryczne o właściwościach bakteriobójczych, regulują obieg wody w przyrodzie, chronią ziemię przed ero-

zją, w górach przeciwstawiają się lawinom śnieżnym, wyciszają wiatry itd., itp. I jeszcze powtórzmy, że są dostawcą drewna, zarówno tego służącego do celów budowlanych, jak i opałowych, a przy tym – co należy podkreślić – wytwarzają je w sposób czysty, nie angażując do tego nic, poza promieniami słonecznymi. Nie zapominajmy w końcu, że lasy – to ostoja wielkiego bogactwa flory i fauny (są siedliskiem dla

dwóch trzecich (!) wszystkich gatunków zwierząt), które może istnieć tylko w leśnym gąszczu. Że dziesiątki milionów ludzi żyją w lasach, zdani tylko na to, co one mogą im oferować, a pozbawieni ich w ogóle, nie mogliby egzystować (od nich uzależniony jest byt około 1,6 miliarda ludzi), a produkty dostarczane przez nie rocznie mają wartość około 270 miliardów dolarów. Oczywiście, tylko wówczas, gdy się nimi racjonalnie gospodaruje, a nie wycina bezmyślnie drzewostan tylko dlatego, że drewno jest cennym surowcem. Albo zamienia lasy na pola, na których uprawia się rośliny, służące do produkcji biopaliw. To fatalna ekonomia, podyktowana chęcią szybkiego pozyskania doraźnych zysków, niedaleka jest przyszłość, kiedy okaże się, że szkody wyrządzone lasom taką gospodarką wywołają skutki już nie do naprawienia, będą się z nimi borykać przyszłe pokolenia.



Choć w niektórych krajach lasy mają się całkiem dobrze, są wciąż i takie, w których szafuje się tym dobrem bez opamiętania, corocznie nadal znika z globu na zawsze około 130.000 kilometrów kwadratowych lasów, co przekłada się na 40 procent powierzchni Polski! Czy uda się kiedykolwiek wziąć w karby tę bezmyślność?

Gaje, puszcze, knieje są zielonymi oazami, w których możemy spokojnie odetchnąć, wyciszyć się, obcować z przyrodą (niestety, są także ludziska uznający, że lasy są znakomitym miejscem do lokowania w nich



śmieci). Nie zapominajmy również, że gospodarki leśne zatrudniają setki tysięcy pracowników.

Można by z pewnością jeszcze na wielu stronach opisywać, czym są dla nas lasy, ale – jako że obchodzimy Międzynarodowy Rok Lasów – z pewnością pojawi się w środkach przekazu wiele publikacji, uświadamiających nam, jak ważne jest dla nas ich zachowanie. Powtórzmy: „Nie będzie lasów, nie będzie nas!”

W związku z obchodami MRL, chcąc niejako podkreślić jego wagę, Europejskie Stowarzyszenie Publicznych Operatorów Publicznych PostEurop postanowiło, że tematem tegorocznego cyklu emisyjnego „Europa” (któremu patronuje) będzie „Las”. No i mamy mnóstwo pięknych emisji, prowadzących nas w gąszcz młodników, brzezin, chojniałów, dąbrów itd., a także na spotkanie z ich mieszkańcami. Znaczki są udane, jest ich mnóstwo, próbowaliśmy wypatrzyć wszystkie, ale zapewne nam się to nie udało. Tak czy owak: hej, idziem w las!

JANUSZ KANIMIR

W związku z 70 rocznicą tragicznej nocy z 3 na 4 lipca 1941 r., kiedy to Niemcy zbrodniarze aresztowali, a następnie, nad ranem 4 lipca 1941 r. bestialsko zamordowali grono kilkudziesięciu intelektualistów lwowskich, w tym ponad dwudziestu profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki Lwowskiej i innych uczelni Lwowa, odbyło się w Polsce kilka konferencji naukowych i popularno-naukowych.

Zwieńczeniem obchodów rocznicowych było odsłonięcie nieukończonego pomnika w miejscu hitlerowskiej zbrodni na Wzgórzach Wuleckich, czyli w dzisiejszym parku Politechniki Lwowskiej, które – jak pisało w poprzednim numerze – nie odbyło się bez przykrych, skandalicznych i niestety celowych, sądzą, incydentów.

Jedną z inicjatyw była konferencja zorganizowana przez Bratnią Pomoc Akademicką im. św. Jana z Kęt oraz Koło Naukowe Historyków Studentów UJ w dniu 9 czerwca 2011 r., w Sali im. ks. prof. Tischnera UJ. Konferencję poprzedziła Msza święta, odprawiona w Kolegiacie Akademickiej św. Anny przez ks. prof. Franciszka Longchamps de Berier.

70-lecie mordu polskich profesorów we Lwowie w konferencjach naukowych



Zgromadzeni w auli wysłuchali referatów: prof. Jerzego Wyrozumskiego, sekretarza generalnego Polskiej Akademii Umiejętności, który szczegółowo omówił okoliczności i konsekwencje zbrodni. Następnie dr Elżbieta Orman przedstawiła mord na profesorach Lwowskich w relacjach prof. Karoliny Lanckorońskiej. Trzecim referentem był

dr Adam Redzik, który przybliżył przedwojenny Lwów oraz lwowski ośrodek naukowy sprzed II wojny światowej, a także losy nauki lwowskiej w latach wojny. Na zakończenie sesji przemówił dr Jan Longchamps de Berier, syn ostatniego rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza prof. Romana Longchamps de Berier, zamordowanego przez hitlerowców wraz z trzema pełnoletnimi synami: Bronisławem, Zygmuntem i Kazimierzem. Dr Jan Longchamps de Berier był trzynastoletnim świadkiem aresztowania, o którym we wzruszającej formie opowiadał zgromadzonej braci studenckiej i innym słuchaczom. Po pytaniach z sali i przerwie wyświetlono film Pawła Woldana pt. „Portret Damy. Karolina Lanckorońska”.

Sesję popularnonaukową pt. „Mord na profesorach wyższych uczelni Lwowa w lipcu 1941 r.” zorganizował też warszawski IPN. Odbyła się ona w Centrum Edukacyjnym OIPN „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 21/25. Wygłoszono na niej sześć referatów. Dr Adam Redzik z UW przeniósł słuchaczy do przedwojennego Lwowa ukazując miasto jako tolerancyjne, przyjazne i przyjemne,

a przede wszystkim niezwykle twórcze naukowo, czego przykładem były liczne znakomite szkoły naukowe. Następnie dr Maria Wardzyńska z IPN szczegółowo omówiła hitlerowską akcję „Inteligencja”. Z kolei Tomasz Soduł z IPN mówił o nauce polskiej w sowieckim Lwowie, a dr Piotr Łysakowski z IPN przedstawił samą egzekucję na lwowskich profesorach przywołując akta prowadzonych śledztw, w tym zeznania świadków. W kolejnym referacie Maciej Żuczkowski z IPN przywołał trzy sylwetki profesorów zamordowanych w lipcu 1941 r. we Lwowie: Romana Longchamps de Berier, Romana Renckiego oraz Włodzimierza Stożka. Ostatni referent dr Sławomir Kalbarczyk z IPN przedstawił interesujący wykład na temat ostatniej ofiary zbrodni na profesorach lwowskich w lipcu 1941 r. prof. Kazimierza Bartla – wybitnego uczonego, a także znanego polityka i kilkakrotnego premiera rządu polskiego. Po referatach miała miejsce inspirująca dyskusja z udziałem słuchaczy.

Godna odnotowania jest też inicjatywa kustosz Muzeum Wincentego Pola w Lublinie p. Grażyny Połu-

szejko, która przygotowała w Dworcu Pola w Lublinie wystawę na temat rodziny Longchamps de Berier, w tym prof. Romana Longchamps de Berier. Otwarcie wystawy, w której uczestniczyła rozsiana dziś po Europie rodzina Longchamps de Berier, w dniu 17 czerwca 2011 r. została poprzedzona mszą świętą w Archikatedrze Lubelskiej odprawioną w intencji rodziny i pomordowanych profesorów lwowskich uczelni w 1941 r. oraz złożeniem kwiatów pod pomnikiem upamiętniającym zamordowanych profesorów, który znajduje się przed Biblioteką Główną Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Wystawę można zwiedzać do października 2011 r., a towarzyszy jej pięknie wydany kolorowy album przybliżający dzieje rodziny oraz bogaty w ilustracje pamiętek rodzinnych.

W obchody zbrodni na uczonych lwowskich wpisuje się też zapowiedziana na wrzesień 2011 r. polska wersja książki Dietera Schenka o mordzie na polskich profesorach, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Wysoki Zamek.

Historia zakodowana w symbolach

HERALDYKA ODKRYWA SWOJE TAJEMNICE

WITO NADASZKIEWICZ

W heraldyce nie ma przypadkowych symboli. Każdy element rodowego herbu, godła cechowego, organizacji, miasta i państwa ma swoje znaczenie. Żadnych elementów, nie można było „domalowywać” na własne życzenie, a każdy oznaczał przywileje i nagrody, którymi mógł poszczycić się ród czy gromada miasta. Z czasem herby się zmieniały, wzbogacały dodatkowymi elementami. W ten sposób symbole heraldyczne mogą otwierać długą i ciekawą historię, zawartą w postaciach, czasem fantastycznych, przeważnie niezrozumiałych bez dodatkowego wyjaśnienia.

Swoją długą historię ma również herb Lwowa. Ale ile razy nie zmieniałby się, zawsze jego podstawowym elementem jest lew – symbol naszego miasta. Lwów w tym nie jest oryginalny, bo lew i orzeł – są najpopularniejszymi heraldycznymi zwierzętami. Lewy różny – stojące, chodzące, leżące, siedzące można spotkać na herbach Anglii, Czech, Normandii, na emblematkach firm Peugeot i Grawe. Od 1949 roku niebieski lew na tle złocistej zachodniej ściany świątyni stał się symbolem Jeruzolimy.

Badacze nie mogą jednomyślnie określić skąd na tarczę herbową Lwowa trafiło to szlachetne zwierzę. Może jako król zwierząt, może symbol księcia Lwa, a może to dawny pogański bożek czczony w tych okolicach, na długo przed chrześcijaństwem, przybyłym z Wielkich Moraw. Jak by tam nie było, to żaden inny zwierz nie mógłby symbolizować miasta o nazwie Lwów.

Początkowo, lew – symbol naszych terenów, wdrapywał się na skałę. Gdy przeniósł się na dobre do miasta, otoczono go symboliką miejską – teraz spoglądał z bramy miejskiej z trzema wieżami, mocno stojąc na tylnych łapach – jak na mieszczanina przystało. Miejskie powietrze czyni wolnym – mówiono w średniowieczu. W ten sposób nasz lew zwolnił się ze zwierzęcego przyzwyczajenia chodzenia na czterech łapach.

Oficjalne nadanie miastu powyższego herbu odbyło się w 1526 roku z rąk króla Zygmunta I. Jednak herb ma dawną historię, sięgającą czasów księcia Lwa i Kazimierza Wielkiego, który w połowie XIV wieku otrzymał miasto od ostatniego suwerena księcia



Herb Lwowa z okresu sowieckiego



Przedwojenny herb Stołecznego Królewskiego Miasta Lwowa

Bolesława Jerzego II. Król prowadził intensywną politykę budowlaną i, jak mówiono, „zastał kraj drewniany, a pozostawił murowany”. Kazimierz budował świątynie, fortece i mury miejskie, między innymi również lwowskie. Tak, że mogła powstać brama miejska z trzema wieżami, takimi jakie widzimy na herbach Krakowa, Wrocławia, Piotrkowa, Sokala.



Herb Jeruzolimy

Trzeba zaznaczyć, że początkowo mur nie był złoty, jak teraz czy „jakiś różowy” (jak określali go rozpolitykownicy specjaliści w latach 90.), a czerwony i czarny. Ten kolor odzwierciedlał prawdziwy kolor średniowiecznej cegły, ale i symbolizował miłość mieszkańców do swego miasta. Bo w tamtych czasach prac budowlanych nie rozpatrywano jako szybkiego i łatwego sposobu zarobku z kasy miejskiej.

W 1586 roku herb był wzbogacano o trzy pagórki (Monte Vaticano), symbolizujące Watykan i były włożone w łapę lwa. Nad wzgórzami świeciła srebrna ośmiokątna gwiazda. Taką dekorację dodał miastu papież Sykstus V za szczególne trwanie przy wierze chrześcijańskiej. Takie pagórki i gwiazda były na herbie samego papieża.

Z czasem na herbie pojawiła się korona. Dodano ją nieprzypadkowo, bo Lwów cieszył się szczególnym szacunkiem. Jeszcze w średniowieczu nadano mu prawo magdeburskie i Lwów stał się miastem królewskim – niezależnym od władzy magnatów. W 1658 roku odbyła się nobilitacja miasta (od łacińskiego „nobilus” – szlachetny) – zrównanie obywateli miasta ze szlachtą. Wtedy też miasto zrównuje się z Krakowem i Wilnem, jako

miasto stołeczne. W XIX i początku XX wieku Lwów jest stolicą największego koronnego kraju w imperium austro-węgierskim – Królestwa Galicji i Lodomerii z namiestnictwem w „białym domu” na ulicy Pańskiej (dziś administracja wojewódzka), sejmem (główny gmach uniwersytetu), licznymi urzędami, sprawującymi władzę od Śląska do Ukrainy. W dokumentach, na pieczętkach, w tytułach gazet mianował się nie inaczej jak „Stołecznym Królewskim Miastem”. Nie jakimś tam prowincjonalnym „grodem książęcym”, jak ktoś nazywa go teraz.

Także w roku 1658 papież Aleksander VII nadał Lwowowi, jako jedynemu polskiemu miastu, które nie uległo protestantowi, szwedzkiemu królowi Karolowi X Gustawowi, prawo nosić miano „Semper Fidelis” – zawsze wierny. Te dwa słowa wypisano na wstęgach po bokach tarczy herbowej. To hasło ma w swoim herbie piechota morska USA, watykańska Gwardia Szwajcarska, angielskie miasto Exeter i inne.

Oprócz tytułu, miasto, jak inne miasta europejskie, miało i swój sztandar – czerwono-niebieski. Dlatego wstęgi z napisem „Semper Fidelis” mają odpowiednie barwy. Barwy lwowskie unosiły się nad Ratuszem aż do 1990 roku, jednak symbolizowały w czasach komunistycznych nie Lwów, ale radziecką Ukrainę.

Ostatnim elementem herbu jest symbol odwagi wojskowej – Krzyż Virtuti Militari, nadany miastu po zakończeniu wojny polsko-ukraińskiej. Widzimy go pod tarczą. Order ustanowiony przez Stanisława Augusta Poniatowskiego był odznaczeniem wojskowym. Lwów był pierwszym miastem nagrodzonym tą odznaką, stając się odpowiednikiem późniejszych radzieckich miast-herosów. Niedługo w ten sam sposób doceniono heroizm francuskiego Verdun.



Współczesny herb Lwowa

Wszystkie te elementy herbu były wyrzucone z oficjalnego herbu miasta w czasach komunistycznych. Nie powrócił Lwów do tradycji i w czasach wolnej Ukrainy. Zepsute zostało nawet to, co zdawało się, pozostanie nietykalnym – dumnie stąpający lew. Od silnego uderzenia w plecy spadł on na cztery łapy, stając się znów dzikim zwierzęciem. Jednak, myślę, że powstanie i przed nikim więcej nie będzie padał na kolana.

KG

PIOTR MALCZUK ARCYBISKUPEM W KIJOWIE

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

15 czerwca br. Watykan powiadomił, że ze względu na wiek 76-letni biskup Jan Purwiński złożył rezygnację z posługi pasterskiej w diecezji kijowsko-żytomierskiej obrządku łacińskiego na Ukrainie. Przyjmując ją, Benedykt XVI mianował tam ordynariuszem dotychczasowego biskupa pomocniczego łacińskiej diecezji odesko-symferopolskiej Piotra Herkulana Malczuka OFM. Jednocześnie, papież przyznał mu godność arcybiskupa tytularnego „ad personam”. To znaczy, że Jego Ekscelencja Piotr Malczuk jest arcybiskupem, a status diecezji kijowsko-żytomierskiej pozostaje bez zmian.

Piotr Malczuk urodził się 7 lipca 1965 roku w Słobodzie Raszowskiej, na terenie Mołdawii. Obecnie ta miejscowość znajduje się w separatystycznej Republice Naddniestrzańskiej. Jego rodzinna wioska, co najmniej od połowy XVIII wieku, jest w tym kraju ostoją wiary katolickiej i polskości. Za czasów „pierestrojki”, po ukończeniu szkoły średniej, Piotr Malczuk wstąpił do rzymskokatolickiego seminarium duchownego w Rydze, na Łotwie. 7 czerwca 1992 roku otrzymał święcenia kapłańskie z rąk biskupa kamieniecko-podolskiego Jana Olszańskiego.

W latach 1992 – 1998 studiował w Rzymie, na Papieskim Uniwersytecie „Antonianum”, gdzie uzyskał doktorat z duchowości. Jeszcze podczas studiów seminaryjnych rozpoczął nowicjat w tajnym wówczas na Ukrainie zakonie Braci Mniejszych (franciszkanów – bernardynów), przyjmując imię Herkulan. W rok po święceniach, złożył w nim śluby wieczyste.

Po powrocie na Ukrainę pracował w diecezji kamieniecko-podolskiej. Przez rok był wikarym w parafii w Połonnym (1998-99), a następnie przełożonym kustodii św. Michała Archa-



niola. Rozwinął ją do samodzielnej prowincji zakonnej (2004) i został jej pierwszym przełożonym. Prowadził też wykłady w nowicjacie zakonnym w Baranówce, a od 2007 r. był ekonomem prowincji.

29 marca 2008 Ojciec Święty Benedykt XVI mianował ojca Piotra Malczuka biskupem pomocniczym diecezji odesko-symferopolskiej. 5 listopada 2008 roku w katedrze odesskiej otrzymał święcenia biskupie z rąk kardynała Mariana Jaworskiego (współkonsekratorzy – arcybiskup Ivan Jurkovič i biskup Bronisław Bernacki). Zawołaniem biskupim JE Piotra Malczuka są słowa z Reguły św. Franciszka: „Posiąć Ducha Pańskiego”. Arcybiskup zna języki: polski, ukraiński, rosyjski, włoski, niemiecki, łotewski. Ingres abpa Malczuka odbędzie się 6 sierpnia w konkatedrze św. Aleksandra w Kijowie.

Życzymy księdzu arcybiskupowi Piotrowi Malczukowi wytrwałości, sił oraz błogosławieństwa Bożego w rozbudowie Kościoła Kijowsko-Żytomierskiego!

HIERARCHOWIE KATOLICCY NA UKRAINIE



26 czerwca. Lwowskie lotnisko. Hierarchowie trzech Kościołów katolickich na Ukrainie: Słowak – ordynariusz grekokatolickiej eparchii (diecezji) mukaczowskiej sui iuris (swego prawa) biskup Malan Šašik, Polak – przewodniczący Konferencji Biskupów Rzymskokatolickich Ukrainy arcybiskup metropolita lwowski Mieczysław Mokrzycki i Ukrainiec – arcybiskup większy kijowsko-halicki Ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego Światosław Szewczuk w rozmowie z sekretarzem generalnym Synodu Biskupów z Watykanu arcybiskupem Nikołą Eterovičem, który jest z pochodzenia Chorwatem (drugi od prawej).

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

Humor żydowski

Pytanie odpowiedź

Żyd zapytany przez chrześcijanina:
- Dlaczego Żydzi na pytanie zawsze odpowiadają pytaniem?
Odpowiedział:
- A dlaczego by mieli nie odpowiadać pytaniem?

Przed sądem

Przed sądem zeznaje świadek Żyd. Sędzia wypytuje personalia:
- Czym się świadek zajmuje?
- Ja się kręcę proszę pana sędziego – odpowiada Żyd.
- I z tego świadek żyje? – pyta sędzia.
- Tak, proszę pana sędziego.
- Bardzo świadka przepraszam – mówi zdenerwowany sędzia.
- Może mi świadek powie: a jeśli ja się będę kręcił, to czy ja też z tego będę żył?
- Nie, panie sędzio, ale jak ja się będę kręcił koło pana sędziego, to i pan sędzia będzie żył i ja też.

Milioner w Berdyczowie

Znany bogacz, Rosen, zatrzymał się na noc w Berdyczowie. Zasiadając do kolacji w miejscowym zajęz-dzie zamówił jajecznicę. Kiedy doszło do płacenia rachunku, ze zdziwieniem stwierdził, że za jajecznicę policzono mu 100 rubli. Zawołał więc właściciela zajazdu i pyta go:
- Powiedz mi gospodarzu, czy jajka są u was aż taką rzadkością, że jajecznica kosztuje 100 rubli?
- Nie, jajka nie są u nas rzadkością – odpowiedział karczmarz – ale milionerzy.

Lichwiarz Pines poucza swego syna:

- Powiedz no, lconiu, co byś zrobił znalazłszy na ulicy dziesięć złotych?
- Schowałbym do kieszeni.
- Nie, tak się nie postępuje, synu! Jeśli znajdziesz dziesięć złotych, to zanieś je na policję. Tam ciebie pochwalą, dadzą jednego złotego jako znaleźne i powiedzą: „Icek Pines to porządny człowiek”.
- Dobrze, tatę.
- A powiedz mi, synu, co byś ty zrobił znalazłszy dziesięć tysięcy dolarów?
- Zaniósłbym je na policję, tam by mnie pochwalili, dali tysiąc dolarów jako znaleźne...
- Nigdy w świecie – przerywa mu ojciec. – Jeśli znajdziesz taką sumę pieniędzy, schowaj je do kieszeni!
- Tatę – protestuje syn – to oni przecież nie powiedzą: „Icek Pines to porządny człowiek”.
- Oj, głupi! Jak masz w kieszeni dziesięć tysięcy dolarów, to ty potrzebujesz być porządnym człowiekiem?

ZAPRASZAMY DO PRACY W POLSCE

Czterogwiazdkowy hotel „Prezydent” Medical SPA & Wellness w miejscowości Krynica Zdrój zaprasza do pracy z Ukrainy: kucharzy z doświadczeniem zawodowym i pokojówki.
Gwarantujemy wysokie pensje i zakwaterowanie.
CV prosimy przysłać na adres mailowy: hotelprezydent.krynica@gmail.com
Nasz adres: ul. Nowotarskiego 3, 33-380 Krynica Zdrój, Polska
Tel: +48 184736500

Запрошуємо на роботу в Польщу

Чотирихвізковий готель „Президент” Medical SPA & Wellness у курортній місцевості Криница Здруй запрошує на роботу з України: досвідчених кухарів та покоївок.
Гарантуємо високооплачувану роботу, забезпечуємо житлом.
Резюме просимо надсилати на е-мэйл адресу: hotelprezydent.krynica@gmail.com
Наша адреса: вул. Новотарського 3, 33-380 Криница Здруй, Польща
Тел: +48 184736500

Работа в Польше

Четырехзвездочная гостиница „Президент” Medical SPA & Wellness, Крыница Здруй, примет на работу опытных поваров, помощников повара, а также горничных из Украины. Гарантируем высокую зарплату, а также предоставим жилье.
Резюме просьба присылать на адрес электронной почты: hotelprezydent.krynica@gmail.com.
Наш адрес: ул. Новотарского 3, 33-380 Крыница Здруй, Польша
Телефон: +48 18473 65 00

ZAPROSZENIE DO UDZIAŁU W OBCHODACH 70. ROCZNICY MORDU INTELIGENCJI POLSKIEJ

Stanisławów 1941 – sierpień – 2011

Towarzystwo Kultury Polskiej „Przyjaźń” w Stanisławowie zaprasza na uroczyste obchody 70. tragicznej rocznicy mordu inteligencji polskiej, dokonanej w 1941 roku przez hitlerowców, w Czarnym Lesie, w pobliżu wsi Pawelcze, pod Stanisławowem.

Patronat nad uroczystościami obejmuje Konsul Generalny RP we Lwowie.

Uroczystość odbędzie się w sobotę, 6 sierpnia 2011 r.

Zapraszamy wszystkich Państwa do udziału w uroczystości, która rozpocznie się Mszą św. o godz. 10.00 (czasu ukraińskiego) w kościele p.w. Chrystusa Króla (ul. Wowczywiecka, 92) za ofiary zbrodni hitlerowskiej.

O godz. 12.00 w Czarnym Lesie rozpocznie się nabożeństwo z udziałem duchowieństwa różnych wyznań, przedstawicieli władz państwowych Polski i Ukrainy, delegacji organizacji polskich z Ukrainy, gości z Polski, Anglii, przedstawicieli mediów.

Przewidziano złożenie wieńców, kwiatów i zapalenie zniczy przy pomniku oraz przemówienia uczestników uroczystości.

Uprzejmie prosimy o poinformowanie Towarzystwa do 15 lipca br. o swoim udziale w uroczystości.

Tel. kontakt. 00380 (342) 53 71 52, 53 75 73
tel./fax 00380 (342) 778780
stanislawow.tkp@gmail.com

Zarząd TKP „Przyjaźń”

List do redakcji

XIV DNI LWOWA W POZNANIU

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu organizuje w dniach od 9 do 11 września 2011 r. XIV DNI LWOWA.

W czasie obchodzonych w Poznaniu już od 14 lat „Dni Lwowa” staramy się, oprócz części rozrywkowej, przekazać również wiadomości z życia kulturalnego, naukowego oraz inne informacje z dawnego polskiego Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Były już prelekcje i skromne wydawnictwa (na miarę naszych możliwości finansowych) o muzyce, sporcie, architekturze, o satyrykach i kpiarzach lwowskich, tak zwanych luminarzach humoru lwowskiego i szereg innych.

W tym roku chcemy przybliżyć malarstwo. Nie tylko dawnych mistrzów kresowych, ale również współczesnego Lwowa. Otwarcie wystawy nastąpi w dniu 11 września br. na dziedzińcu Muzeum Archeologicznego w Poznaniu. Zostaną wystawione reprodukcje obrazów dawnych mistrzów oraz obrazy współczesnych malarzy lwowskich, między innymi Walerego Bortiakowa, Władysława Maławskiego, Jadwigi Pechaty. Prelekcję wygłosi Władysław Maławski ze Lwowa.

Dzień wcześniej, 10 września br., w Domu Wspólnoty Polskiej wystąpi prof. dr hab. Stanisław Nicieja z prelekcją „Ogród snu i pamięci – dzieje Cmentarza Łyczakowskiego i ludzi tam spoczywających w latach 1786 – 2010”. Będzie to zarazem poranek autorski, ponieważ ukazała się nowa księga autorstwa Stanisława Nicieji o Cmentarzu Łyczakowskim, prezentująca nie tylko 4820 nazwisk osób spoczywających na tej nekropolii, ale również twórców wspaniałych licznych pomników nagrobnych. Książkę będzie można nabyć podczas spotkania.

Tego samego dnia o godz. 17:00 odbędzie się uroczysta inauguracja XIV Dni Lwowa. W czasie tej uroczystości prof. Stanisław Nicieja zostanie wyróżniony, przyznawaną i ufundowaną przez nasze Towarzystwo, statuetką lwa „Semper Fidelis”. Wyróżnienie to otrzymały już w poprzednich latach cztery osoby: minister Andrzej Przewoźnik, prof. dr hab. Andrzej Stelmachowski, p. Szczepan Siekierka oraz T. Tomkiewicz zasłużony członek naszego Towarzystwa.

W części artystycznej wystąpi zespół „Sześć Złotych” ze Lwowa oraz „Tyli-gentne Batiary” z Bytomia.

Niedziela 11 września br. rozpoczniemy Mszą św. w bazylice kolegiackiej. Potem nastąpi, jak już wspomniałam wyżej, otwarcie wystawy malarskiej w pobliskim muzeum archeologicznym. Natomiast na Starym Rynku, od godziny 11.30 trwać będzie tak zwany „Piknik Lwowski”, podczas którego wystąpią zespoły kresowe i zapewnione będą także inne atrakcje.

W dniu 12 września br. zespoły wyjadą do Leszna, gdzie rozpoczęte „Dni Lwowa” będzie kontynuował Leszczyński Oddział Towarzystwa.

Wszystkich chętnych serdecznie zatem zapraszamy do Poznania na „XIV DNI LWOWA”.

Bożena Łączkowska, Poznań, 3 lipca 2011

Poszukujemy pracowników

Agencja Pracy poszukuje: górników ze znajomością języka polskiego, a także pracowników budowlanych, spawaczy, pracowników bez kwalifikacji.

Kontakt: +48717879815,+48717879816
lub 0664191758

zgłoszenia poprzez: www.bcj-konsalting.eu

Ogłoszenie

Pracownik naukowy, zbierający materiały do swej pracy, prosi o wiadomości dotyczące osoby DOBIESŁAWA ŻARDECKIEGO (1853-1924), urodzonego w Wiszniowie, powiat Rohatyn, województwo stanisławowskie, posła na Sejm Galicyjski, działacza społecznego.

Osoby, posiadające jakiegokolwiek materiały, publikacje czy informację o Dobiesławie Żardeckim, proszone są o kontakt pod adresem:

Daniel Reniszewski
37-100 Łańcut, ul. Zielona 31
tel.:+48695246606, mail: danren1@wp.pl

REKLAMA W KURIERZE GALICYJSKIM

ПЕРША СТОРІНКА
PIERWSZA STRONA

1 cm² – 8,50 грн.
1 cm² – 8,50 UAH
повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm² – 6,00 грн.
1 cm² – 6,00 UAH
повноколірний
pełny kolor

ВНУТРІШНІ СТОРІНКИ
STRONY WEWNĘTRZNE

1 cm² – 4,50 грн.
1 cm² – 4,50 UAH
чорно-білі
czarno-białe

ОСТАННЯ СТОРІНКА
STRONA OSTATNIA

1 cm² – 7,50 грн.
1 cm² – 7,50 UAH
повноколірний
pełny kolor

Na zlecenie
naszych klientów
umieszczamy
ogłoszenia w
prasie ukraińskiej

Ogłoszenia
niekomercyjne,
po uzgodnieniu
z redakcją,
mogą być drukowane
nieodpłatnie

WESPRZYJMY POWSTANIE DOMU POLSKIEGO W MOŚCISKACH

Szanowni Rodacy!

W związku z realizacją projektu powstania Domu Polskiego w Mościskach, Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Oddział w Mościskach zwraca się z ogromną prośbą do wszystkich ludzi dobrej woli i wielkiego serca o wsparcie tego projektu.

Mamy nadzieję, że nowopowstały Dom Polski stanie się wizytówką Polski i Polaków w Mościskach, miejscem inicjatyw i spotkań Polaków mieszkających na Ukrainie, miejscem rozwoju kultury i tradycji naszych przodków.

Wpłaty można dokonywać na konto:

Rekwizyty bankowe:

Мостиський Відділ Товариства Польської Культури

Львівщини, вул. Міцкевича 13, Мостиська

Р/р 26003301495

Мостиський Ощад Банк

МФО 385208, ЗКПО 26256843

Благодійна допомога на „Польський Дім” в Мостиськах



Szczere kondolencje składamy

Michałowi Dworczykowi,
członkowi Zarządu Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”

z powodu śmierci Ojca.

Łączymy się w bólu z rodziną Zmarłego.

Zarząd Federacji Organizacji Polskich
na Ukrainie



MICHAŁOWI DWORCZYKOWI
i całej jego rodzinie

Szczere wyrazy współczucia
z powodu śmierci Ojca

składa zespół redakcyjny
„Kuriera Galicyjskiego”



Wyrazy szczerego współczucia i żalu składamy
dzieciom i wnukom

śp. DANUTY PATYJ

która odeszła od nas na zawsze 23 lipca br.

Członkowie chóru „Lutnia”
oraz słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku
we Lwowie

POLSKIE RADIO PRZEZ SATELITĘ

Czas warszawski

07.00 - 07.59 SAT

09.00 - 09.59 SAT

12.30 - 12.59 mkHz

31.769445 41.187285 SAT

17.30 - 18.29 mkHz

48.856140 SAT

23.00 - 23.59 mkHz

49.586050 31.059660 SAT

00.00 - 00.59 SAT

SAT - program Polskiego

Radia dla Zagranicy

rozpowszechniany jest

w systemie DVB przez

satelitę HOT BIRD,

pozycja orbitalna 13æE,

częstotliwość odbiorcza

10,892 Ghz, polaryzacja

pozioma (H) FEC,

SR 27500, Audio PID 119.

Audycje Polskiego Radia

dla Zagranicy emitowane

są przez platformę cyfrową

Cyfra+

Ukraina - Lwów - Radio

Niezależnist UKF 106,7

MHz - Winnica - Radio TAK

103,7 FM - Chmielnicki -

Radio Podilla Center 104,6

FM- Równie - Radio Kraj

68,2 FM- Żytomierz - Radio

Żytomyrska Chwyła 71,1

FM

i 103,4 FM - Dibrowica -

Radio Melodia 105,3 FM

AUDYCJE O POLAKACH NA UKRAINIE W RADIU OPOLE

Kliknij: <http://www.radio.opole.pl/modules/akcje/ukraina/>

Do poprawnego odtworzenia audycji polecamy program WinAmp. Do pobrania ze strony: **www.winamp.com**

Klikając na: **<http://www.radio.opole.pl/modules/akcje/ukraina/>**

można posłuchać o osobach, związanych ze Stanisławowem.

Radio Wnet

Radio Wnet – słycać nas od 7:07 – 9:00 w dni powszednie, w piątki 7:07 – 10:00 na falach **106,2 fm** lub bezpośrednio z naszej strony internetowej **www.radiownet.pl** – po wejściu na zakładkę menu „słycaj”. Jest tam również rozpisana ramówka radia.

W czasie audycji Krzysztofa Skowrońskiego jesteśmy osiągalni na Skype: **radiownet.antena**. Prosimy słuchaczy o sygnalizowanie swojej obecności na Skype.

Zasięg przez radio – Warszawa i okolice. W pozostałych regionach prosimy o słuchanie nas przez Internet.

JAK SŁUCHAĆ POLSKICH AUDYCJI NA UKRAINIE

„Lwowska Fala” – autorska audycja Danuty Skalskiej jest nadawana w każdą niedzielę od godz. 8.10 czasu polskiego na antenie

Polskiego Radia Katowice. Powtórka audycji – w niedzielę o 1.00 w nocy. W porze emisji można także słycać „Lwowskiej Fali” na stronie internetowej Polskiego Radia Katowice: **www.radio.katowice.pl**, a wszystkie archiwalne nagrania są dostępne na stronie internetowej Światowego Kongresu Kresowian: **www.kresowanie.com**

Radio Lublin na 103,2 i 99,6 MHz słycać bardzo dobrze aż po Lwów (we Lwowie już nie).

Polskie Radio Warszawa I - na falach długich 225 kHz.

Polskie Radio Lwów

Zachęcamy też wszystkich do słuchania Polskiego Radia Lwów (ze Lwowa) w każdą sobotę od godz. 8.00 do godz. 12.00 (czasu polskiego) oraz w niedzielę od godz. 18.15 do 20.15 na fali: <http://www.radio-n.com/eng/OnAir/onair.htm>.

W eterze program jest nadawany na fali 106,7 FM (Radio „Niezależnist”) i jest dobrze słycałny w promieniu 100 km od Lwowa.

Radio Polonia (godz. 18.30 – czasu miejscowego)

- Lwów – Radio Niezależnist UKF 106,7 MH

- Winnica – Radio TAK 103,7 FM

- Chmielnicki – Radio Podilla Center 104,6 FM

- Równie - Radio Kraj 68,2 FM

- Żytomierz – Radio Żytomyrska Chwyła 71,1 FM i 103,4 FM

Radio Maryja: Chelm 102,8; Hrubieszów 95,8; Lubaczów 102,3; Przemyśl 105,1; Ustrzyki Dolne 94,5

Włodawa 104,5; Rzeszów UKF 104, 5

KURIER galicyjski

«КУР'ЄР ГАЛІЦІЙСЬКИЙ»

REDAKCJA:

Skrytka pocztowa (a/c) nr 80

Iwano-Frankiowski 76000,

абонентська скринька №80

siedziba gazety:

Iwano-Frankiowski 76002

ul. Iwasiuka 60,

Івано-Франківськ

вул. Івасюка 60

tel. redakcji w Stanisławowie:

+38 (0342) 71-38-66

tel./faks redakcji we Lwowie:

+38 (032) 261-00-54

e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl

konto bankowe na Ukrainie:

WAT „KREDOBANK”

r/r 2600401025253

ПП Ровіцкі М.М.

Код ЄДРПОУ 1965816635

р/р 2600401025253 в ІФФ ВАР

«КРЕДОБАНК»,

м. Івано-Франківськ

МФО 336161

Świadectwo rejestracji

Seria KW nr 12639-1523 R

wydane 14.05.2007

Свідоцтво про державну реєстрацію

Серія KB № 12639-1523 P

від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:

Miroslaw Rowicki

Засновник і видавець

M. M. Ровіцкі

Skład redakcji:

Marcin Romer:

redaktor naczelny

e-mail: zgrodurevery@wp.pl

Maria Basza:

zastępcza red. naczelnego, dział foto-

reportażu oraz dział grafiki komputerowej

e-mail: mariabasza@wp.pl

Konstanty Czawaga

e-mail: konstantyczawaga@wp.pl

Sabina Różycka

e-mail: pluglem@wp.pl

Krzysztof Szymański

e-mail: krzszymanski@wp.pl

Julia Łokietko

julietta.stella@gmail.com

Natalia Kostyk

e-mail: nataliakostyk@wp.pl

dział informacji regionalnej

i reportażu.

Jurij Smirnow:

dział kulturalno-historyczny.

Stale współpracują:

Agnieszka Sawicz, Beata Kost, Joana

Demcio, Elżbieta Lewak, Eustachy

Bielecki, Szymon Kazimierski, Alek-

sander Niewiński, Michał Piekarski,

Irena Kulesza, Piotr Janczarek, Tadeusz

Olszański, Tadeusz Kurlus,

Jacek Borzęcki, Renata Kłęczkańska,

Maciej Dęboróg-Bylczyński, Wojciech

Krysiński, Aleksander Szumański,

Włodzimierz Osadczy, Taras Prochaś-

ko, Dorota Jaworska, Olga Ciwkacz,

Wojciech Grzelak, Zbigniew Klimec-

ki, Zbigniew Lewiński, Eugeniusz

Niemiec, Barbara Stasiak, Katarzyna

Łoza, Dmytro Antoniuk, Tadeusz Zu-

biński, Zbigniew Kulesza i inni.

Drukujemy również teksty autorów,
z którymi się nie zgadzamy!

Pismo wspierane przez Senat RP za
pośrednictwem Fundacji Pomoc Polakom
na Wschodzie.

Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam
redakcja nie ponosi odpowiedzialności,
nie zamówionych rękopisów nie zwraca
i pozostawia sobie prawo do skrótów.

ТЗОВ Видавничий Дім «Молода
Галичина».

Indeks na prenumeratę 98780

Індекс передплати 98780

Газета виходить 2 рази на місяць

JESTEŚMY POLSKĄ FIRMĄ BUDOWLANĄ Z BRANŻY KOLEJOWEJ

Realizujemy przedsięwzięcia z zakresu budownictwa kolejowego i inżynierskiego. Dzięki zaangażowaniu naszych pracowników wykonujemy prestiżowe projekty budowlane.

OBECNIE POSZUKUJEMY DO PRACY W POLSCE KANDYDATÓW NA STANOWISKO

1. SZEFÓW PROJEKTÓW (inżynierów odpowiedzialnych za realizację projektów).
2. KIEROWNIKÓW ROBÓT
3. OPERATORÓW MASZYN KOLEJOWYCH (podbijarki, oczyszczarki, zgarniarki, lokomotywy itp.).

Wymagania:

- znajomość języka polskiego
- przynajmniej kilkuletnie doświadczenie zawodowe w swojej dziedzinie
- świadectwa potwierdzające kwalifikacje zawodowe ze swojego kraju

Oferujemy:

- pracę w dużej, dynamicznie zarządzanej firmie i w ciekawym zespole oraz rozwijającej się firmie
- dobre warunki finansowe i pełne ubezpieczenie
- stałe zatrudnienie
- ciekawe możliwości rozwoju zawodowego
- możliwość zdobycia doświadczenia wśród najlepszych specjalistów w branży
- pomoc w formalnościach pobytowych

Oferty wraz z życiorysem prosimy kierować na adres: skrytka pocztowa (a/c) nr 80, Ivano-Frankivsk 76000, e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl, z dopiskiem praca w Polsce

KURIER galicyjski

Można zaprenumerować na poczcie!!!

KOD PRENUMERATY
УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej na rok 2011

- 1 miesiąc – 5,00 hrywien
- 3 miesiące – 15,00 hrywien
- 6 miesięcy – 30,00 hrywien
- 12 miesięcy – 60,00 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową (kuriergalicyjski@wp.pl)

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto

„Kurier Galicyjski” można kupić: w **Warszawie** w **Domu Spotkań z Historią**: tel. +48 (022) 851 39 66 (kod pocztowy 00-753) **ul. Karowa 20** tel. +48 (022) 826 51 95 (kod pocztowy 00-324) oraz w **Krakowie** w **Księgarni „Nestor”** przy **ulicy Kanoniczej 15** tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002)

KURIER GALICYJSKI można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty” (w wypadku jego braku, żądajcie od sprzedawców i powiadamiacie redakcję!). Ponadto: w kioskach „Wysoki Zamek” w Drohobyczu, Truskawcu, Borystawiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku; w kioskach „Interpres” i „Wysoki Zamek” we Lwowie; w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” przy ul. Ruskiej 16 we Lwowie; w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie; w Katedrze Lwowskiej, w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny, a także przy kościele w Krzemieńcu; w Iwano-Frankiwsku (d. Stanisławowie) w „Sklepie Żelaznym” – Rynek 7; pismo jest też dostępne w hotelu „Dniestr” we Lwowie oraz w Instytucie Polskim w Kijowie.

CIEKAWY STRONY INTERNETOWE O KRESACH

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.wspolnota-polska.org.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie.webpark.pl
www.kresy.co.uk
stanislawow.pl
www.kresy2000.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
www.wycieczki.pl.ua

Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na:

www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu
www.kresy24.pl

Czy Twoje dziecko nie spędza za dużo czasu przed telewizorem lub komputerem?

Klub Młodych Artystów „Skrzydła” przy LTPSP, zaprasza dzieci polskiego pochodzenia ze Lwowa na zajęcia plastyczne w galerii „Własna Strzecha”, przy ul. Rylejewa 9/6. Programy zajęć plastycznych przystosowane są do możliwości dzieci w różnym wieku, dla których wprowadzamy podstawowe techniki i zagadnienia plastyczne, łącząc teorię z praktyką. Serdecznie zapraszamy na zajęcia! **Blizsze informacje pod nr telefonu: 063 287 27 07 – Władysław Maławski**



Kantorowe kursy walut na Ukrainie 28. 07. 2011, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
7,90	1 USD	7,99
11,40	1 EUR	11,56
2,84	1 PLN	2,90
13,00	1 GBP	13,15
2,84	10 RUR	2,90

Korzystaj z usług polskich przewodników ze Lwowa!

Fachowe oprowadzanie po Lwowie, pilotowanie grup turystycznych po Kresach
tel.: 0-0380679447843

Proponujemy usługi turystyczne, oprowadzanie po Lwowie i Kresach w języku polskim

tel.: 0-380677477329, 0-380676750662, 0-380504304511, 0-380504307007, 0-380509494445